

Petecki Bohdan

Strefy Zerowe



calibre 0.9.27

Rozdział I

W Kręgu Psychotronu

Biały żetonik drgnął mi nagle w dłoni. Omal go nie upuściłem. Rozwarłem palce i przyjrzałem mu się. Za matowś osłonkš pulsowało mleczne wiatełko.

W sekundowym rytmie, jakby zachęcajśc do popiechu. Płaski, biały trójkścik.

Tak płaski, że należało go trzymać opuszkami palców. Pojęcia nie miałem, jakim cudem zdołano wewnątrz tego maleństwa co jeszcze umiecić. Co, co wieci-

ło i wprawiało żetonik w rytmiczne drgania. Zabaweczka. Do niedawna dawali uczciwe, plastikowe bilety. Te trójkściki musieli wykombinować w ostatnim przyływie natchnienia, kiedy skończyła się rywalizacja planetarnych biur podró-

ży. Nie dlatego, żeby które z tych biur, dzięki technikom reklamy i ich sztucz-kom, jak ta z żetonikami, zepchnęło na lepy tor całš konkurencję. Po prostu ludzie przyzwyczaili się żyć spokojnie. Kto nie musiał, nie opuszczał Ziemi.

Setkom

luksusowych dworców pasażerskich pozostały na pociechę wycieczki szkolne, za-
łogi baz planetarnych czy też satelitarnych, ekipy specjalistów i tacy jak ja.

Nie

należący do żadnego ze wiatów. Ale dla takich jak ja nie wymyślaliby białych żetoników, drgających i migających mlecznym wiatłem na znak, że czas już udać się na pole startowe.

*

Wstałem z ogromnego, pomarańczowego fotela, który natychmiast wypełnił

się powietrzem, przybrał kształt kuli i potoczył w róg hali jak lekka, plażowa pił-

ka. Trzy miękkie, bezszelestne eskalatory biegły w stronę tunelu. Każdy z nich był

pomalowany na inny kolor. Wybrałem biały. Chociaż słowo wybrałem” brzmi tu naiwnie. Osobista aparatura korekcyjna mogła sama porównać moje skojarzenia wzrokowe z barwą żetonika. W odróżnieniu od innych ludzi zdarzało się nam nie wiedzieć, czy robimy co w wyniku własnych przemyśleń, czy też akurat działa-my pod dyktando tej modulowanej diody laserowej wielkości starowieckiej za-pałki, jakś każdy z nas nosił w kołnierzu skafandra. Nazywaliśmy tę aparaturę butlerem”. Działała niezawodnie i dyskretnie. W gruncie rzeczy często zapominalimy o jej istnieniu.

Eskalator wpłynął do kiskowatej pochylni wypełnionej matowym wiatłem.

Wszystko tu było idealnie gładkie i bez wyrazu. Jak plecy niemowlęcia. Gdyby na tym dworcu wylądowali kiedy przybysze z przestrzeni, otrzymaliby od razu syntetyczny obraz naszej cywilizacji. Łagodnej i bezkontrastowej. Przynajmniej na oko.

Musiałem się umiechnąć do tej myśli. Hiss miał rację. Nie wszystko było ze mną w porządku. Stale przychodzi mi do głowy co spoza programu. I to bez sprzeciwu ze strony automatów korekcyjnych. A nawet komputera kadrowego w centrali. Jakby selektory informacji obiegających sprzężone ogniwa naszych pól mózgowych i psychotronu nagle wyłączały jedną lub kilka sekcji.

To oczywiście niemożliwe. Komputer był niezawodny. A gdyby w jego super-precyzyjnej sieci powstały jakie luki, Hiss nie byłby w stanie nic wywęszyć. Po prostu mieciłem się w granicach tolerancji.

Nie ma doskonałej stymulacji nawet w stosunku do automatów, pozbawionych ładunku białka. Ostatecznie mogli i nam zostawić margines. Zresztą pal ich szczę. Cóż stąd, jeśli swoją względną swobodę zawdzięczam jedynie defektowi programu? Kosztował mnie trzy tygodnie pracy. Ale nie usunięcie defektu. Wprowadzenie.

Co tu zresztą mówić: defekt. Musiałem podmienić osobistą aparaturę. Na cały czas przeprowadzanej operacji. Musiałem obliczyć zależności. A wszystko po to, żeby zapamiętać miłość do dziewczyny, która kochała już innego.

*

Miłość. Jak to inaczej nazwać? Nawet jeśli kształtowała się jako proces... bo ja wiem, jak go nazwać?

Chyba poznawczy. Bez wszystkiego, co ludziki nazywająś wzruszeniem. I co bywa pobudką ich działania. Na to nikt by mi nie pozwolił.

A najmniej ja sam. Ostatecznie byłem członkiem Korpusu Informacyjnego.

Byłem nim naprawdę. Czulem tę wię każdym ułamkiem upływających sekund, w jakich mój mózg przetwarzał, a w każdym razie mógł przetwarzać, dwukrotnie więcej informacji niż bywało to udziałem najtęższych umysłów nie sprzę-

zonych z psychotronem naszej centrali. Słowem, wszystkich mieszkańców Ziemi, poza tym tysiścem istot figurujących w rejestrze inforpolu. Tak nazywano Korpus przez skojarzenie, nie wiem, czy najszcześliwsze, z jakąś organizacją czy instytutem porządkowś, rozwiśzanś sto lat temu. Mniejsza z tym. Itia wiedziała, o co chodzi, ale Itia jest historykiem. Tak czy inaczej każda myśl, każde drgnienie mię-

nia mówiły mi, kim jestem. Czulem wyważonś, sprężystś siłę własnego ciała, z którego przez lata ćwiczeń zrobiono idealny instrument i niemal idealnś broń.

Aparatura psychotronu mieciła się w głównym gmachu centrali, na szczycie łagodnego wzgórza, noszącego nazwę Dzwonnica”. Może stał tam kiedy

kociól. Albo jaka strażnica. W każdym razie nazwa wzgórza kojarzyła mi się zawsze z letnim, niedzielnym przedpołudniem i przeciśgłym dźwiękiem dzwonów, niosącym się nad bezludnymi wrzosowiskami. Co najmieszniejsze, zasięg aparatury zamykał się w kole o promieniu trzydziestu kilometrów. Niewiele dalej niż przy łagodnym, sprzyjającym wietrze docierać mogły płynśce z tego wzgórza dźwięki dzwonów. Jeli rzeczywiście stała tam kiedy dzwonnica.

Poza kręgiem psychotronu pozostawały jeszcze sprzężenia z osobistś korekturś homeostazy oraz z zespołami diagnostycznymi. Zapewniały nam one w każdej sytuacji autonomię układu nerwowego i informowały o wszystkich procesach zachodzących w organizmie, czy człowiek był ich akurat ciekaw, czy nie.

*

Eskałator wbiegł do podziemnej pustej hali, przypominającej kształtem ogromnś beczkę. W kolistej cianie wieciły kabiny wind. Zstśpiłem na miękks posadzkę i nie słyszć własnych kroków przeszedłem do szybu. Tuż za mnś po-dśżało dwóch facetów, podobnych do kuchcików w swoich cienkich, przezroczystych skafandrach. Piloci. Na głowach mieli tylko siatki antenowe, jakby utkane z pajęczyiny. Wszedłem do kabiny, odwróciłem się i oparłem plecami o wiecścś ciankę. Teraz dopiero spostrzegli, z kim mająś do czynienia. Mylałem, że nogi pogubiś, tak szybko przenieili się do śśsiedniej windy. Ale dawno już minśł

czas,

kiedy podobne reakcje ludzików bawiły mnie czy nawet sprawiały przykroć.

Chodnik dojazdowy, na powierzchni, był w ruchu. Znowu miałem ich przed sobś. W pewnej chwili

jeden z nich, niższy, odwrócił się i musnął wzrokiem mój emblemat na lewym ramieniu. Twarz mu pociemniała, wspiął się na palce i powiedział co drugiemu do ucha. Zaraz potem obaj postąpili kilka kroków do przodu, pomimo że chodnik posuwał się całkiem szporko. Piloci. Nawet oni.

Chodnik kończył bieg kilkanaście metrów przed stanowiskiem startowym promu orbitalnego. Przy wejściu na trap stał dryblas niewiele niższy ode mnie, w eleganckiej czapce i srebrnym skafandrze. Wyglądał jak karykatura króla ryb ze starych księżek dla dzieci. Podałem mu żetonik. Wziął go ostrożnie, jakby się bał

skaleczyć, obejrzał nieufnie i spojrzał na mnie z wyrazem szczerego osłupienia.

Bilet? błąknął.

Na to wygląda powiedziałem cicho, patrząc prosto przed siebie. Co się nie zgadza?

Zreflektował się natychmiast.

Oczywiście... wymamrotał wszystko w porządku. Mogł pan jechać bezprecedensowo, prosto na płytę mówił szybko, więcej niż uprzejmym tonem.

Była to uprzejmość, jakś okazuje się nie lubianemu profesorowi, który ma nas egzaminować.

Nie odezwałem się. Boy. Także relikty ery turystyki.

Oczywiście, że mogłem jechać prosto na płytę. Mogłem wylądować pociągami załogowymi koło trapezu i wsiść do promu bez jednego słówka. Mogłem na dobrą sprawę wszystko. Jak każdy z nas. Było nas tylko tysiąc na te parę dni

miliardów ludzi. A to, czego nie mogłem i tak nie przyszłoby mi nigdy do głowy, i co z tego? Tym bardziej wolno mi chyba przyjąć jak każdemu innemu, kupić bilet i zafundować sobie całą tę ceremonialną procesję. I żadna ryba z błazeńskich czapek nie powinna się tym interesować.

*

Prom był starym pudłem. Jego chemiczne silniki pracowały tak głośno, że w kabinie zaległa nagle głucha cisza, cisza, jaka w ogóle nie zdarza się w naturze.

Ilość decybeli przekroczyła widoczną wartość krytyczną, co automatycznie unieruchomiło fonty. Każdy z nas nosił te głośniczki wszycie w skórę, za uchem. Kiedy natężenie dźwięków dochodzących z zewnątrz przekraczało dopuszczalną barierę, fonty zaczynały emitować fale zsynchronizowane z falami hałasu. Bez względu na jego rodzaj.

Nic dziwnego. Najzwyklejsza w świecie interferencja. Ale faktem jest, że te li-lipucie odbiorniki i nadajniki równocześnie odegrały doniosłą rolę w dziele przezwyciężania ubiegłowiecznego kryzysu cywilizacyjnego. Obliczono, że połowa masowych samobójstw, plagi dwudziestego pierwszego

wieku, była popełniana przez ludzi dotkniętych psychozą, której ródleń doszukano się we wszechobecnym hałasie. Tylko, jak to zwykle bywa z uzdrawiaczami, popadli oni ze skrajności w skrajność. W każdym kiosku można było kupić aparacik, który tłumiał

wszystkie, nawet najcichsze dźwięki, odbierane przez ludzkie uszy. W efekcie powstały nowe psychozy, równie grone. Ludzie stawali się apatyczni, wpadali w melancholię, dostawali obłądu. Wreszcie skonstruowano fonty, na zasadzie złotego rodka. Każdej żywej istocie potrzebne jest tło akustyczne.

Dlatego z ulgą powitałem moment, kiedy na ekranie pojawiła się pierwsza radiolatarnia stacji satelitarnej. Dwie minuty później prom zastopował.

Konstrukcja

stacji przestała się powiększać. Kłapa wjazdu transportowego opadła na pomost.

Spod niego, jak wyrosłe z przestrzeni, wyłoniły się wysmukłe stalowe palce, za-kończone spiralami magnesów. Ostatnie piętnacie metrów drogi. Jej pierwszego etapu. Wjazd zamknął się za nami.

Odczekałem chwilę i kiedy ostatni z nielicznych pasażerów opuścił kabinę promu, wyszedłem na peron. Stąd przez otwartą na ocież komorę luzu widać było czarną walcowaną halę poczekalni. Jej strop, pomalowany w czarno-błękitne pasy, kłuł oczy tysiącami kolorowych wiatełek. Miało to zapewne naładować nieboskłon. Ale nie było takiego miejsca we wszechwiecie, skąd nieboskłon przedstawiałby się równie przeraliwie. Kto, kto to wymyślił, oczywiście z nadzieją dogodzenia turystom, z pewnością dał dyla natychmiast po zakończeniu dzieła, w obawie przed zemstą załogi stacji, która musiała tutaj pracować.

Wzruszyłem ramionami, przekroczyłem wysoki próg luzu i wszedłem do rodka.

Zatrzymałem się pod plastikową palmą, blisko wyjścia na przeciwległy peron. Jedno, co tu było miłe, jak zresztą we wszystkich obiektach orbitalnych i w ogóle pozaziemskich, to atmosfera. Czterdzieci procent tlenu i sześćdziesiąt helu.

Trudno pojąć, jak udało się naszej staruszce urodzić organizmy wyższego rzędu, z tą jej odrobiną tlenu oraz azotem le przewodzącym ciepło i nadającym się do wszystkiego, tylko nie do oddychania.

W rogu hali stał wysoki bufet, wyrzuszający się ku pasażerom wdzięczną sinusoidą.

Szesnastka miauknęło mi za uchem.

Butler. Całą drogę milczał. Teraz odkrył, że w moim organizmie dopalają się jakie składniki.

Podszedłem do automatu za kontuarem i wybrałem klawisz oznaczony liczbą szesnacie. Nic. Przycisnąłem ponownie. Z tym samym skutkiem. Po dobrych kilku sekundach w cianie opadła miniaturowa kłapka, za którą ukazała się część twarzy faceta z obsługi. Ujrzawszy mnie przestraszył się. Ale musiał powiedzieć swoje.

Bardzo przepraszamy wymamrotał. Zabrzmiało to, jakby mówił z wnętrza

trza wielkiego bębna. Wymieniam właśnie cewkę pod szesnastką. Jeszcze dwie minuty. Niech pan będzie uprzejmy poczekać albo wybrać inny zestaw...

Szóstka szczechnął głoniczek.

Przycisnąłem klawisz i dostałem miseczkę ostro przyprawionej papki. Nie spojrzałem już w stronę wciśniętego jeszcze otwartego, miesznego otworu i uwięzionej w nim twarzy. Przeszedłem przez halę i zatrzymałem się pod sporym, owalnym iluminatorem.

Ziemia zawsze wygląda pięknie. Z daleka. Jest kolorowa, pogodna, przypró-

szona obłokami jak choinka. Nad moim kontynentem chmury układały się w nit-kowate pasma, rozciągnięte wzdłuż południków. Musieli zamówić u meteorologów cień, a może i deszcz. Ciekaw byłem, czy i tym razem pada wszędzie, poza obszarem skąd przyszło zamówienie.

Przepraszamy pasażerów udających się na Lunę zapiewały nagle gło-

niki. Start opóni się o kilkanaście minut. Centrum radiolokacyjne na Cererze przechodzi dziś okresową konserwację. Przepraszamy.

Trzeba mieć szczęście. Gdyby to się zdarzyło w okresie turystyki przemknęło mi przez myśl poradziliby sobie bez tego centrum. Każda stacja miała własne latarnie radionawigacyjne, wzdłuż zastrzeżonych dla niej torów. Ale teraz,

kiedy wszystkie biura podróży przejęła jedna agencja komunikacyjna, nikomu nie zależało tak bardzo na pasażerach. Niech czekaj.

Czekali. Nie zauważyłem, żeby kto pozwolił sobie na jedno złoliwe słówko lub na gest wiadczy o zniecierpliwieniu. Poza Ziemi człowiek odkrywa nagle, że kilka minut nic nie znaczy. Co do mnie, nie musiałem niczego odkrywać. Ja nie mogłem się zniecierpliwic. Automatyczna korektura. Niezła rzecz, daje słowo. Jak ostatni model sztucznej ręki.

*

Wybrałem fotel wcinięty w najodleglejszy kąt sali. Jaka para, siedząca najbliżej, podniosła się natychmiast i oddaliła w le maskowanym popłochu. Odprowadziłem ich spojrzeniem. Nie lubili nas. Nikt nas nie lubił. Nie pasowaliśmy do naszej licznej, zaokrąglonej cywilizacji. Lubili oglądać stare zbroje w muzeach.

Ale współczesne im istoty, od dziecka, ba, od pierwszej komórki w łonie matki przeznaczone do walki? Tego nie mogli strawić w swoim ulizanym humanitaryzmie.

Zresztą nie moja sprawa. To ładnie brzmi. Moja sprawa... Czy w ogóle były jakie sprawy, które mógłbym nazwać moimi? Poza czekającym mnie zadaniem, o którym nic jeszcze nie wiedziałem?

Wczoraj w południe polecono mi zwinąć moją kwaterę w klubie i zameldować się w bazie Korpusu na Lunie, w Budorusie. Moje osobiste rzeczy zapakowałem w torbę wielkoci małej dyni i zgodnie z instrukcją złożyłem w depozycie. Kilka fotografii, dokumenty, parę mikrofilmów. Wszystko. Nie zająknęli się nawet, o co chodzi. Szef centrali, Hiss, nie patrzył mi w oczy. Oznajmił tylko, że zobaczymy się na Lunie. Powiedział to takim tonem, jakby rzecz miała mi sprawić szczególną przyjemność. Oczywiście musieli wiedzieć, że czekam na coś więcej. Byłem już raz w akcji. Drobiazg. Facet z rozdzielni automatycznej przetwórci paliwa na Gi-namedzie zwariował po roku samotnej pracy i chciał wywalić w kierunku Cerery cały nagromadzony zapas deuteru. No tak. Ale z tego tysiąca, do którego nale-

żałem, tylko kilku ludzi było w prawdziwej akcji. Interwencje Korpusu zdarzały się raz na kilka lat.

Ogromna większość moich kompanów spędzała całe życie w klubach i na poligonach. Było co najmniej dziwne, że wysyłajś mnie na akcję po raz drugi. Nie słyszałem, żeby zdarzyło się to komukolwiek przede mnś. Ale to w końcu także ich sprawa. Nie moja. Ja miałem tylko wykonać zadanie. Tak właśnie powiedziałem wczoraj Itii.

Wstałem i wróciłem pod iluminator. Obłoki trwały dalej nieporuszone, dzielśc kontynent, który opucielem, na cienkie plastry. Próbowałem odszukać miejsce, gdzie powinno się znajdować moje miasto. Gdzie była Itia.

Spojrzałem na tarczę. Tam minęła już trzecia. Kilka minut temu Itia wróciła z centrali. Wczoraj o tej porze wysiadłem z żyrobusem pod jej domem. To był

bardzo miły domek, na trzecim poziomie czterdziestej siódmej ulicy. Prawdziwe gniazdko. Tylko siedział już w nim kto inny.

Nie była zdziwiona, kiedy zobaczyła mnie przed drzwiami. Umiechnęła się nawet. Miała na sobie komplecik z różowego chromopianu, najcieńszy, jaki widziałem w życiu. Na jej niadej skórze ta migocśca mgiełka wyglśdała jak opakowanie zrobione z mylś, aby towar w rodku był dobrze widoczny.

Wyjeżdżam powiedziałem.

Skinęła głowś. Powiedzieli jej. Chodziło widać o co, co uznali za godne uwiecznienia w kronice inforpolu. To znaczy w zespołach pamięciowych aparatury zainstalowanej w jednym z pawilonów centrali, należścym do Itii i jej dwóch czy trzech współpracowników.

Wszedłem do pokoju. Wskazała mi fotel i usiadła naprzeciw mnie. Natychmiast podjechał do nas barek, pobręcując apetycznie szklaneczkami.

Baza w Budorusie mruknśłem. Jutro rano.

Co poważnego?

Pytanie raczej retoryczne.

Mylałem, że wiesz powiedziałem. Ja dowiem się na miejscu. Hiss będzie tam jutro.

Potrżśnęła głowś.

Kazali mi tylko zanotować twój wyjazd i założyć specjalny tor w kompu-terze. Ale bez sprzężenia. Zdaje się, że polecisz gdzie dalej.

Mniejsza z tym powiedziałem. Pociśgnśłem łyk musujścего płynu. Miał cierpki, słoneczny smak nie całkiem dojrzałych owoców. Nowy przepis?

spytałem.

Stary jak wiat. Piłam to jako dziecko zamięła się. Ale zaraz spoważniała.

Odstawiłem szklaneczkę i rozejrzałem się po pokoju.

Wszystko po staremu. Jakbym wyskoczył na chwilę poplotkować z kumplami stwierdziłem. Pełnia stabilizacji. Pomyśleć, że to już osiem... nie, blisko dziewięć lat. Co w ogóle u ciebie?

Patrzyła na mnie przez chwilę uważnie. Wreszcie uniosła brwi i umiechnęła się. Nie był to najweselszy umiech.

Nic powiedziała półgłosem. Pracuję... nie dokończyła.

To wszystko?

Przestała się umiechać. Utkwiła wzrok w pustej szklaneczce.

L.. czekam dodała wreszcie, niemal szeptem.

Musiała to powiedzieć. Żeby nie było wstępliwości.

Wyprostowałem się.

Mówisz to na wypadek, gdybym przestał być grzeczny? spytałem.

Nie bój się. To tylko kurtuazyjna wizyta pożegnalna. Z kim, u licha, musiałem się pożegnać. Tak się składa, że nie mam nikogo innego.

Spojrzała na mnie szybko. Oczy jej się rozszerzyły.

Och, Al wyjśkała to nie dlatego... ja... urwała.

Czekałem dłuższs chwilę w milczeniu.

Pamiętasz? szepnęła wreszcie, tak że ledwo usłyszałem.

Dobre sobie. Ale trudno jej się dziwić. Sam nie wiem, jakim cudem udała mi się ta operacja z butlerem. Miłość, do tego nieszczęśliwa! Toż to szkolny przykład

naruszenia autonomii systemu nerwowego. Moja wierna dioda powinna była natychmiast powiadomić centralę. Leczenie” miałoby przebieg łagodny i odbyłoby się bez udziału ludzi, zawsze skłonnych do niedyskrecji. Korekta. Sprzężenia. Po miesiścu wiedziałbym tylko, że jest na wiecie jaka Itia, dziewczyna należsca do

jednego z nas.

A ja nie chciałem. Mniejsza, dlaczego. Sam nie wiem. Nie chciałem i już.

Postanowiłem zapamiętać. Wszystko. Gorączkowo, po nocach, przerabiałem program zainstalowany w butlerze. To było fałszerstwo. W dodatku udane.

Wszystko zostało we mnie. Na dobre. Ale tylko tyle. Zachowałem pamięć o emocjach. Nie emocje. Dyskwalifikowałyby mnie one jako członka Korpusu. Moja myśl musiała płynąć przez kanały mózgu, włókna psychotronu i diody wzmacniaczy równym, chłodnym, przyspieszonym nurtem. Gdybym postradał umiejętność całkowitej koncentracji na tym, co właśnie robię, gdyby zaistniał

cień obawy, że w jakiej sytuacji zawiedzie mnie zdolność błyskawicznej oceny, trzewej kalkulacji i natychmiastowej, najślusniejszej z możliwych reakcji, gdyby jeden taki sygnał dotarł do centrali, na drugi dzień przenieliby mnie do sekcji

szkolenia. Ale jak jej to powiedzieć? One wszystkie bolejš nieopisanie, kiedy muszś kogo unieszczeliwić. Dopiero, jeli okaże się, że rzecz wyglśda trochę inaczej...

Umiechnśłem się.

Nie przejmuj się powiedziałem spokojnie. Pamięć to jeszcze nie wszystko. Zwłascza pamięć cyborga.

Azjś podniosło. Natychmiast przestała się roztkliwiać.

Oszalałe? parsknęła. Jak możesz tak mówić? Ja wiem, skśd się wzięło to słówko!

Prawda. Była historykiem.

Włanie dlatego to słówko tutaj padło. Sama pracujesz w centrali. Znasz żargon. Zresztś tak kiedy nazywano facetów z Korpusu. I do dzi tak mówiś...

ludziki zamiałem się.

Trwało chwilę, zanim się rozchmurzyła.

Coraz lepiej. Jej głos brzmiał już spokojnie. To obraliwe, wiesz?

Jedno i drugie potwierdziłem. Jesteśmy kwita. A ty, jakby siebie zakwalifikowała?

Jako ludzika owiadczyła z powagś.

Skinśłem głowś.

To mi odpowiada mruknśłem. Chociaż jeli się lepiej zastanowić...

pracujesz z nami. Kochasz jednego z nas. Twoje laboratorium ma także te kilka biosprzężeń... można by i ciebie nazwać tak, jak tego nie lubisz.

Nie lubię przytaknęła. Cyborg... sztuczny mózg, sztuczne serce, tkanki nerwowe. Tak to sobie wyobrażano. Dwieście lat temu.

Pomyślałem, że to wszystko jedno, wprawić komu sztuczny mózg czy też z jego własnego zrobić niezawodny aparat nieustannie wspomagany i korygowany przez automaty. Ale nic już nie powiedziałem.

Ludziki? No cóż, piękne to nie było. Nawet, jeśli mówili tak sami wykładowcy, od pierwszego kursu. Bez cienia pogardy zresztą czy chociażby lekceważenia.

Raczej z pewnym żalem. Wszyscy ludzie na wiecie mieli swoje wzruszenia, godziny smutku, i minuty, kiedy ich serce uderzało szybkim, radosnym rytmem.

Wszyscy poza tysiścem. Poza nami. A przecież to zwykli ludzie, ulegający emocjom i ceniący sobie tę swoją słabość, spomiędzy siebie wyłonili pierwsze oddziały Korpusu. Oni wymyślili program szkolenia. I to ich mieliśmy bronić. Na wypadek, gdyby kto lub co zagroziło Ziemi; że w praktyce sprowadzało się to do obezwładnienia raz na dwa lata jakiego biednego szaleńca, dysponującego aparaturą wyzwalającą energię, to już zupełnie inna sprawa. Tak naprawdę, nasze życie składało się z ćwiczeń. Bazy, poligony, wielomiesięczne patrole planetarne.

O tym wszystkim ona wiedziała.

Dłuższą chwilę milczeliśmy oboje. Należało wstać i pożegnać się, ale nie chciało mi się ruszyć z miejsca.

Przykro mi, Al odezwała się wreszcie że cię rozczarowałam. Nic nie wiem o twoim wyjeździe. Gdyby Hiss mi zlecił...

Nie zleci przerwałem. I nie przejmuj się. Nie po to przyszedłem.

Wiem rzuciła wyzywającym tonem.

Umiechnąłem się. Miała oczy dziecka, które nie rozumie, o czym mówisz doroli, ale wie, że wyniknie z tego coś przyjemnego.

No to nie udawaj.

Ty też nie.

Wzruszyłem ramionami. Następnie westchnąłem, wstałem i przeszedłem się po pokoju.

A więc czekasz powiedziałem bardziej do siebie niż do niej. Rozumiem. Rozumiem, chociaż ja...

Nie czekałby?

Stanąłem. Spojrzałem jej prosto w oczy.

Nie. Ja nie czekam. To pewna różnica.

Zarumieniła się. Jej wzrok powędrował szybko w stronę okna.

Kochałam cię bardzo, Al wyszeptwała. Nie muszę mówić. Ale...

Nie kończ. On tam jest?

Skinęła głowę.

Cały czas w Budorusie?

Tak. Pisze... zawahała się.

Kiedy wyjechał?

Spojrzała na mnie uważnie. Ale bez zdziwienia, że pytam. Raczej jakby nieufnie.

Mniej więcej siedem lat temu... powiedziała.

Co mnie tknęło. Zrobiłem obojętną minę.

Jak się z sobą kontaktujecie? Holowizjś?

Nie... pisze. Otwartym kodem.

A więc tak. Oczywiście, to mogło nic nie znaczyć. Albo i dużo...

Chciałem cię o co zapytać powiedziałem szybko. Możesz to nazwać konsultacjś.

O co, co dotyczy Ustera? zmarszczyła brwi.

Nie. Jeli, to tylko o tyle, o ile dotyczy każdego z nas. Ale zależy mi nie na tym, co wiesz, tylko, co czujesz.

Nie czuję nic takiego...

Posłuchaj przerwałem znowu. Mylę o tym, co działo się sto lat temu.

O nierównym podziale dóbr, o głodzie, psychozach, nieustannych konfliktach, słowem o wszystkim, co wy, historycy, nazywacie kryzysem cywilizacyjnym.

Dwudziesty pierwszy wiek. Sto lat... Niby dużo. A jeli nie dość dużo? Widzisz, żaden z nas nie może nawet w przybliżeniu przewidzieć okolicznoci, w jakich przyjdzie mu wypełniać najbliższe zadanie. Dla mnie pytanie, które ci teraz sta-wiam, jest bardzo konkretne. Czy tamto to naprawdę już tylko przeszłość? Czy nie mogłoby ożyć w sprzyjających warunkach? Mylę o tym, co w nas siedzi.

W każdym z nas dodałem z naciskiem.

Nie odpowiedziała od razu. Przyglądała mi się podejrzliwie. Jakby się czego bała.

I ty mówisz, że jesteś maszyną odezwała się w końcu półgłosem. Na to nikt ci nie odpowie. Może za następne sto lat. Ale zawahała się bśd ze mną szczerzy. Powiedziała to w związku z Usterem.

Robiła, co mogła, by zapanować nad głosem. Mogłem sobie pogratulować.

Sam zapędziłem się w ten zaulek.

Nie myślałem o Usterze. Powiedziałem jej to, ale mi nie uwierzyła. Oczywiście,

że nie. Nie mogła uwierzyć, przynajmniej teraz, tutaj. Bała się chyba, że odkryłem w sobie nagle jakąś niechęć do niego, a może i zazdrość.

Teraz dopiero stanęła mi przed oczami twarz Ustera. Oczywiście nie było mo-woy o jakichkolwiek nieprzyjaznych uczuciach. Nonsens. Co innego niechęć, a co innego niepokój. Czy choćby zaniepokojenie.

Siedem lat. Akurat tyle, żeby... mniejsza z tym. Na razie. Dość już napędziłem jej strachu.

Wyprostowałem się.

Tylko Uster i Uster. Jak w piosence. Muszę już iść.

Podszedłem do niej. Wstała, ociągając się i podała mi rękę. Na ułamek sekundy przytrzymała palcami moją dłoń, jakby o coś prosiła.

Powiedzieć mu co? spytałem, już w otwartych drzwiach.

Potrząsnęła głową.

AL.. urwała.

Czekałem.

Jeli możesz... dobiegł mnie jej szeptał bśd dalej jego przyjacielem.

Umiechnąłem się.

Opowiadała mi kiedyś o jakimś starożytnym buntowniku czy powstańcu... dała mi taką książkę...

Spartakus?

Włanie. Wyczytałem tam mądre zdanie. Bohater był jednym z niewolników przeznaczonych specjalnie do walki. Nie pamiętam, jak się nazywali.

Gladiatorzy...

Otóż to. Powiedział kiedyś do drugiego takiego jak on sam: Gladiatorze, wśród gladiatorów nie szukaj przyjaciół...”

Zmarszczyła brwi.

Czemu tak mówisz? spytała sucho. To ładnie brzmi, ale nic nie znaczy. Teraz.

Teraz nic przytaknąłem. Tylko kto wie, co będzie jutro? Nie martw się dodałem szybko. Powiem mu, jeśli go zobaczę.

Co powiesz?

Że czekasz.

*

Pasma obłoków nad kontynentem przesunęły się odrobinę na zachód. Zakrywały teraz brzeg oceanu.

Spojrzałem na zegarek. Tkwiliśmy tutaj przeszło dwadzieścia minut. Szczególny rekord.

Kto otarł się o mnie ramieniem. Odwróciłem głowę, zdziwiony. Biedny ludzik. Tak nie lubisz się do nas zbliżać.

Żaden ludzik. Jakbym spojrzał w lustro. Ciemnozielony kombinezon, półprze-

roczysty, lnišcy jak szkło. Czarno-biały emblemat na lewym ramieniu. Taki jak mój. Silnie zaznaczone koci twarzy. Oczy szeroko rozstawione, patrzące, jakby mogły widzieć przez ciany. Nawet włosy podobne do moich, krótkie, jasne, o barwie, której nigdy nie umiałem nazwać.

Poruszył nieznacznie głowę. To miało znaczyć: przepraszam. Patrzył przy tym prosto przed siebie.

Jeszcze raz spojrzałem na jego emblemat. Nie miał gwiazdki. Jasne, że nie.

Znałem wszystkich, którzy w ostatnich dziesięciu latach brali udział w akcjach.

Można ich było zliczyć na palcach.

Ja sam nosiłem na ramieniu jedną mikroskopijną gwiazdeczkę. Nie spotkałem nikogo, kto miałby dwie. A więc może będę pierwszy. Jeśli to znowu nie jakie

manewry.

Staliśmy obok siebie, milcząc. Spotkaliśmy się, oczywiście, kilka razy na poligonach. Ale w klubie,

gdzie mieszkałem, nie widziałem go nigdy. Nie pamiętałem nawet jego nazwiska.

Wokół nas zrobiło się pusto. Jeden to było już dość. Żeby spotkać dwóch za jednym zamachem, trzeba mieć prawdziwego pecha. Tak pewnie myleli.

Spojrzał na zegarek, jak ja przed chwilą. W jego twarzy nie drgnął żaden mię-

sień. Oparty niedbale o ramę iluminatora, sprawiał wrażenie dwumetrowego po-słgu. Może się niecierpliwił. Kto wie. Poznawał to pewnie tak samo jak ja. Kiedy się zdenerwowałem, marzyły mi koniuszki palców. Tylko tyle.

Jeden z infopolu. Cyborg jak mówiliśmy drwiśco pomiędzy sobą. Facet z Korpusu jak powiadano półoficjalnie. Cichy jak antimateria. Niemal równie dobry jako broń.

Trwało jeszcze dłuższą chwilę, zanim przyleciał statek. Muzealny gruchot.

Iluminatory widziały szczotki ostatni raz z dziesięć lat temu. Klimatyzacja roz-regulowana. Butler kazał mi natychmiast przybrać pozycję półleżącą i głęboko oddychać.

Usiadł koło mnie. Wyciągnął nogi tak, że zrównały się z moimi. Te same miękkie, porowate buty. Rozmiar stopy, na oko, także identyczny. Mogłem w każdej chwili dostać jego serce, tak jak jemu dałoby się bez żadnych badań przeszczepić moją wątrobę. Korpus był pierwszą zamkniętą grupą społeczną, w której osią-

gnięto doskonałą zgodność immunologiczną.

Stewardesa przyniosła kawę. Pociągnąłem łyk. Przy trzecim mój gloniczek zabuczał ostrzegawczo. Kawę dawali całkiem, całkiem. Odstawiłem filiżankę. Po kilku sekundach on zrobił to samo. Widać zabrał się do kawy o te kilka sekund później. Albo wolniej pił.

Uster był taki sam. Wszyscy bylimy tacy sami. Trudno się dziwić, że ludzie nie skakali z radości na nasz widok. Nam samym robiło się czasem nieswojo.

Uster. Jedyne na dobrej sprawie, z którym zżyłem się bliżej. Idąc na spotkanie z Itią, zabierałem go najczęściej ze sobą. Dlatego potem... Ale nie mogłem mieć pretensji. Dwa lata spędziłem na poligonie. Przed wyjazdem powiedziałem jej, żeby nie zaprzętała sobie moją głowę. Że taki jak ja nie będzie nigdy odpowiednim towarzyszem dla dziewczyny. Naprawdę tak myślałem. Wtedy miałem głowę nabitą czekającymi mnie zadaniami, stał gotowości, posłannictwem i takimi tam rzeczami. Kiedy pod koniec pobytu na poligonie przekonałem się, że byłem osłem, niczego to już nie mogło zmienić. Zrozumiałem, że kocham ją naprawdę.

Ale byli już razem.

Pomyślałem, że mogę się z nim spotkać za kilka godzin, umiechnąłem się do siebie i zapadłem w drzemkę. Ten koło mnie spał już od dobrej chwili. Oddychał

bezgłonie. Nie chorowaliśmy nigdy. Była to jedna z podstawowych różnic mię-

dzy nami i resztą ludzi. Do nich, kiedy im co było, przychodził lekarz. Do nas technik. Trzeba czego więcej?

Lądowanie poszło nadspodziewanie gładko. Szybciej niż kiedy byłem tu ostatnim razem. Musieli wreszcie wymienić automaty przechwytyjące. Najwyż-

szy czas. Dworzec Lamberta należał do najstarszych na Lunie. Obsługiwał

dwie pierwsze bazy ze stałą załogą. Teraz skupiał cały ruch osobowy zwiózany z wszystkimi zakarpackimi fabrykami paliwowymi, rozciągniętymi na obszarze Oceanu Procellaryjskiego.

Sam dworzec też się zmienił. Mało brakowało, a byłbym wlaź na towarowy eskalator. Facet, który przyleciał ze mną, przytrzymał mnie za ramię.

Dziękuję mruknąłem. Nazywam się Thaal. Mów po prostu AL

Skinął nieznacznie głową.

Riva powiedział. Budorus dorzucił po chwili.

W halu czekał na nas łysy chudzielec z obsługi dworca. Zmierzył nas bezgranicznie znudzonym spojrzeniem i ruszył w stronę jednego z korytarzy. Poszliśmy za nim.

W rozdzielni na nasz widok podniósł się z obrotowego fotela facet z Korpusu.

Tego w ogóle nigdy dotąd nie widziałem. Zapewne należał do stałej załogi bazy.

Możemy jechać to było wszystko, co powiedział na powitanie.

Poprowadził nas bocznym korytarzem do szybu. Wyjechalimy na pole startowe wózkowym eskalatorem, podskakującym jak zepsuty budzik. W wieży, przed wyj-

ciem, automaty sprawdziły nasze skafandry. Jakim cudem wcisnęliśmy się do pomarańczowego żyrolotu, przypominającego zabytkowe łóżko z baldachimem.

Lot do krateru Budorusa trwał krótko. Za krótko, żeby mi się zdążył znudzić krajobraz za iluminatorem.

Czerń i biel. Lekko rozmazane. Czerń wpadająca w błękit, biel złamana ja-

niutkim złotem. Kontrasty, jak zaznaczone tuszem. I góry. Prawdziwe. Takie jak na obrazku. Bez kolejek, wyciągów, zjazdów, bufetów, pseudokoleb i ciężkich spacerowych dla staruszków. No i tłumu bywalców obwieszonych pamiątkami.

Uczciwe góry. Takie, jakimi jeszcze pięćdziesiąt lat temu były, od biedy, Himalaje.

Sleep, jak brzmiała popularna nazwa tego typu żyrolotu, wznosił się coraz wyżej. Lecieliśmy na

północny zachód. W pulpicie pilota cały czas pulsowały wiatelka. Namiary z Platona. Przelecieliśmy nad nim piętnacie minut po starcie.

Zaraz potem zmieniliśmy kurs na zachodni i weszliśmy za północną cianę Alp.

Mielimy już kilometr pod sobą, ale trzeba było niele zadzierać głowy, żeby dotrzeć wzrokiem do szczytów zawisłych nad nami.

Łśdowaliśmy dziesięć minut później, w zewnętrznym pierścieniu bazy. Jak na poligonie, po ogłoszeniu pogotowia. Niczego nie lubili tak bardzo, jak procedury wartowniczej, jednak tym razem wpucili nas do głównego szybu bez większych ceregieli. Korytarze poziomu alarmowego wyglądały jak wymarłe. Do chodnika szło się pieszo ładne parę metrów. Posadzka była miękka, o pomimo to nasze kroki budziły metaliczne echo. Równe kroki, odmierzone, spokojne. Kroki facetów, którzy wiedzą, czego chcą.

Weszliśmy prosto do dyspozytorni. Zanim jeszcze drzwi zwinęły się za nami w podwójną tróbkę, zobaczyłem Hissa. Był także Jeus, komendant bazy. I jeszcze czterech z Korpusu. Stali nad czym, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak stary szkolny model układu planetarnego. Ale to nie był nasz układ. W trzeciej planecie

pulsował czerwony ogień.

Hiss obrzucił nas przelotnym spojrzeniem i gestem kazał nam podejść bliżej.

Regulaminowa jowialność, z jaką żegnał mnie wczoraj w centrali, zniknęła bez ładu. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Jakby się nagle postarzał o dobre dziesięć lat. Miał na sobie cywilny kombinezon, w jakim mógłby się wybrać, powiedzmy, na inspekcję stacji na Ganimedzie. Ale nigdzie się nie wybierał. On nie. Wiedziałem, co powie, zanim jeszcze otworzył usta. Staliśmy przed modelem układu Alfę.

Rozdział 2

Budorus

Czy ludzie pamiętali? Owszem. Tak jak się pamięta o wielu rzeczach, któ-

re kiedy wydawały się ważne, nawet bardzo ważne, ale o których wiadomo, że nigdy już nie sprawiś kłopotów. Najwyżej historykom. Szeć lat to więcej niż mogłoby się wydawać. Nawet jeli chodzi o kogo, kto zginś kilka wietlnych lat od

domu.

Kontaktów z istotami technologicznymi w Galaktyce szukalimy, jeli się nie mylę, już w dziewiętnastym wieku. W dwudziestym zaczęto wysyłać w kosmos specjalnie opracowane sygnały matematyczne. Przy użyciu prymitywnych nadajników. Co zresztś nie miało nic do rzeczy. Jeli się sonduje oceany, to prędzej czy

póniej trafi się na rybę. Rachunek prawdopodobieństwa.

Sto lat temu radioteleskopy na Lunie odebrały pierwsze sygnały, co do któ-

rych nikt nie mógł mieć wśtpliwoći. Wszystkie komputery potwierdzały, że nie pochodźś ze ródeł naturalnych. Ale nie była to odpowied. Nie były to nawet sygnały w potocznym rozumieniu tego słowa. Żadnego symbolu, pasma znaczeniowego, żadnej matematyki. Dwudziestowieczni astrofizycy potraktowaliby je jako nowy typ promieniowania gwieźdznego. Ale i najczulsze współczesne analizatory teraz, po kilkudziesięciu latach badań, wyrzucały na tablice wyników jedno

zero po drugim.

Co zrobił człowiek? To, co zawsze w swojej historii. Najpierw powiedział, że trzeba tam polecieć. Potem pomiał się trochę i stwierdził, że jak wiat wiatem nikt nie wymylił czego równie głupiego. Następnie doszedł do wniosku, że rzecz jest ciekawa, nawet pasjonująca, szkoda tylko, że całkowicie nierealna. Po czym, oczywiście, poleciał.

Dwudziestego czwartego lipca dwa tysiśce sto dwudziestego dziewiętego ro-ku z bazy w Archimedesie wystartowało pięćoro ludzi. Mniej więcej dziesięć lat wczesniej udało się grupie Amalsona zastosować strumieniowe wiece tachjono-we do podróży kosmicznych. Dzięki temu monitor mógł liczyć na stałś łączność z bazś. Największe opónienie, w ostatniej fazie lotu, nie miało przekroczyć kilku dni. Statek osiśgnś szybkoć podróźnś czwartego stopnia. Lot powinien był

trwać niespełna szeć lat.

I nie trwał dłużej. W trzydziestym piśtym roku monitor uruchomił silniki hamujące nad drugim satelitś trzeciej planety Alfya, gdzie zgodnie z programem mia-

ła powstać pierwsza baza eksploracyjna. To była ostatnia wiadomoć, jaka dotarła do bazy. Czekano spokojnie kilka dni. Potem opublikowano komunikat. Okrśgły rok obowiśzywała cisza radiowa w pasmach, w jakich możliwe było nawiśzanie łączności. I to właciwie wszystko. Na całej kuli ziemskiej zorganizowano wie-czornice żałobne, w czasie których ten i ów uczony miał okazję

napomknąć, że od początku sprzeciwiał się wyprawie. W drugą rocznicę utraty łączności z monitorem rozstrzygnięto konkurs na pomnik. W trzecią poproszono Hissa, żeby dokonał

uroczystego odsłonięcia. Pomnik stał na grani Everestu. Kamienna, stylizowana dłoń, wkomponowana w skały, wyciągająca ku gwiazdom pięć smukłych palców, w tragicznym wołaniu o przyjaźń. Pod każdym z palców wypalono w bazalcie nazwisko. Siść i płakać. Nie pozostało zresztą nic innego. Bo o następnych wyprawach nikt jako nie wspominał.

Wysłuchaliśmy na stojąco wszystkiego, co Hiss miał do powiedzenia na temat monitora i jego załogi. Mówił przyciszonym głosem, jakby do siebie, wpatrując się w czerwone wiatelko, pulsujące bez przerwy w plastikowym jądrze Trzeciej.

Chwilami zdawało się, że zapomniał, gdzie jest i kto go słucha. Nie powiedział

nic ponad to, o czym wiedziało każde dziecko. Do pewnego momentu.

Przeszedł właśnie do ostatniego radiogramu nadanego z pokładu monitora.

Jak wiecie, zapis urywa się dwudziestego lipca trzydziestego piątego roku.

Teksty radiogramów dostaniecie po odprawie wskazał ręką kąt sali, gdzie na podłużnym stoliku leżał stos podręcznych analizatorów. Proszę, żebyście zapamiętali każde słowo, jakie tam padło. Od dwunastego lipca. Trzeciego sierpnia cisnął tym samym monotonnym głosem a więc trzy tygodnie po zerwaniu łączności, wystartowała z rejonu naszej bazy ekspedycja ratunkowa...

Co powiedziałem? Że po zaginięciu monitora nikt już nie zajął się na temat dalszych wypraw? Otóż to. Wysłali dwa statki. Na każdym z nich było dwunacie osób. Tym dwunastym, w jednej i drugiej załodze, był ktoś od nas, z Korpusu.

Resztę stanowili młodzi specjaliści, wybrani z obsługi baz planetarnych. Nie zajął się, rzeczywiście. Ale nie o planowanej ekspedycji. O tym, że już wysłali.

I wiem nawet, dlaczego. Mierć człowieka była ceną nie mieszczącą się w kategoriach wartości naszych współczesnych. Zagłada monitora i jego pięcioosobowej załogi stała się powszechną tragedią. Wysłanie dalszych dwudziestu czterech Ziemiaków na prawdopodobną zgubę mogło wywołać szok o trudnych do przewidzenia reperkusjach społecznych. Takie już jest to nasze miłutkie stulecie.

Od dawna panowało wśród specjalistów przekonanie, że ze wszelkich prób nawiązania bezpośrednich kontaktów z mieszkańcami kosmosu trzeba wykluczyć automaty. Nie można się od nich spodziewać niczego ponad to, co przewidziano w ich programach. A jak zaprogramować sposób postępowania martwego urzę-

dzenia na wypadek zetknięcia z istotą technologiczną, która dajmy na to jest zbudowana z substancji niebiańskiej, ma kształt orchidei, fruwa, emituje ultradźwię-

ki i wybucha w zetknięciu z tlenem? A przecież wszystko to zamyka się w kręgu pojęć znanych, z naszego świata. Poza nim muszą istnieć rasy niepodobne do niczego. Każdy kontakt tych istot z

ziemskim automatem groziłby nieobliczalny w skutkach katastrof. Zgoda. A jednak dałbym sobie rękę uciść, że na wieść o planowanej wyprawie ratunkowej ogromna większość ludzi podniosłaby głośny krzyk, opowiadając się za wysłaniem maszyn. Automatów. Do tego nie wolno by-

ło dopuścić. Pozostało zatem albo schować głowę w piasek i udawać, że nic się nie stało, albo też...

Pierwsze było wygodne. Na krótką metę. Jeżeli bowiem ci z układu Alfy celowo i wiadomie zniszczyli ziemski pojazd, to czy w takim razie prędzej czy później nie należało oczekiwać z ich strony jeszcze zabawniejszych niespodzianek?

Hiss, rzecz jasna, nie pisał słówkiem o powodach, dla których druga wyprawa wystartowała w najgłębszej konspiracji. Podawał fakty.

A fakty były bardziej niż złe. Dziewiętego sierpnia, dokładnie trzy tygodnie temu, obydwie statki ekspedycji ratunkowej weszły na orbitę satelity Trzeciej. O

godzinie dwunastej w południe, czasu bazy, Thorns, dowódca Heliosa" przesłał

meldunek, w którym informował, że pozostaje na orbicie stacjonarnej. Równocze-

nie drugi statek, Proxima", przystąpił do manewrów poprzedzających lądowanie. Sześć minut później załogi straciły łączność. Przeszło dwie godziny Thorns nie ruszał statku z orbity, powtarzając sygnały kodu wywoławczego. Wystrzelił

kilka sond, z którymi stracił łączność natychmiast po opuszczeniu przez nie pola bezpośredniej obserwacji. Następnie zameldował, że zmienia orbitę w nadziei odszukania lepszego pasma odbioru.

I na tym wszystko się skończyło. Do bazy nie dotarł już nie tylko strzęp meldunku, ale choćby jeden dwięć automatycznych nadajników pomiarowych. Mia-

ły podawać pozycje statków, gdyby nawet na ich pokładach nie było już jednego żywego człowieka. Ten i ów z grona specjalistów pomyślał może wtedy, że zamiast uszczęliwiać jednym facetem z Korpusu każdą załogę, trzeba było od razu wysłać ekipę inforpolu.

Co do mnie, byłem tego samego zdania. Nasza misja teraz mogła mieć tylko jeden epilog. Dwadzieścia dziewięć trupów to trochę za wiele. Człowiek nie pozwoli zabijać się bezkarnie. Także przez mieszkańców najdalszych planet Galaktyki. Nawet, jeśli przybywa do nich jako nieproszony i być może mało atrakcyjny gość.

Ale Hiss miał złudzenia. To znaczy usiłował nam wmówić, że je ma. Roztoczył przed nami kuszący wizję kontaktu z pozaziemskimi cywilizacjami. Mądre i dobrodusze. Nie marzył o niczym, tylko o odrobinie ciepła ze strony mieszkań-

ców Ziemi. Cała Trzecia Alfa pogrzezona jest teraz w żałobie. Siedzą i zapłakują się na mierć. Bo okazało się, że w statkach, które zniszczyły automaty strażnicze

ich stacji satelitarnych, byli ludzie.

W ustach Hissa brzmiało to oczywiście inaczej. Niemniej istotny sens jego wystąpienia był aż nadto jasny.

Zadanie pierwsze mówił, wodząc po nas beznamiętnym spojrzeniem kontakt. Równoległe próby odnalezienia i ewakuacji trzech pierwszych załóg W razie trudności demonstracja naszych rodków. Najlepiej rozwalcie jakś

planetoidę czy skrajnego satelitę. Antymateriś. Zostawcie im trochę czasu do namysłu. Potem dopiero... urwał.

Wiedzieliśmy, co potem. Nie zapomniś nas tak szybko. I dwa razy pomyłś, zanim kiedykolwiek podejmiś akcję przeciw ziemskim statkom. Chociażby nam samym miało się nie udać.

Nie wspomniał słowem, że mamy tam lecieć. Po co? To było jasne od chwili, kiedy przekroczyliśmy próg dyspozytorni. Wydawało mi się tylko, że jest nas tu trochę za dużo. Tym jednak nie zamierzałem zaprzęstać sobie głowy.

Tak to wyględa kończył Hiss. Statki zobaczycie jutro, przed startem. Dzi przeczytajcie radiogramy i odpocznijcie. Lot potrwa około sześciu lat w jednś stronę. Na miejscu zabawicie, powiedzmy, szeć miesięcy. Razem około półtora roku biologicznego. Podróż, oczywiście, w hibernacji. Sś pytania?

Chwilę trwała cisza, Przerwał jś Riva.

Polecimy jednym statkiem? Wszyscy? spytał niedbałym tonem, jakby dopełniał formalności.

O szczegółach dowiedzie się jutro powtórzył Hiss. To wszystko?

Twarz Jeusa wygładziła się w przelotnym uśmiechu. Zrobił kilka kroków w stronę Rivy i obejrzał go od stóp do czubka głowy. Z minś ogrodnika, któ-

remu pokazano groch wielkoci liwki. Sam miał dobre dwa metry. Ale kombinezon tkwił na nim jak naciśnięty na tyczkę od tego grochu. Przemknęło mi przez myśl, czy mu to trochę nie pomogło. Tak długo zastanawiali się, co z nim zrobić, aż został komendantem największej bazy inforpolu. Jedynej zastrzeżonej dla akcji.

Mogę tylko powiedzieć odezwał się scenicznym basem że dostaniecie wszystko, czym dysponujemy. Teraz zaprowadzę was do kabin. Pogadamy jutro.

Przydzielono mi jeden z pokoi przylegających do dyspozytorni. Były tu punktowe wiatła, wygodna leżanka, fotele z pulpitemi, podręczny komputer i komplet kalkulatorów. Nawet umywalnia ze zwykłś wodś. Można się było przyzwyczaić.

Gdyby, oczywiście, zostawili na to trochę czasu.

Zjadłem, co znalazłem w bufecie i zabrałem się do tych radiogramów. Nie było tam nic, o czym bym nie wiedział. Nie kończśce się kolumny raportów dotyczących promieniowania, nasłuchów, temperatury, namiarów, analiz widmowych i miliona innych obserwacji, poczynionych przez załogę

wyprawy kontaktowej.

Niemal równie obszerne przekazy automatów o stanie zdrowia załogi i warunkach lotu. Wreszcie zarejestrowane rozmowy całej piśtki od chwili startu. Pękata księga. Bez końca. Dosłownie.

Przebiegłem jś wzrokiem i wróciłem do miejsca, gdzie zaczynał się ostatni zapis. Wdusiłem klawisz magnetofonu.

Uwaga, Ner to był głos Toritha zero i zero.

Moment, kiedy monitor zaczął schodzić z orbity. Za pół godziny mieli lśdo-wać.

Dobra, Torith ucieszył się Notti. Dawaj współrzędne. Nic nie widzę na tym ekranie.

Zero i zero, jeden zameldował Torith.

Więcej tlenu głos Ann.

Zero i zero, dwa.

Naprowadzali statek w korytarz.

Zero i zero, trzy.

Tak trzymaj.

Tam sś jakie cholerne góry zauważył Notti.

Zero i zero, cztery.

Stop dysze rzucił Ner.

Hamowali już. Moment, który nigdy nie należy do najprzyjemniejszych.

Zero i zero, pięć Torith. Jego głos brzmiał o odcień mniej spokojnie.

Co jest mruknął Ner. Jak dysze?

Bez ciśgu odpowiedział natychmiast Notti.

Więcej tlenu przypominała Ann.

Zero i zero, sześć wyrzucił Torith.

Kontra na osi! głos Nera zabrzmiał niemal piskliwie.

Czwórka na osi! wyksztusił Notti.

Zero i zero, cztery doniósł Torith.

Pomyślałem, że dowódca wyprawy, Ner, ociera sobie teraz ukradkiem pot z czoła.

Zróbcie co z tš czwórks mruknęła Bistra.

Jeszcze chwileczkę powiedział Notti.

Zero i zero, pięć krzyk Toritha.

Przeciśzenie? spytał natychmiast Ner.

Nie doczekał się odpowiedzi.

Zero i zero, szeć!

Kontra!

Straciłem... zaczął piskliwym głosem Torith.

*

Co takiego mógł stracić? Łścność? Jeszcze była. Chyba że jego pulpit komunikacyjny co już awizował. Namiar korytarza? Byłby to pierwszy wypadek w historii astronawigacji. Tachdarowy obraz lśdowiska? Może. Szansę na to, żeby się dowiedzieć, o co chodziło naprawdę, równały się praktycznie zeru. To straciłem...” było ostatnim słowem, jakie dotarło z pokładu monitora do bazy w Budorusie.

W pokoju zrobiło się chłodno. Wstałem i przesunšłem ršczkę klimatyzatora.

Następnie wróciłem do stolika, odsunšłem nogš fotel i zapatrzyłem się w czarny ekran analizatora. Jego mikroskopijny głoniczek w dalszym cišgu odtwarzał

szumy, dobiegajšce z kosmosu, z miejsca, gdzie jeszcze dwie minuty temu rozmawiali ludzie. Postąłem tak chwilę, po czym wyłączyłem aparacik. Zamarł z cichym miauknięciem, jak przegrzany żyrobus dla lalek.

Zrzuciłem skafander, rozebrałem się do rosołu, wzišłem drugi aparat z zakodowanymi meldunkami ekspedycji ratunkowej i poszedłem z tym na leżankę.

Wysłuchałem wszystkiego skrupulatnie. Od poczštku do końca. Nie stałem się jednak dzięki temu ani odrobinę mšdrzejszy. Monitor miał przynajmniej awarię automatów sterowniczych czy hamujšcych. Jeli to była awaria. W każdym razie schodził z kursu. W raportach z Proximy” i Heliosa” nie było wzmianki o najdrobniejszej niezgodności z programem lotu. Z płaszczyzny ekliptyki wyszli za orbitę Jowisza. Zaraz potem zapadli w hibernację. Obudzili się na wysokości Piš-

tej układu Alfy. Bez przeszkód weszli na orbitę drugiego satelity Trzeciej.

siedzieli tam dwa dni, cierpliwie nasłuchując. Zrobili wszystko, co można było zrobić. Ostatni meldunek był równie spokojny jak wszystkie poprzednie. Sprawdzili współrzędne, sygnalizację alarmową, kilka wariantów awaryjnej łączności.

Przeszli na orbitę stacjonarną. Leger uruchomił dysze hamujące i przystąpił do wstępnych manewrów lądowania. Przebiegały pomyślnie. Po prostu normalnie.

Pierwsze dwie minuty. Po ich upływie, nagle, bez jednego sygnału ostrzegawczego, w ogóle bez żadnego możliwego powodu stracili łączność. Jakby między jednym a drugim statkiem zapadł metalowy ekran.

Pokładowa aparatura Heliosa” urzędziła istną kociś muzykę. Każdy najmniejszy automat sygnalizował alarm. Thorns, dowódca statku, nie zaniedbał niczego. Był z nim Krosvitz, z Korpusu. Przeszli jeden po drugim systemy awaryjne. Równocześnie wysłali w równych odstępach sześć sond komunikacyjnych, na zmienne orbity. Wszystko z tym samym skutkiem. To znaczy żadnym. Minutę po starcie sondy, ile ich było, przestawały przekazywać nie tylko wizję, ale i fo-nię. Jakby je kto wyłapał do wielkiego worka, pełnego ołowianych pieniśzków.

Odczekali jakiś czas. Wreszcie Thorns zameldował, że przechodzi na cianiejszą orbitę i będzie zmieniał pozycję. Liczył na znalezienie jakiego korytarza radio-wego w nie-przenikliwym, jak się zdawało, polu, otaczającym satelitę.

Ostatnie jego słowa, zapisane w bazie brzmiały: W porządku, Areg. Uważaj na...

Pierwsze zdanie odnosiło się do współrzędnych. Drugie... No tak.

Obydwa zapisy przeszły, rzecz jasna, komplet testów interpretacyjnych. Analizowano każdą sekundę zmianę poziomu, każdy najdrobniejszy dźwięk.

W programy komputerów wbudowano wszystko, co tylko zdołali wymyśleć najwięksi fantaci z grona specjalistów. Trwało to bite dwa tygodnie. Sześć dni temu

pogodzono się wreszcie z nieustannie wracającym wynikiem. Zero. Uwzględniając znane czynniki lotu żaden z największych ziemskich kompleksów obliczeniowych nie potrafił podać hipotetycznej przyczyny katastrofy.

Zamknęłam aparacik, zgasilem wiatło i wycisgnęłam się na leżance. Nie by-

łam piścy. Podłożyłam łokcie pod głowę i leżałam bez ruchu. Jutro o tej porze będę zasypiał w kabine rakiety. Mając pod fotelem kilka pokładów, pełnych sond laserowych, baterii kwarkowych, latających maszyn wyposażonych we wszelkiego rodzaju miotacze, akceleratory antyprotonów i licho wie, co jeszcze. Nie powiem, żeby mnie to bawiło. Już teraz. Wolałam nie myśleć, co będzie tam. Choćby Hiss opowiedział jeszcze tysiś bajeczek o przypadkowym nieszczęściu”, kontakcie i supercywilizacji z Alfą. Rozwalili przecież trzy statki słabo uzbrojone i z

pewności nie szukajcie zaczepki.

Że akurat mnie pierwszemu w historii Korpusu Informacyjnego przypadnie misja, do jakiej w gruncie rzeczy bylimy powołani? Cóż, skoro dotychczas nic takiego się nie zdarzyło. Kto kiedy musiał być tym pierwszym. Zresztą, nie leczę

sam.

Przyszedł mi na myśl Uster. Już w czasie rozmowy z Itiś zastanowiły mnie daty. I miałem rację. Poleciał z Leferem, na Proximie”. Głupio byłoby wrócić i powiedzieć Itii, że...

Ale dlaczego ja właśnie miałbym wrócić?

Itia... Przypomniałem sobie, jak była ubrana wczoraj. Jej włosy. Pokój pełen pogodnego wiatła. I to, jak bawiła się szklaneczką z musującym płynem.

Umiechnąłem się do siebie i zasnąłem.

*

Zbudziłem się o siódmej, czasu miejscowego. Umyłem się, spakowałem radiogramy i poćwiczyłem szczęki na kostce koncentratu. Kiedy jadłem, przyszedł

technik z obsługi. Miał na nosie starowieckie okulary z dymnymi szklami. Jakby wracał z obserwatorium.

Nie należał do rozmownych. Obejrzał mnie całego, poruszając przy tym bezgłonie wargami. Wszedł w końcu, ale tylko na chwilę. Wrócił z własnym zestawem diagnostycznym. Nigdy nie widziałem czego równie cudacznego. Obchodził się z tym jak alpinista z ulubionym prymusem. Sprawdził sprzężenia, wymienił jaki drobiazg w butlerze. Miałem wrażenie, że przeszkadza mu we mnie wszystko, co nie jest mechanizmem.

Kiedy wreszcie skończył, wezwano mnie do dyspozytorni. Czekał tu już Snagg. Spotykałem go czasem w klubie. Razem kończyliśmy ostatni kurs Korpusu.

Kilka sekund po mnie wszedł Riva. Stańlimy koło układu planetarnego Al-fy. Nie powiećlimy zbyt wiele uwagi jego orbitom, maniętym w przestrzeni błyszczącymi nitkami. I nie mielimy sobie nic do powiedzenia. Chwilę potem przyszedł Jeus. Wydawał się jeszcze bardziej chudy niż wczoraj. I nie patrzył

nam w oczy. Spytał, czy przesłuchalimy radiogramy i nie czekając na odpowiedź

ruszył ku drzwiom.

Poszlimy za nim. Najbliższym szybem wyjechalimy na drugi poziom. Alarmowy. Stąd przeszlimy pochylnię transportową bezpośrednio na pole startowe.

Przezroczyta kopuła wieży była tak przezroczyta, że musiałem jej dotknąć palcem. Stała tam naprawdę. Tuż pod wież, w odległości dosłownie pięciu kroków, wznosiły się na wysokość kilkunastu pięter trzy popielate cygara. Wyglądały so-lidnie. Za sześć lat mielimy ujrzeć z ich kabin wiat innego słońca. Pokazać mu,

co potrafimy. Może nawet wrócić tutaj, na cięty szczyt niewielkiego, stożkowate-go wzgórza w Budorusie, które kryło w swym bazaltowym brzuchu główną bazę inforpolu. Każda z raket nosiła emblemat Korpusu, wytrawiony u nasady dysz.

Poza tym wzdłuż całego kadłuba rodkowej ciśgnęły się wielkie litery, tworzące nazwę Uran”. Dwie pozostałe miały ledwo widoczne napisy: Kwark” oraz Merkury”.

Automat luzowy sprawdził skafandry. Były w porządku. Podeszliśmy bliżej wjazdu. Jeus odchrząknął i przygarbił się jeszcze trochę. Wodził nieprzytomnym spojrzeniem po czubkach naszych butów. Zanosił się na dłuższą mowę.

Dowódca ekipy jest Thaal wymamrotał.

Nie poruszyłem się. Równie dobrze mogli wyznaczyć którego z dwóch pozostałych.

Leci was trzech ciśgnął Jeus, nieco janiejszym głosem. Rivai Snagg.

Kabina Urana” została całkowicie zaadaptowana dla załogi trzyosobowej. Poza statkiem dowodzenia macie dwa pojazdy tego samego typu, sterowane przez automaty. Ich orodki dyspozycyjne są sprzężone z waszym. W razie konfliktu starajcie się w pierwszej kolejności manewrować statkami satelitarnymi. Wyposażenie kontaktowe. Podwójny komplet sond komunikacyjnych i laserowych. Zestaw pojazdów standardowy. Szczegółowe dane będą wam przekazane przez pokładowe datory w czasie hibernacji. To wszystko.

Wyprostował się. Jego wzrok podniósł się odrobinę. Gdzie do wysokości naszych pasów. Można powiedzieć, że poweselał.

Skinąłem głową i odwróciłem się do wjazdu. Przepucili mnie pierwszego. Zrobiłem kilka kroków w stronę trapu. Na moment przystanąłem i rozejrzałem się.

Nad Budorusem zaczynał się drugi tydzień dnia. Słońce stało niemal w zenicie. Na południowym krańcu widnokregu majaczyły postrzępione szczyty Kaukazu. Jakby kto zaznaczył kontury lądu czarnym, cieniutkim wężykiem. Między burozłotą pustynią i granatowym firmamentem, powleczonym złotą mgiełką, tak jasną, że niemal białą. Nie była to oczywiście prawdziwa mgła. Na wschodzie, bliżej, Al-py. Na północy, niewidoczny stąd, krater Arystotelesa. Ze swoimi bazami i ich uczoną załogą. Miną jeszcze doby, zanim Budorus i wszystko, co go otacza, po-grży się w księżycowej nocy. Będziemy wtedy za orbitą Transplutona. A nawet za apheliami komet.

Przeszedłem trap. Wszedłem do kabiny i zajęłem rodkowy fotel, przed głównym ekranem i pulpitem neuromatu. Kiedy się obejrzałem, Snagg i Riva siedzieli już koło mnie.

Kazałem sprawdzić zespoły. Chwilę wsłuchiwałem się w pewne meldunki automatów i spokojne głosy ludzi. Ciekaw byłem, dlaczego Jeus nie wspomniał o trzech pozostałych. Szeciu nas cišgnęli z centrali. Może zmienili plany

w ostatniej chwili? Było to mało prawdopodobne. Ale niech się tamci martwiš.

Wystartowaliśmy punkt dwunasta. Dwie godziny póniej urzšdziliśmy totalnš kanonadę. Widok musiał być piękny dla kogo, kto przyglšdałby się z zewnštrz.

Miałby co opowiadać. Gdyby jakim cudem przeżył.

Automaty celownicze działały bez zarzutu. Tak samo generatory energii.

W ogóle wszystko działało. Ale co trzeba było robić. W hibernację mielimy wejć dopiero po opuszczeniu płaszczyzny ekliptyki. Za orbitš Jowisza.

Nastšpiło to pod koniec trzeciego tygodnia podróży. Teraz dopiero statek za-czšł się rozpędzać do szybkości podróźnej. My tkwilimy juź w pianolitowych kokonach, pogršżeni w najgłębszym nie. Do pobudki zostało trochę czasu. Niewiele ponad szeć lat.

*

W programie był błšd. Albo w czasie, kiedy spalimy, nastšpiła awaria kórego z zespołów. Automaty niczego nie sygnalizowały. Wokół nas była próżnia.

Ekranu czyste jak próbki granatowoczarnej farby. Czujniki wszystkie na swoich miejscach. Równe rzędy białych i zielonych wiatełek na pulpitych.

A jednak wyszliśmy z hibernacji w sposób przewidziany dla sytuacji alarmowych. Bez adaptacji. I od razu musieliśmy wzišć się do roboty. Przede wszystkim stwierdziliśmy, że we nie nie dowiedzieliśmy się niczego. Nawaliły teledatory.

Trzeba było pytać automaty. Na gwałt przygotowywaliśmy programy. Nie było sekundy do stracenia. Za kilka dni mielimy wejć w pole grawitacyjne Trzeciej. Do tego czasu baza nie odbierze nawet naszych meldunków. Nie mówišc juź o odpowiedzi. Wykorzystanie tachjonów do komunikacji międzygwiazdnej zmniejszyło opónienia z lat do tygodni. Byliśmy w sšsiedztwie najbliższego ze słońc. Jednak przecieź te półtora parseka.

*

Podchodziliśmy spiralnym torem do drugiego satelity. Jak dotšd nic się nie działo. Przechwyciliśmy silne sygnały radiowe. Ale bez zwišzków znaczenio-wych. Przynajmniej takich, żeby mogły je rozszyfrować nasze analizatory. Za kilka minut znajdziemy się na orbicie.

Raptem, w ułamku sekundy, cała kabina rozjęczała się sygnałami alarmu.

W pulpicie zapłonęły ostre wiatła. Przez pancerz statku przebiegło drżenie.

Rzuciłem się do neuromatu. Jego ekran był ciemny. Musiałem postępować tak, jakby zawiodło całe automatyczne sterowanie. Zablokowałem sprzężenie neuromatu. Sam przejsłem stery. Rivie kazałem zejść się Merkurym”. Snagg miał zdalnie pilotować Kwarka”. Natychmiast wysunął statek do przodu, żeby nie wpakować Urana” pod jego dysze. Riva zrobił to samo. Szliśmy szykiem stożkowym. Nie spuszczałem wzroku z ekranu tachdaru. Jedyne, na jaki można było jeszcze liczyć. Ukazała się iskierka. W ułamku sekundy urosła do rozmiarów płonącej kropli. W tym samym momencie przestrzeń przed nami zmieniła się w morze ognia.

Riva otworzył ogień. Miotacz Merkurego” strzelił w kierunku obiektu ładunkiem antyprotonów. Nie było poprawek. Ekran ciemniał na chwilę, a kiedy odzyskał

kolor rozjanionego granatu, nie dostrzegliśmy na nim ładunku jakich iskier ani kropelek. Co to było? Meteor? Pocisk?

Alarm. W polu widzenia trzy obiekty. Nie meteory. Statki. Nawet podobne do naszych. Zbliżały się po stycznej, dzięki czemu mogliśmy je obejrzeć.

Snagg i Riva przystąpili do akcji. Zobaczyłem, jak satelitarne rakiety odwracają ciężkie łby, pokonując przeciżenia zabójcze dla każdej żywej istoty i rozbiegają się na boki. Usłyszałem sygnały wywoławcze. Krótkie serie liczb. Ale tamci znajdowali się już w polu rażenia baterii laserowych. I nie odpowiadali. Zanim zdążyłem pomyleć, że nie czas teraz bawić się w parlamentariuszy, dostrzegłem najcieńsze nitki złota, które na mgnienie połączyły lasery Merkurego” ze rod-kowym statkiem obcego klucza. Zaraz zeliznęły się w stronę dwu pozostałych.

Jeszcze moment i w miejscu, gdzie przed chwilą ciemniały smukłe korpusy rakiet, wykwitły trzy chmury ognia. Pole wokół nas było znowu czyste.

Kilkanacie minut pozostawaliśmy na orbicie. Sprawdziłem zużycie energii i wyrównałem pracę stosu. Wszystkie zespoły neuromatu pracowały jakby nigdy nic. Kazałem powtórzyć meldunki, jakie w czasie starcia poszły w kierunku bazy.

Były precyzyjne i układały się w logiczną całość. cieniły orbitę i po upływie

dalszych kilkunastu minut uruchomiliśmy dysze hamownic. Nagle Snagg zameldował, że automatyczny pilot Kwarka” utracił sprzężenie z neuromatem. Chwilę później ujrzeliśmy w iluminatorach dziób statku. Zachowywał się tak, jakby przechodził do szyku bojowego. Przyspieszył. Niemal straciliśmy go z oczu. Raptem zaczął zataczać ostry łuk. Tak ostry, że nie sśdziłem, aby przy tej szybkości w ogó-

le było to możliwe. Dobra rakietka. Za dobra. Ustawiała się na wprost nas, nieco bokiem. Snagg od dłuższej chwili szarpał raz za razem dwignię blokady. Z równym skutkiem mógł zabawiać się zapalniczką. Kwark” najwyraniej manewrował pod wpływem automatów celowniczych. Ale nie było w co celować. Poza nami.

Żaden z nas nie odezwał się słówkiem. Od momentu przebudzenia nasze umysły pracowały jak

najczulsze stacje obliczeniowe. Szybko i precyzyjnie. Reakcje następowały jedna po drugiej, za każdym razem jedyne, jakich wymagała sytuacja. Nie czułem nawet chłodu w koniuszkach palców. Nie czułem nic.

I teraz byłem spokojny, przyciskając spust miotacza antymaterii. Kwark” był za dobrze uzbrojonym statkiem, aby próbować zabawy z laserami.

Zniknął w ułamku sekundy, pozostawiając utrzymujące się w próżni wiatło.

W następnej chwili zablokowaliśmy jego sprzężenia z neuromatem. Co się zmieniło. Mielimy już tylko dwa statki. Automaty zachowywały się przez chwilę jak zdezorientowane. Trzeba im było zapewnić równowagę w nowej sytuacji.

Równolegle przez cały czas rozwijaliśmy operację lądowania. Tachdar okre-

lił już pole na powierzchni satelity. Weszliśmy w korytarz z dokładnością do centymetrów. Dziesięć minut później kratownice Urana” dotknęły gruntu.

*

Odczekaliśmy trzydzieci sekund. Cisza. Oba statki stały mocno, bez drgania. Podłoże musiało być skaliste. Przeprowadziliśmy krótkie pomiary. Atmosfera jak na zamówienie. Radioaktywność praktycznie żadna. Temperatura wysoka, ale w normie.

Zostawiliśmy automaty w pozycji pogotowia startowego. W kabinie Urana”

miał czekać Riva. Snagg i ja zeszliśmy na ląd. Kłapa transportowa Merkurego”

stała już otworem. Po chwili ukazał się w niej płaski łeb Phobosa”. Ten najcięższy z naszych poduszkowców był niemal tak uzbrojony jak jego macierzysty statek. Wypelzał teraz na miazgi piasek, zalegający lądowisko.

Jazda trwała niespodziewanie krótko. Za pierwszą wyższą wydmy, w piaszczystym siodle ukazał się nagle wielki, cudaczny pojazd. Przypominał starowiecką barkę. Albo stodołę. Stanęliśmy. Zbliżył się do nas na odległość czterystu metrów i zatrzymał się również. Z jego wnętrza trysnęły jak race, wyrzucone we wszystkich kierunkach naraz, jajowate kształty. Długimi skokami, ale nie bardzo szybko, polatywały w naszym kierunku. Były przezroczyste. W ich wnętrzu, za cienkimi jak się zdawało ciankami co się poruszało. Wyrównały tyralierę i zamarły, odgradzając nas od swojego macierzystego pojazdu dość gęstym płotem.

Domyliłem się, że wewnątrz siedzą automaty. Zostawiłem Snagga przy miotaczu i zeskoczyłem na piasek. Powoli, ciskając w rękę kolbę ręcznego lasera, zszedłem w ich stronę. Umiechałem się. Powinienem się umiechać. Mogł mieć analizatory lepsze od naszych.

Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, przystanęłem. Odpiłem od pasa pustą kaburę i położyłem ją na piasku. Oddaliłem się parę metrów i wypaliłem do niej krótką serię. Spłonęła jak słomka.

Odwróciłem się twarzą do obcych. Podniosłem rękę z miotaczem, następnie schyliłem się i położyłem laser przed sobą. Wyprostowałem się, rozłożyłem ręce, pokazując, że są puste, i odliczyłem jeszcze sto kroków w stronę mieszkańców Trzeciej. Bo przecież nie mogły to być istoty czy maszyny pochodzące stąd, z martwego satelity.

Chwilę stałem bez ruchu. Wreszcie wzruszyłem ramionami i rozsiadłem się wygodnie na piasku. Robiłem to wszystko tyle razy na poligonie, że nieustannie docierające do mnie wskazówki pokładowych automatów przyjmowałem jak szum deszczu na Ziemi, nie zwracając na nie uwagi.

Siedziałem tak bite dwadzieścia minut. Pomyślałem, że Snagg pojedzie, jeżeli to jeszcze trochę potrwa. Wstałem i wyprostowałem się. Wtedy co wreszcie poruszyło się w obcej tylarierze. Spoza niej, chyba od strony głównego statku, wyszły dwie postacie. Ruszyłem im naprzeciw. Po chwili zatrzymaliśmy się. Oni i ja. Nie dzieliło nas więcej niż półtora metra.

Poruszałem się teraz jak na zwolnionym filmie. Wydobyłem z kieszeni miniaturowy przekanik holowizyjny. Równocześnie Snagg uruchomił nadajnik. Uderzyłem się wskazującym palcem w pier i wywietliłem pierwszy obraz. Zdjęcie układu słonecznego na tle Galaktyki. Żółta strzałka wskazywała Ziemię. Następny obraz był przestrzenną fotografią planety, zrobioną ze stacji satelitarnej.

Dalej

miasto. To, w którym się urodziłem. Góry, morze, rzeka. Drzewa, ogrody pełne kwiatów. Ludzie. Kobieta i mężczyzna. Dzieci.

Trwało to doć długo. Twórcy zestawu nie skłpili informacji nie znanym sobie widzom. Wreszcie skończyłem. Wtedy położyłem przekanik na otwartej dłoni i z wyciśgnięts rękš podszedłem do pierwszego z obcych. Stańłem tak, że jeszcze krok, a musiałbym go popchnść. Ani drgnął. Za to mogłem mu się teraz lepiej przyjrzeć. Nie był automatem. Chyba nie. Každy ogród zoologiczny na Ziemi ku-piłby go bez wahania. Największemu fantacie wród zoologów nie przyszłoby na myl, że ma przed sobš istotę technologicznš. A był niš, skoro umiał posługiwać się pojazdami.

Stalimy pier w pier, jeli można tak powiedzieć o trójkštnym pojemniku w bezbarwnej folii, jaki sterczał z jego tułowia na wysokoci mojego żołšdka.

Niewykluczone, że miał tam głowę. Centrum nerwowe. Gdziekolwiek jš zresztš miał, nie wyglšdało, żeby jej nadużywał. Znaczyało mnie to nudzić. Wreszcie wykonał jaki ruch. Nie był to jednak gest pod moim adresem. Natychmiast z ty-raliery pojazdów wysunł się jeden wypukły kršzek i podjechał ku nam. Zatrzymał się całkiem blisko. W przezroczytym płaszczu dostrzegłem otwór wielkoci fryzjerskiego lustra. Mogło to oznaczać zaproszenie. Mogło nic nie oznaczać. Po-rozumiałem się ze Snaggiem i wlażłem do rodka. Kabina pojazdu od wewnštrz wyglšdała jak szklane jajo. Była idealnie pusta, ogołocona ze wszystkiego, co w najmniejszym stopniu mogło przypominać przyrzšdy nawigacyjne. Ułożyłem się niezgrabnie w rodkowej części zakłęnięcia jak na dnie wielkiej wanny. Jajo pędziło już ze mnš, toczšc się po gruncie i wzbijajšc chmury pyłu. Nie sposób by-

ło spostrzec, czy inne podšzajš za nami, czy zostały w šssiedztwie Snagga. Spró-

bowalem nawišzać z nim kontakt. Odpowiedział niespodziewanie Riva. Co psuło się w atmosferze. Przez górńš ciankę widziałem nadbiegajšce zewszšd chmury.

Wreszcie wjechalimy do miasta.

Miasto. Raczej składowisko pomocy naukowych. Setki brył geometrycznych, poprzewracanych i zastygłych w niemożliwych pozach. Wielki, jak wymieciony, plac. Przypominał rynek. Równie dobrze mógł to być cmentarz albo na przykład strzelnica.

Kiedy wygramoliłem się z pojazdu, porodka placu, daleko, w perspektywie szerokiej przecinki między bryłowatymi konstrukcjami co drgnęło. Obejrzałem się. Jajo znikło już z pola widzenia. Zostałem sam jak palec.

Najniespodziewaniej usłyszałem głos Snagga, jakby stał metr koło mnie. Powiedziałem, że żyję, ale żeby się miał na bacznoci. Nie był daleko. Musiał też ruszyć w stronę miasta, niewiele wolniej niź moje jajo.

Z przecinki naprzeciw wytoczył się duży, żółwiowaty pojazd. Miał z przodu co w rodzaju wieżyczki zakończonej ostro cięts rurš. Obrócił jš w mojš stronę. Błysnęło. Był to króciutki błysk, nie zdšżył

mnie nawet olepić. Równocześnie grunt drgnął. Kilka centymetrów przed moimi stopami przetoczył się ciemny kształt. Wywołałem Snagga. Jeszcze podawałem mu namiary, kiedy błysk się powtórzył. Znowu chybili. W tym momencie Snagg otworzył ogień. Niemal usłyszałem niewidoczny lot pocisku z kwarkowym jądrem. Runąłem na ziemię.

Siedemset, może osiemset metrów od epicentrum.

Snagg przedobrzył. Zamiast przestrzelić miasto i dosięgnąć go zewnętrznym promieniem rażenia, wpakował pigułę w sam ratusz, jeli można się tak wyrazić.

Pomyślałem to leżąc bez ruchu, kiedy bryły domów, jeli to były domy, w sąsiedztwie strzelającego pojazdu spływały ognioś lawś, tworząc barwne rozlewiska.

Nic mi się nie stało. Nie dosięgnę! mnie żaden odłamek. Przed bezporednim podmuchem osłoniło mnie przypadkiem znalezione przedpiersie. Mogłem pożyć jeszcze dwa, nawet trzy dni. Przy tej dawce promieniowania szansę na przedłużenie tego okresu były żadne.

Odwróciłem się powoli i sztywno wyprostowany ruszyłem w stronę, skąd przyjechałem.

Pół godziny później odnalazłem Snagga. Czekał w otwartym wlocie Phobosa”, na szczycie płaskiego wzgórza.

Kiedy mu powiedziałem, zamilkł. Następnie, wbrew mojemu zakazowi usiłował podjechać bliżej. Krzyknąłem. Uspokoił się. Ale tylko na moment. Zastanowił

się przez chwilę, po czym wyskoczył z włazu i zaczął ić w moją stronę. Wzi-

łem do ręki rzutnik holowizyjny i powiedziałem, że strzelę, jeli zbliży się jeszcze

o krok. To go zatrzymało. Nie mógł dojrzeć, że nie mam miotacza. W dalszym cięgu był podniecony. Wykrzykiwał, że nie odleci, że na statku sś neutralizatory,

że ułożą mnie w hibernatorze i tak dalej. Nonsens. Musiał sobie równie dobrze jak ja zdawać sprawę, że takiego ródła promieniowania, jakim było teraz moje ciało, nie zniósłby w kabinie osobowej żaden z pokładowych automatów. A oni nie mogli się do mnie zbliżyć. Wystarczyłoby kilka minut.

Wezwałem Rivę. Dałem sygnał alarmu. Nie próbował startować. Położył raketę i taranował powierzchnię globu na poduszce powietrznej. Musiało mu być ciepło. Za to ujrzałem go po niespełna piętnastu minutach. Wtedy Snagg ruszył.

Nie spiesząc się, krok za krokiem podszął w moją stronę. Próbowałem uciekać.

Skazenie zrobiło jednak swoje. Był szybszy, kiedy zaczął biec. Dopadł mnie, zanim przebyłem dwieście metrów. Nie miałem pod ręką żadnego przedmiotu, któ-

rym mógłbym go uderzyć i obezwładnić. Stał koło mnie i umiechał się. Liczył

chyba na to, że Riva nie zostawi obu swoich towarzyszy w tej samej sytuacji.

Minęło pięć minut. Odrobinę za wiele. Riva był teraz równie bezradny jak ja.

Nakazałem mu opuszczenie globu i powrót do bazy. Strata statku i śmierć dwóch ludzi, w tym dowódcy, usprawiedliwiała tę decyzję. Nie miał tu już czego szukać.

Sprawa musi zostać otwarta do czasu następnej ekspedycji. Nie wstąpiłem, że jś wylś. Ale ani ja, ani Snagg już tego nie zobaczymy.

Zabrzmiał daleki, spokojny, jakby niechętny głos Rivy. Żegnał się z nami po swojemu. Zaraz potem Uran” uniósł łeb i zaczął przechodzić do pionu. Usłysza-

łem, jak samotny już pilot wzywa automaty startowe Merkurego”. Czas naglił.

W każdej chwili należało oczekiwać odwetu za zdruzgotane miasto. Powietrze zadrgało. Jeden po drugim odpalały silniki głównego ciągu. W ciągu kilkudziesięciu sekund rakieta stanęła na słupie ognia. Uniosłem rękę. Nie wiem, czy na mnie patrzył. Start z nie przygotowanego pola stwarza zawsze trochę kłopotów.

Odprowadziłem wzrokiem niktś w przestrzeni smużkę fotonowej wiązki, po czym odwróciłem się do Snagga. Nie zobaczyłem go już. W ułamku sekundy obraz rozmazał się, ciemniał, zafalował. Zniknęła piaszczysta pustynia, obcy nieboskłon, stygnąca kałuża gruntu, trafionego odrzutem startującego statku. Tam, gdzie przed chwilś jeszcze stał Snagg, widniała teraz skrzywiona twarz Jeusa.

Powiększona do rozmiarów reklamowego afisza. Wypełniała cały czołowy ekran statku.

Rozejrzałem się. A więc to tak. Siedzieliśmy najspokojniej w kabinie rakiety, kilka metrów od wieży dyspozycyjnej pola startowego w Budorusie. Z lewej i prawej strony wznosiły się ciemne sylwetki statków satelitarnych. Od rzekome-go startu minęło nie szeć lat, a chyba niewiele więcej niż szeć minut. Kwestia częstotliwoci. Musieli użyć najnowszych, sprzężonych emitorów holowizyjnych.

Jeli już zdecydowali się na zabawę w egzaminatorów...

Licho wie, po co w takim razie przechodziliśmy te wszystkie sprawdziany na poligonach, kilka razy w roku.

*

Odpiłem pasy. Ciekawe, kiedy wystartujemy naprawdę. W każdym razie teraz możemy wrócić do naszych przytulnych pokoików. Skoro już zrobili to przed-stawienie, będś kilka godzin lęczeć nad zapisami automatów kontrolnych. Na zdrowie.

Przypomniałem sobie dziwnego technika w okularach. Jasne. Pokombinował

co z mojś osobistś aparaturś. Inaczej od razu dałaby mi znać, że to tylko szopa.

W PRZESTRZENI

Leżałem nagi na materacu, odpierającym elastycznie każde poruszenie ciała i czułem, jak skrapla się w porach mojej skóry wyparowana wilgoć. Nie byłem zmęczony. Nie bardziej niż po pierwszym lepszym pozorowanym locie sondażowym po orbicie Jowisza. Tam także spotykały nas wymylne niespodzianki. Złudzenie było równie doskonałe. Tylko że włączając do rakiety człowiek był uprzedzony. A dzisiaj cały ten lot, walkę i mierę przeżyłem naprawdę. Fakt, że wszystko rozegrało się pięć kroków od bazy, miał znaczenie tylko dla obserwatorów. Nie dla mnie. I choć nie czułem zmęczenia, wewnątrz mojego układu nerwowego musiały zachodzić jakie procesy regeneracyjne.

Kto zapukał do drzwi. Zwlokłem się z materaca i z uczuciem człowieka wchodzącego w samo południe do pieca rozpalonego na Saharze, wbiłem się w lekki, spacerowy skafander. Ustawiłem ręczkę klimatyzatora na zero i otworzyłem drzwi.

Na progu stała młoda dziewczyna w krótkiej, pomarańczowej spódniczce.

W pierwszej chwili przebiegło mi przez myśl, że to dalszy ciąg porannych igra-szek. W każdej bazie były oczywiście kobiety. Ze wszystkimi możliwymi cenzu-sami naukowymi. Ich osiągnięcie pochłania ładne kilkanacie latek. Najzdolniej-szym.

Ta wyglądała raczej na studentkę. Jej krótko cięte włosy miały barwę jasnego, wytrawnego wina. Umiechała się. Równocześnie jednak jej szeroko otwarte oczy patrzyły we mnie jakby badając, czy zaraz zamienię się w wielką, złoliwą małpę, czy trochę jeszcze poczekam.

Widziałem dzisiaj różne potwory mruknąłem, nie ruszając się z miejsca.

Jestem uodporniony. Inaczej padłbym trupem na miejscu. Nie przypuszczałem, że posunę się aż do tego. To nie fair.

Umiechnęła się znowu. Tym razem umiechnęły się także jej oczy.

Jeżeli nic już panu nie grozi powiedziała tonem, jaki jej zdaniem mógł

wiadczyć o pewności siebie to może pozwoli mi pan wejść. Na chwile

dodała szybko.

Przepuściłem ją bez słowa, następnie zamknąłem drzwi i postąpiłem kilka kroków w jej stronę.

Co do tych potworów powiedziała widziałam wszystko. Byłam w wieży dyspozycyjnej. Jestem lekarzem wyjanila.

Wskazałem jej fotel. Sam wróciłem na materac i wyciągnąłem się wygodnie.

To wietnie mruknąłem. Ale nie sądzę, żebym potrzebował lekarza.

Chyba że chce mi pani wymienić jaki drobiazg?

Na imię mi Lina jej głos stał się nagle poważny i jakby smutny.

Nic panu nie trzeba wymieniać. To raczej mnie proszę traktować jak pacjenta.

Potrzebuję pomocy.

Naprawdę? zdziwiłem się. To mnie podnosi na duchu. Zrobię wszystko dla dziewczyny w spódniczce.

Znowu poweselała odrobinę.

Wszyscy zwracajš uwagę na moje ubranie poskarżyła się z kokieteriř.

A ja uważam, że to bardziej kobiece niż spodnie i te różne cudaczne kombina-cje.

Cieszę się, że tak uważasz owiadczyłem z powagš.

Spódnice nosiły już tylko niektóre plastyczki i babki zawodowo, że tak powiem, ekstrawaganckie. Na Ziemi. Założyłbym się, że była jedynš, która docho-wała im wiernoci również w przestrzeni. Miała nogi jak tancerka z kabaretu.

Takiego, gdzie człowieka dwa razy obejrř od stóp do głowy, zanim go wpuszczš.

Niewiele mogę zrobić powiedziałem powoli, nie spuszczajřc wzroku z jej twarzy. Jeli spodoba im się to, co widziała, jutro już mnie tu nie będzie.

Chyba umiechnšłem się że tam masz co do załatwienia.

Skinęła poważnie głowš.

Tak szepnęła. Włanie tam.

A więc jednak. Uniosłem się na łokciach i spojrzałem na niř zachęcajřco.

Ann jest mojř siostrř powiedziała cicho. Wiesz...

Nie wiedziałem, oczywiście. Skřd miałem wiedzieć. Ann. Poleciała z wyprawš kontaktowš. Uchodziła za wybitnego egzobiologa.

Chcesz, żebym jř przywiózł z powrotem? spytałem po chwili półgłosem. Po to tam lecimy skłamałem. Tylko minęło już kilka lat i...

Wiem przerwała. Nie jestem dzieckiem. Chciałam... ciszyła głos. Nie wskórasz nic, jeli od razu zaczniecie strzelać. Przepraszam

dodała

szybko. Ale w jej głosie nie było ladu skruchy.

Nie szkodzi powiedziałem.

Chwilę nie mówiliśmy nic. Nie miało sensu jej tłumaczyć. Wiedziała wszystko równie dobrze jak ja.

Może za wcześnie przychodzisz z tym do mnie powiedziałem wreszcie.

Było nas szeciu...

Nie przerwała znowu. W jej głosie zabrzmiała pewność.

Powiedzieli ci?

Potrząsnęła główką.

Nie musieli mi mówić owiadczyła z powagą. Widziałam. Bylicie lepsi.

Wstałem i przeszedłem się po pokoju. Miła dziewczyna. Jej twarz, odrobinę za pełna, miała w sobie coś z górskiego kwiatu. Takiego, co rozwinął się w słońcu

i któremu nie przeszkodziły deszcze ani wiatr. Zatrzymałem się tuż za nią i położyłem rękę na jej ramieniu.

Dziecinko powiedziałem z umiechem jesteśmy tacy sami. Wszyscy.

Nie ma wśród nas lepszych. A już na pewno gorszych.

Okręciła się zwinnie w miejscu, tak że jej twarz znalazła się tuż pod moją.

Duże, szeroko rozstawione oczy, wąski nos z delikatnie zarysowanymi nozdrzami i ciemne brwi, wygięte ku górze. Miła dziewczyna.

Nadludzie? spytała drwiśco. Czy może automaty? Zapominasz, że jestem lekarzem. Bylicie lepsi o trzy punkty. To znaczy tamci byli trzykrotnie bliżej błędu,

Ale go nie popełnili?

Zachnęła się.

Tak czy owak polecą twoja załoga powiedziała. Wiedziałam o tym...

zawahała się.

Jak tylko nas ujrzała? Zrozumiała, że albo nikt, albo my. Była kiedyś taka piosenka.

Pomyślała chwilę, czy się rozgniewać. Ale dała spokój.

Nie was poprawiła. Ciebie. Może jesteście tacy sami. W służbie i tak dalej. Ale nie dla dziewcząt.

W każdym razie nie dla mnie. Dość, że wiedziałam.

Przyjmij to jako fakt, równie pewny, jak moja obecność tutaj, w twojej kabinie.

Widzisz, to przecież ciebie właśnie przyszłam prosić, żeby zrobił wszystko dla Ann... Wszystko, co będzie możliwe...

Już od pewnej chwili przestałem się umiechać. Teraz poczułem, że w pokoju robi się chłodno. Wstałem i przesunąłem rączkę klimatyzatora. Zrobiłbym jeszcze co, co zajęłoby trochę czasu. Ale nic nie przychodziło mi na myśl.

Wróciłem powoli na tapczan i spojrzałem jej w oczy. Patrzyła na mnie spokojnie.

Dziecinko mój głos brzmiał odrobinę ciszej, niż należało nie licząc na to za bardzo. Rozumiem, co chciała mi powiedzieć. Tylko tyle.

Skinęła głowę.

O to mi właśnie chodziło wyszeptała. I nie myśl, że przyszłabym z tym do każdego. Pomimo umiechnęła się że jesteście tacy sami...

Zapanowało milczenie. Wiedziałem, co zrobić, a czego nie. Powiększenie marginesu w naszych programach nie wchodziło w rachubę. Byłby to zawsze margines błędu. Błędu, który mógłby kosztować wszystko. Swoją drogą dziwne, że wybrali akurat mnie. Tak naprawdę nie wierzyłem ani przez chwilę, że moje ma-chinacje z butlerem pozostały nie zauważone. Aparatura kontrolna stymulatorów w centrali musiała co zarejestrować. Ale byłem spokojny. Cały czas. Może to dlatego?

Spojrzałem na dziewczynę. Siedziała bez ruchu, przyglądając mi się uważnie. Jej twarz była czujna, choć zniknęło z niej napięcie. Jakby właśnie zażegnała groźbę jej niebezpieczeństwo.

Od dawna jeste tutaj? spytałem.

Od szeciu lat odpowiedziała obojętnym tonem.

Skinęła głowę.

Czekam dodała po chwili. Dali mi przydział, chyba ze względu na Ann. Ja... zawahała się my byliśmy zawsze razem...

To kawał czasu mruknąłem. Odniosłem wrażenie, że za chwilę się rozklei. Nie lubiłem tego. Kiedy, u licha, zdążyła skończyć studia? spytałem szybko.

Umiechnęła się blado.

Mam dwadzieścia sześć lat owiadczyła bez przykroci. Kiedy wró-

cisz, będę starsza od ciebie.

Obliczyłem szybko.

O rok wzruszyłem ramionami. I będziesz już profesorem. A ja pójdę do przedszkola. Żeby się nauczyć, co zrobicie przez te trzynacie lat.

Potrząsnęła przecząco głową.

Studia skończyłam tutaj wyjaniała. Nie będę profesorem dorzuciła po chwili.

Co robisz po pracy?

Spojrzała na mnie, jakby nie rozumiejąc. Wreszcie uniosła brwi i rozłożyła bezradnie ramiona.

Mamy tu kluby... uczę się trochę... chodzę na spacer.

Na powierzchni?

Też. Ale nie za często. Zwykle idę do ogrodów. Porobili tam kawiarenki, takie jak na dole.

Umiechnąłem się mimo woli. Wyrażenie na dole” należało do żargonu przyjętego we wszystkich pozaziemskich stacjach. Oznaczało oczywiście Ziemię i jak wiele zwrotów tego żargonu zawierało podświadomy bunt przeciw odkryciom Kopernika, w momencie kiedy przychodziło dowiadczyć ich prawdziwości na własnej skórze.

Po szłaby tam ze mną? spytałem!

Ożywiła się.

Teraz? spytała, wstając.

Uhm. Na jutro nie mogę się, niestety, umawiać.

*

Oprowadziła mnie po całej bazie. Zrobiliśmy, lekko licząc, dwadzieścia kilometrów. Najpierw zjechalimy na trzeci poziom, najniższy. Zlokalizowano tam całą produkcję. I energetykę. Mijaliśmy nie kończące się ciągi przewodów, węzły, rozdzielnie niebotytanowych kabli kriogenicznych, a raczej ich pancerzy, w któ-

rych krzątał powoli płynny wodór. Piece wodne, ogrzewające wszystkie zakamarki bazy i stanowiska dodatkowe źródło energii. Na ekranach, wmontowanych w cianę korytarza, można było ledzić toczący się w nich nieustannie proces łączenia deuteru w hel. Dalej fabryki broni. Hala laserów chemicznych, stosowanych jako zapalniki bomb i pocisków kwarkowych. Generatory laserowe i miotacze. Mnó-

stwo zabawnych rzeczy do zabijania, trucicia i spalania. Jednodniowa produkcja dostarczała energii, zdolnej do rozwalenia całego układu planetarnego. Na tym poziomie znajdował się dworzec kolei grawitacyjnej, łączącej bazę z innymi placówkami na całym globie. Ale pociągi przychodziły tu rzadko i nieregularnie.

Teren specjalny.

Nie zabawiliśmy tam długo. Ani też na rednim poziomie, zwanym dyspozycyjnym, gdzie mieszkała prawie cała załoga. Tu zresztą zaczęliśmy nasz powitalny spacer. Teraz pojechalimy wyżej. Pięć szóstych powierzchni poziomu zajmowały tutaj ogrody. Poza nimi znalazło się miejsce na plac alarmowy i startowy. Wszystko na jednej, najwyższej płaszczynie, częściowo, jak na przykład w wypadku ogrodów, przykrytej tylko wypukłym przezroczystym pancerzem, pozwalającym wreszcie sięgnąć wzrokiem do postrzępionego horyzontu bez pośrednictwa telewizji. Obejrzałem otaczającą bazę piercień ogniów fotoelektrycznych, niewidocznych z pola startowego. Bliżej ogrodów znajdowały się wytwórnie wody, które jednak na powierzchnię wystawiały zaledwie szczyty wież destylacyjnych. Wodoru i tak zresztą stale przybywało, dzięki zwykłemu metabolizmowi, zachodzącemu w organizmach żywych. W sąsiedztwie tych wież zbudowano szerokie, płaskie tlenownie. Już w pierwszych bazach pracowały na podobnej zasadzie. Były tylko dziesięć razy mniejsze. Całkiem niedawno, chyba jedenacie lat temu, ekipie Riona i Lampila udało się ostatecznie uporać z ucieczką lżejszych molekuł w słabych polach grawitacyjnych. Dopiero wtedy produkcja tlenu z minerałów i wody krystalicznej nabrała znaczenia w skali przemysłowej.

Znałem to wszystko na wylot. Nie, żeby tu tak często przyjeżdżał. Ale technika obsługi baz orbitalnych wchodziła w zakres ćwiczeń na każdym poligonie.

Mimo to robiłem minę jak uczeń, którego pierwszy raz zabrano do pracowni w kraterze Archimedes. Wreszcie znaleźliśmy zaciszny kąt, w głębi ogrodu, wśród karłowatych drzewek o nieproporcjonalnie szerokich koronach. Ustawiono tu wiatę, skleconą z plastikowych łat, naladujących licie tropikalnych rolin.

Pod nią szynkwas, jakby przeniesiony ze starych filmów z Dzikiego Zachodu.

Wszystko razem trzęciło szmirś o milę. Ale prócz nas nie było tu żywego ducha.

A za boczne ciany kopuły rysowały się ostrymi konturami poszarpane stożki Alp.

Najbardziej ujął mnie chyba jej spokój. I to, jak wyłożyła swoją sprawę. Widziała, co zaszło, w czasie całego tego przedstawienia z pozorowanym lotem. Wiedziała, że dla mnie był to prawdziwy lot i walka, i mierć. Przyszła prosić, żebym

się tak nie pieszył. Pomimo wszystko. Trzeba do tego trochę odwagi. Nawet, jeli

się to robi tak oględnie jak ona. Bez stawiania kropki nad i”.

Pomyślałem, że nie byłaby najgorszą towarzyszką dla faceta z inforpolu.

Oczywiście nie faceta, który wybiera się na trzynastoletni spacer. Nawet, gdyby miał szansę wrócić.

W pewnej chwili umilkła. Jej wzrok powędrował przez płonący, biały płaskowyż ku linii skalnych urwisk. Zamyliła się. Wstałem i przyniosłem z bufetu dwa owocowe cocktaile. Za bufetem przesuwiał się płaski robot, przypominający tarczę w jarmarcznej strzelnicy. Miał na szyi jedwabną apaszkę i srebrną gwiazdę na piersi. Jakby w czasach, z jakich rzekomo pochodził, żaden szeryf nie zajmował się niczym innym, jak tylko podawaniem gościom szklaneczek z jabłkowym sokiem.

Kilka minut siedziała bez ruchu. Wreszcie, nie odrywając wzroku od linii horyzontu, powiedziała jakby do siebie:

Byłam tu z Krosvitzem.

Nie powiem, żeby to była wiadomość, na jakąś czekałem.

Tak? mruknęłam uprzejmie.

Odwróciła się do mnie. Chwilę badała mnie spojrzeniem, wreszcie umiechnęła się. Był to uśmiech młodej dziewczyny, która domyśliła się nagle czego, co dziewczynom nigdy nie sprawia przykroci.

Mówiła mi... o tym samym? spytałam szybko.

Spoważniała. Zaprzeczyła ruchem głowy.

Myślałam o tym szepnęła. Ale on... urwała.

Pociągnęłam łyk cierpkiego płynu i odstawiłam kubek.

Odmówił?

Nie to odparła z namysłem. Nie słuchał po prostu. Chciał... mniejsza z tym zresztą odwróciła twarz. Zarumieniła się i nagłym ruchem sięgnęła po szklaneczkę z cocktailem.

Rozumiem mruknęłam. Może go tam spotkam. Ale nie będę go lubił.

Och, nie zawołała bez przekonania. Uniosła szklaneczkę odrobinę wy-

żej i spojrzała na mnie przez szkło. Naprawdę? spytała. Zabrzmiało to jak zaproszenie do wspólnej zabawy.

Rozemiałam się, wznosząc zachęcająco kubek z sokiem. Poczuliśmy się nagle młody. Jakbym nigdy nie widział błysku anihilacji i nigdy, skazany na śmierć półtora parseka od domu, nie żegnał startujących w kierunku Ziemi towarzyszy.

Odpowiedziała uśmiechem i pogroziła mi palcem. Wstałem i odniosłem kubki do bufetu. Podniosła się także, wygładziła spódniczkę i podeszła do mnie. Stanę-

ła tuż za moimi plecami. Odwróciłem się powoli. Spojrzałem na nią z powagą, marszcząc brwi.

Następnie wpatrzyłem się w przestrzeń za kopułą, położyłem palec na ustach i z przejęciem, jakbym odkrył co niesłychanie ważne wskazałem ręką w kierunku gór. Kiedy odwróciła twarz w tamtą stronę, pocałowałem ją w policzek. Odskokzyła. Przez moment wydawało mi się, że powie co, co nie sprawiłoby mi przyjemności. Ale nic nie powiedziała. Jej oczy złagodniały po chwili. Tylko twarz pozostała poważna, odrobinę za poważna. Zbliżyła się do mnie i delikatnie, jakby badając, czy nie mam gorączki, pocałowała mnie w usta.

Nie poruszyłem się. Naprawdę zaczynała mi się podobać. Wcale nie dlatego, że była spokojna. I opanowana. W każdym razie nie tylko dlatego.

Bez słowa wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z ogrodu. Zjechalimy na rodkowy poziom. Cały czas czułem na dłoni ucisk jej drobnych palców. W pewnej chwili stanęliśmy przed białymi drzwiami. Dotknęła zamka i kiedy drzwi zniknę-

ły w cianie, skinęła głową. Puciła moją rękę i weszła pierwsza.

Chod powiedziała spokojnie, lekko ochryplym głosem. Muszę cię zbadać.

Zbadać? zdziwiłem się.

Jestem przecież lekarzem.

*

Zbudziłem się rano z uczuciem, że siedzę w kabinie rakiety, pędzącej przez atmosferę i że wystawiłem rękę przez iluminator. Uniosłem głowę i rozejrzałem się. Nie było rakiety. Leżałem w pokoju obok dyspozytorni, gdzie wyznaczono mi kwaterę. W zgięciu mojego łokcia janiał puszysty kłębek włosów o odcień zapewne niedostrzegalny, jeli nie widziało się nas razem ciemniejszych od moich.

Zamruczała, poruszyła wargami i otworzyła oczy. Chwilę wpatrywała się ze zdumieniem w co, co leżało na jej ramieniu i co było moją dłonią. Następnie przewróciła się na bok i uniosła głowę. Przyjrzała mi się uważnie, niemal badawczo.

Jeli teraz powiesz, że ci się nie podobam mruknęłam ostrzegawczo

będzie to rekord spostrzegawczoci.

Umiechnęła się i położyła mi dłoń na ustach.

*

Trzy kwadransy później stałem pod drzwiami mojego pokoju w kompletnym skafandrze, z pełnym wyposażeniem startowym. Nie uważałem, że bym zrobił co

niewłaściwego. Wszystko, co dotąd powiedziałem o sobie i swojej służbie, nie znaczy, że żyłem jak redniowieczny mnich. Jak to było z Itiś?

Ta myl przyszła nie w porę. Odlatywałem na akcję. I żegnałem się z miłš, ładnš dziewczynš, z którš spędziłem noc. Więcej niż noc. Ostatniš wród ludzi.

Spędziłem z niš kilkanacie godzin, w czasie których byłem szczęliwy. Jeli dobrze rozumiem, co to jest szczęcie. Powiedziałem j ej o tym.

Nic nie mów odezwała się szeptem. Jeli mozesz, nie zapomnij o mnie. I o tym, co mówiłam.

Patrzyła mi prosto w oczy. Umiechała się; tylko ustami. Nie był to radosny umiech.

Zrozum mnie dobrze powiedziała odrobinę głoniej. Nie proszę, że-by co zrobił. Tylko, żeby pamiętał.

Na pewno nie była głupia. Podobała mi się jej szczeroc. I takie włanie postawienie sprawy.

Bšd zdrowa. Jeli mogę ci co poradzić, wracaj na Ziemię. Ale pewnie nie zechcesz. Więc czekaj tutaj. Tylko nie sšd, że to ma jakie znaczenie.

Potrzšsnęła głowš.

To moja sprawa powiedziała spokojnie. Zresztš może wrócę. To teraz naprawdę nie ma znaczenia. Ale... zawiesiła głos.

Odczekałem chwilę. Wreszcie podniosła głowę i umiechnęła się. Nie przyszło jej to lekko.

Mogłabym czekać takżę na ciebie?

Wyprostowałem się. Nic prostszego. Dla mnie oczywicie. Nie dla niej. Zresztš nieważne. Chodzi o prosty rachunek prawdopodobieństwa. Prociutki.

Nie mój głos brzmiał spokojnie. Dotknšłem zamka. Otworzyła się perspektywa korytarza. W głębi, na prawo, widniało wejcie do dyspozytorni. Nie powtórzyłem i nie oglšdajšc się wyszedłem z pokoju.

*

Tego samego dnia, punkt dwunasta, tkwišc w szczelnych kokonach pianolitowych foteli, obserwowaliśmy na ekranach pole startowe bazy w Budorusie, spowite buchajšcym dymem, w którym pękały krzaczaste rozbłyski, na pozór nie majšce nic wspólnego z pracš dysz napędowych rakiety. Metr po metrze czuby wielotonowych cygar dwigały się wzdłuż widniejšcych w dali alpejskich urwisk.

Najpierw czuje się ciężar ršk, spoczywajšcych bezwolnie na poręczach. Potem za-głusza wszystko szum krwi w skroniach i walka o zaczerpnięcie tlenu. A przecież nie było to przyspieszenie, jakiego wymaga start w polu grawitacyjnym Ziemi.

Kiedy ekrany przejrzały na tyle, aby odsłonić słoneczny refleks, wędrujšcy grzbietem kopuły

pokrywającej poziom alarmowy bazy, usłyszeliśmy głos Jeusa: To wszystko, chłopcy. Dalej musicie sobie radzić sami. Blokuję automaty namiarowe bazy. Wracajcie zdrowo.

Odruchowo przebiegłem wzrokiem wskaniki w głównym pulpicie. Wygląd-

dały tak, jak powinny. Nasze automaty kontrolowały już całkowicie lot, zgodnie z wprowadzonymi w ich zespoły programami.

Na czułe pożegnanie szefa bazy nie odpowiedziliśmy słowem. Zrobił, co musiał. My na szczęście nie musieliśmy mówić.

*

Po przecięciu linii terminatora zeszlimy z orbity, jak kamień zepchnięty z ka-ruzeli. Mielimy przed sobą kilka dni stereotypu. Mniej więcej do wysokości orbity Jowisza. Potem wyjdziemy z płaszczyzny ekliptyki i pójdziemy bezprecedenskim kursem w stronę Centaura. wiat dowie się, że podjęto dalsze kroki” zmierzające do ustalenia losu pierwszych wypraw poza krąg naszego słońca. Ani słowa więcej. Nie wolno gwałcić subtelnego humanitaryzmu Ziemiaków wiadomości, że znowu kilku z nich posłano do diabła.

Następnego dnia zablokowaliśmy automaty i sprawdziliśmy system sterowania. Przejrzeliśmy agregaty energetyczne, syntetyzatory, wszystkie zewnętrzne przekaniki i broń. Popędziliśmy trochę statki satelitarne i przestrzelaliśmy ich wyrzutnie. Pozostała już tylko ponowna interpretacja radiogramów, nadanych przez naszych poprzedników i zapoznanie się ze szczegółami instrukcji kontaktowej. Tym razem nie odłożono tego do hibernacji.

*

Na początku drugiego tygodnia podróży ułożyliśmy się w hibernatorach.

Snagg przejrzał jeszcze raz ich aparaturę.

Uważaj mruknąłem do niego tym razem nie powinniśmy się zbudzić zbyt wcześnie.

Nie odpowiedział.

Wsunąłem pod język pastylkę nasenną i przycisnąłem zielony guzik w ramce małego okienka tuż nad moją twarzą. Wywołałem jeszcze Rivę i Snagga. Odpowiedzieli niezrozumiałymi pomrukami. Wtedy zamknąłem powieki... Usłysza-

łem szelest zamykanej klapy i poczułem pierwszy powiew chłodu.

*

W mojej głowie ocknął się nagle wierszcz. Minęło dobre kilka sekund, zanim udało mi się go umiejscowić. Nie był to jednak wierszcz. Znałem ten dźwięk, przenikający do najodleglejszych włókien nerwowych. Ostrzegawczy wiergot butlera.

Głupia dioda pomyślałem przecież pię.

Poruszyłem się jednak. Otworzyłem oczy. Człowiek robi to automatycznie.

Nawet po przespanych dwóch tysiścach nocy. I tyłuż dniach.

W ramce, tuż nade mnš, płonęło czerwone wiatelko. Oprzytomniałem natychmiast. Przeszło mi jeszcze przez myl, że zabawa się nie skończyła i dalej jesteśmy niewiadomymi bohaterami przedstawienia, ale przypomniałem sobie wszystko, co poprzedziło start. Odprawę, kordon przeciwpromienny, eskortę i tak dalej. Nie. To już nie pozoracja.

Wygramoliłem się z hibernatora, zanim jeszcze automat do końca odsunšł klapę. Rzuciłem okiem na tamtych. Stwierdziłem, że także już nie piš i jednym skokiem dopadłem mojego fotela przed pulpitem. Rzuciły mi się w oczy pozycje wskaników poboru mocy automatów celowniczych. Grubo powyżej punktu neutralnego. W pulpicie paliły się wiatła generatorów laserowych. Pracowały.

Uzupełniały energię, co mogło znaczyć tylko jedno.

Zapis rzuciłem, nie odrywając wzroku od ekranów.

Boczny ekran ożył natychmiast. Powoli, jak na starowieckim filmie, przesuwały się przed naszymi oczami obrazy zarejestrowane przez komputer. Ostatnie minuty naszego snu.

Plamka na tarczy tachdaru. Jak ta iskierka w czasie pozorowanego starcia.

Źadna iskierka. Statek o napędzie chemicznym. Analizator okrelił nawet skład paliwa. Bór, wodór i co, co widniało tylko w zapisie numerycznym. Jak na swój napęd, statek, czy co to było, rozwijał wcale niezłš prędkość. Jego kurs przecinał

nasz. I nie wyglšdało, żeby miał zamiar ustšpić z drogi.

Teraz wszystko poszło jak w podręczniku. Impuls do generatorów i automatów celowniczych. Budzenie awaryjne. Potem już tylko błysk, widoczny gołym okiem. I leciutkie załamanie toru lotu, kiedy Uran” przecinał pole niedawnej anihilacji.

Na ekranie poskakały jeszcze przez chwilę rzędy liczb, okrelajšce miejsce, czas starcia, zużyłš energię, analizę widmowš wybuchu i informujšce o wszystkim, o czym powinniśmy wiedzieć.

Sprawd kod powiedziałem do Snagga.

W porzšdku mruknšł po chwili. Ziemia otrzyma pełne sprawozdanie.

To dobrze. Przynajmniej co nowego w porównaniu z radiogramami poprzednich wypraw.

Czy oni, tam w Budorusie, mogli co wiedzieć? spytał nagle Riva.

Odgadłem, o czym myli. Jak dotšd nasz lot był niemal kopiš pozorowanego.

Nonsens odburknął Snagg. Gdyby wiedzieli co, czego nie chcieli powiedzieć, wymyliby jakie inne sztuczki.

Okazało się, że mamy podobne zdanie o pedagogicznych talentach szefostwa.

Nie ma co mówić. Mogłem trafić na gorszą załogę.

*

Następnego dnia rano, czasu Budorusa, weszliśmy w płaszczyznę ekliptyki Alfy Centaura. Bliskość oczywiście w skali gwiazdnej drugiego słońca, sprawiała trochę kłopotów komputerowi. Zaobserwowałem, że przed kolejnym określeniem pozycji jego zespoły zacinają się na ułamek sekundy, jak człowiek, którego co zaskoczyło.

Minęliśmy w niewielkiej odległości Piśtś i Czwartś. Były to martwe globy o niestałych jądrach. Dla spokoju sumienia przeprowadziliśmy stereotypowe badania. Ich wyniki potwierdziły dane, dostarczone przez sondy radiowe i tachda-rowe. Zgodnie z oczekiwaniami, nie odkryliśmy nic zasługującego na uwagę.

Od dłuższego czasu neuromat wyrzucał na ekranie, w jego dolnym rogu, odległość od Trzeciej. Planety, z której od początku lotu dochodził

charakterystyczny

kociokwik fal radiowych. Myślałem, że może bliskość ich ródła ułatwi zadanie analizatorom. Nic podobnego. Potrafiły jedynie potwierdzić, że fale sš emitowane przez sztucznie wzmocnione nadajniki. To samo wiedzielimy przed startem. Ba, od dobrych kilkudziesięciu lat.

*

W odległoci omiuset tysięcy kilometrów od drugiego satelity Trzeciej, celu naszego lotu i miejsca lšdowania poprzednich wypraw, ustawiłem statki w szyk stożkowy. W bocznych iluminatorach widziałem teraz cały czas fotonowe žšdła, kłujšce przestrzeń do granic widoczności najcieńszymi złotymi nićmi. Pozostawiały je dysze Merkurego” i Kwarka”. Jakby kto nacišł prostym, niemożliwie płaskim ostrzem granatowe szkło, odgradzajšc nas od słonecznego wiata. Nie był to najgorszy widok. Dla kogo, kto przywędrowałby tutaj w poszukiwaniu widoków. Granat to granat i nic więcej. Tak przynajmniej mogłoby się zdawać.

Ten tutaj wypełniała treć, jakiej próżno byłoby szukać w przestrzeni otaczajš-

cej Ziemię. Była w nim warstewka przezroczystej bieli i drobniutkie kryształki rozżłoconej purpury. Oczywiście żadne kryształki. Ale tak to wyglšdało.

W sšsiedztwie najdalszego satelity Trzeciej, pištego z rządu i nie przekraczajšcego rozmiarami redniej planetoidy, odbiór fal radiowych, emitowanych przez gospodarzy układu, wzmógł się do tego stopnia, że musielimy wyciszyć całe pasmo w centrali komunikacyjnej. Mieli chyba bazy nie tylko na drugim satelicie.

Może należało najpierw rozejrzeć się po dalszych. Zrobiłbym tak, gdyby nikogo tu nie było przed nami. Tak jak się sprawy miały, nie mogłem zmieniać programu.

W każdym razie nie chciałem.

Dolatywalimy do celu. Za kilkanacie minut przemówiš dziobowe dysze, podobne do czarnych, wklęstych reflektorów. Zacznie się ostatni etap lotu.

Zaczšł się. Minęło jednak nie kilkanacie minut, lecz kilka sekund. Kabina zapłonęła czerwieniš. ciany rozjęczały się sygnałem alarmowym. W okienku wskaników zaczął się goršczkowy ruch.

Stop w szyku powiedziałem.

W ułamku sekundy ekran zapłonšł ogniem. Równoczenie dzioby statków satelitarnych ukryły się w wybuchach hamownic. Sunęlimy morzem płonšcego błę-

kitu. Nie błękitu. To też był granat, o odcień tylko janiejszy od nieboskłonu.

Ogniove pole przed nami przeszył krótki błysk. Drugi. Potem trzeci. Powtarzały się w regularnych odstępach. Równoczenie, z sekundowym opónieniem przemówiły baterie Kwarka” i Merkurego”.

Seria liczb. Jakikolwiek systemem je zapisywali, sygnały laserowe musiały być dla nich zrozumiałe. Oczywiście jeliby chcieli co zrozumieć. I jeli w tych

statkach jest kto żywy.

Bo były to statki. Tachdar zupełnie wyranie przekazywał ich obraz na tarczę ekranu. Opływowe cygara, trochę nawet podobne do naszych. Może mniejsze.

Zero zameldował Snagg.

Zastopowaliśmy wreszcie. Ale to zero” nie odnosiło się do szybkości. Nawet względnej. Snagg odczytywał z pulpitu centrali komunikacyjnej reakcję obcych na nasze sygnały. Dawno już musieli je odebrać.

Nie zmniejszyli nawet szybkości. Nie mówisz o zmianie kursu. Jeli ta zabawa potrwa jeszcze minutę, będziemy ich mieć na bezprecedentnej wizji. Wtedy na nic już nie będzie czasu. Poza jednym.

Teraz dopiero odczułem skutki hamowania. Musiałem dobrze napinać mięśnie, żeby wykonać jakikolwiek szybszy ruch.

Na ekranie pojawiły się iskierki. Patrzyłem w nie chwilę. Który to raz? Drugi?

Nie, trzeci. Dla nas trzeci. Ale po raz pierwszy na progu obcej Ziemi.

*

Trudno to nawet nazwać wybuchem. Przed naszymi oczami przeleciał jeden ogniasty podmuch. Miotacz antimaterii zamknął w piercieniu anihilacji obszar opasujący stukilometrowym obwodem pole, którego centrum stanowiły jeszcze przed ułamkiem sekundy dwa obce statki. Teraz nie było tam już nic. Tak nic, jak to jest możliwe tylko po spotkaniu uczciwej materii z równoważnym ładunkiem antyprotonów.

W kabinie Urana” panowało milczenie. Przerwał je wreszcie Riva: A więc mieliśmy kontakt.

Czysta robota odezwał się ponuro Snagg. Przynajmniej nie ma się czego czepiać.

Przez moment stanęła mi przed oczami twarz Liny. Kiedy to było? Tydzień temu? Miesiąc?

Przeszło sześć lat. Może już ma dom. Na Ziemi. A jeli czeka? Cóż, to tylko jej sprawa. Itia także czeka. Od dawna już wie, że to ja poleciałem po Ustera.

Obie

myśl o mnie, od czasu do czasu. Jak o listonoszu, który ma przynieść pożądaną przesyłkę.

Gdyby to ciśgle była pozoracja i gdyby Lina już obserwowwała, czy i teraz przysłaby prosić, żebym się znowo nie spieszył?

Przymierzaliśmy się do orbity globu. Był to satelita, niewiele mniejszy od Luny, o podobnej strukturze geologicznej. Jego droga wokół Alfy wykazywała charakterystyczne dla całego układu zniekształcenia. I był zamieszkały. Jak Luna.

Tylko nie przez ludzi. I nie przez istoty, którym spodobałoby się na pierwszy rzut

oka.

Drugiego września o piątej osiemnacie rano, czasu Budorusa, dysze czołowe naszych rakiet buchnęły strugami gazu. Byliśmy już na kursie orbitalnym. Za kilka minut rozpoczniemy pierwsze okrążenie globu.

W tym momencie po raz trzeci rozjechały się w kabinie Urana” sygnały alarmowe.

To już przesada mruknął Riva, uderzając w klawisze pulpitu.

Łączność upomniałem machinalnie.

Ale Snagg nie odpowiedział. Zauważyłem, że sprawdza co szybko, zestawiając w kalkulatorze wskazania głównych zespołów neuromatu. Oderwałem wzrok od ekranu i spojrzałem na wskaźniki. Tak. To wyglądało inaczej. Tym razem automaty potrafiły nam powiedzieć dostatecznie dużo. I nic dziwnego. Wszystkie zespoły komputera reagowały na co, co było bardzo jasno określone w ich programach. Bliskie sąsiedztwo ziemskiego statku.

Stop w szyku rzuciłem.

Ogień przed nami wzmógł się do potężnego, ciśgłego wybuchu.

Snagg pochylił się do mikrofonu i mówił spokojnie, tylko odrobinę podniesionym głosem:

Uwaga, ludzie. Przed wami statki z Ziemi. Uwaga, ludzie. Przed wami statki z Ziemi. Zgłasza się ekipa inforpolu.

W pulpicie centrali komunikacyjnej płonął rój zielonych wiatełek. Wszystkie trzy statki wysyłały głos Snagga, wzmocniony bateriami generatorów, szerokim pasmem w stronę, gdzie automaty odkryły ziemski pojazd. Ale czujniki, które miały potwierdzić odbiór, pozostały milczące i ciemne.

Klucz zastopował.

Sonda!

W kabinie rozległo się ciche planięcie. Równocześnie w rogu głównego ekranu zapłonął niewielki czworobok. Wizja, którą podawała sonda komunikacyjna, wystrzelona z ładowni Urana”. Trwało to pięć, może sześć sekund. Nagle czworobok zmatowiał, chwilę falowały w nim pasma, szare i granatowe, potem obraz rozmazał się, a kiedy ponownie ujrzeliśmy ostre wiatła gwiazd, ekran janiał w całym wymiarze. Równocześnie umilkł sygnał łączności, przekazywany bezpośrednio komputerowi.

Sonda powtórzyłem spokojnie.

Zabawa zaczęła się od początku. Druga sonda została pożarta przez przestrzeń, tak samo gładko jak pierwsza. Następnie identyczny los spotkał trzeciś i czwartś.

Na ekranie widniał teraz powiększony wycinek powierzchni globu. Nad niś, jakby tuż nad najwyższym ze szczytów, otaczających kratery, unosiło się co, co było niewidoczne dla naszych oczu, ale co wyranie wskazywała biała strzałka tachdaru. Tak, to był metal.

Obejrźmy to z bliska zdecydowałem.

Kwark” i Merkury” poszły przodem.

Pierwszś raketę dzieliło już od obiektu niewiele ponad dziesięć kilometrów.

Raptem, bez najmniejszego sygnału ostrzegawczego pulpity kontrolne Merkurego” przed fotelem Snagga ciemniały, zgasły, na moment zapłonęły znowu dziesiątkami kolorowych renic wskaników, po czym jakby je zamknęły. Tym razem na dobre.

Snagg odczekał chwilę. Póltorej, dwie sekundy. Widział to samo co ja. Hamownice Merkurego” strzeliły gwałtownś seriś. Drugś. Na odmianę błysnęło za rufś statku. Dysze głównego ciśgu. Rakieta manewrowała, jakby chciała zawrócić w miejscu. Widziałem raz co takiego na poligonie. Nie skończyło się najlepiej.

Sprzężenie?

Snagg nie odpowiedział. Uniósł się gwałtownie w fotelu. Jednym szarpnięciem zerwał plombę z przekanika automatycznego sterowania.

Dał mu pełnś blokadę. Pomogło. Dysze Merkurego” ciemniały.

Snagg cofnś ręce od pulpitu. Chwilę nie robił nic. Przyjemnie na niego patrzeć, kiedy pracuje. To te stymulowane reakcje nerwowe, lata ćwiczeń, psychotron i miniaturowe diody laserowe. Zresztś mniejsza z tym.

Merkury” trwał bez ruchu. Ręce Snagga poruszały się teraz wolniej. Zaprogramował układ sterowania i ostrożnie, jakby umieszczał zapalnik w odkrytym miotaczu, sięgnś do dwigni.

Nic.

Cofnął rękę i powtórzył operację. Tym razem pociśgnął dźwignię szybciej, dwukrotnie.

Ułamek sekundy Merkury” trwał martwo w przestrzeni. Już się zdawało, że i tym razem nic nie wskóramy, kiedy raptem jego rufowe dysze ożyły. Statek wykręcił powoli łeb i miękko nabierając prędkości, zaczął zataczać szeroki łuk.

Minęło dziesięć sekund. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystkie wiatelka pulpitu Snagga błysnęły nagle sygnałami. Dźwignia blokady wróciła na swoje miejsce. Merkury”, potulny jak owca, zaciął łuk i do-szłusował do Kwarka”. Pomyślałem chwilę.

Riva.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

Bierzesz Urana” powiedziałem. Snagg przejmie od ciebie Kwarka”. Idę tam.

Chwilę panowała cisza. Wreszcie Riva wstał, podszedł do mojego fotela i pochylił się, żeby lepiej widzieć tarczę tachdaru.

Możemy podejść bliżej zaproponował Snagg. Ta strefa zaczyna się w bezprecedensnym sąsiedztwie obiektu.

Nie znasz jej zakresu mruknąłem. Może być kulista. Ale równie dobrze w kształcie nerki. Albo w ogóle nieregularna.

Wstałem i nie oglądając się na nich przeszedłem do luzu. Wbiłem się w przygotowany skafander próżniowy, który automat natychmiast zapiął i uszczelnił, wziłem pistolet laserowy, dwa miotacze, sprawdziłem reflektor i przycisnąłem czerwony klawisz wjazdu.

Rozległ się piskliwy syk, jakby tuż obok trafiła fotonowa seria. W cianie rakiety otworzyła się podłużna szczelina.

Stałem na rogu, mając przed sobą pustkę. Ustaliłem kierunek, nastawiłem tarczę na ciśnień łączność, sprawdziłem nadajnik namiarowy skafandra i lekko, jakbym w upalny dzień wchodził do kamienistego potoku, dałem krok do przodu.

Rozdział 4

HELIOS”

Wielki bezchmurny glob. Martwy. Ale pozornie martwy. Jego milczenie, które zdawało się być milczeniem przestrzeni, nie mogło mnie zwiąć. Leciałem sześć lat, żeby dopaść tego, co kryło się pod maską doskonałego bezruchu. Co żyło.

Jeli

nie trzeba będzie znaleźć nowego słowa, aby nazwać nim formę ruchu, zdolną do wiadomego

stawiania sobie celów, zdolność do ich realizowania i do przeciwstawiania się umysłowi człowieka. Formę tak odległą od wszystkiego, co przywykli-

my nazywać żywym, ale nie tylko nowe słowa stały się potrzebne, ale i broń. Monitor zamilkł na zawsze w czasie lądowania. Trudno sobie wyobrazić katastrofę, której nie poprzedziłby jeden, choćby najkrótszy alarmowy sygnał tachjonowych oczu” neuromatu. Ale gdyby kto bardzo chciał, mógł w to od biedy uwierzyć.

Jaki meteoryt, w czasie, kiedy wszystkie zespoły informatyczne przestawiono akurat na retrospekcje, równoczesne zwanie w głównych i pomocniczych obwodach sterujących modulowaniem pola wokół generatorów laserowych, eksplozja, licho wie, co jeszcze. Spekulacje jałowe i nieaktualne. Bo los, jaki spotkał dwa następne statki w analogicznym momencie lotu, musiał otrzewić największych optymistów.

Wielki, bezchmurny glob. Czy wielki? Nie dla nas, Ziemiaków, gdybyśmy obliczali jego masę, powierzchnię i odczytywali wyniki z czuciutkich perforowanych tam, tkwiąc przy radioteleskopach i mając za oknem rozległy park, widnokrąg wpływający w błękit, a nad nami solidne, wełniste chmury.

Wielki dla mnie. Bardzo wielki. Nie mówię, że za bardzo. Nic nie może być dla nas za wielkie, skoro już tutaj jesteśmy. Nie istnieje nic takiego, czego nie

ugryzłby cię ogień antyprotonów. Jeli ten glob jest zbudowany z materii, jeli

zamieszkujące go istoty są materialne, jeli w ich organizmach, żywych czy martwych z naszego punktu widzenia, jest chociażby drobina podstawowego tworzywa materii, możemy każdą z nich wraz z całą ich ziemią unicestwić w ułamku sekundy, rozproszyć w płomienistym podmuchu jednym jedynym uderzeniem.

Przyleciałem tu, aby to zrobić. Ostrzec ten wiat, wbić do głowy, że ludzi nie tylko jest za co szanować, ale nie wolno ich nie szanować, jeli ma się ochotę pomieszkać jeszcze na tym wiecie, jakkolwiek by był.

Pięknie. Tylko że teraz przedzierzgnęłam się nagle z meciela w tarczę strzelecką. Kiedy trwałem, zawieszony nad płaskim lądem o lekko wywiniętych brzegach, zdawało mi się, że jestem kaczką, którą można cięgnąć kilkoma drobinami rutu.

Stanowiłem cel, bo przecież ten glob naprawdę tylko pozornie był martwy.

Jego tarcza zdawała się ledzić miliardem oczu każde moje niezdarne poruszenie, rejestrować i obliczać każdy promyczek, strzelający z lekkiego, płaskiego pistoleciku. Chwilami miałem wrażenie, że ci tam na dole specjalnie wywabili mnie z uzbrojonego statku, żeby pobawić się moim widokiem przybysza, pływającego

w próżni i przebierającego bezradnie nogami jak wielki żółw z Galapagos, wciśnięty do łodzi i przewrócony na grzbiet, którego pokazuje się dzieciom, zanim zrobi się z niego zupę i ozdobne szkatułki.

*

Ten glob żył. I żyła przestrzeń wokół niego. W każdej chwili przez moje cia-

ło mógł przebiec strumień twardego promieniowania, mogło otoczyć mnie pole, miertelne dla substancji białkowej. Przecież to jednak fakt, że wywabili mnie z Uranu”, zmusili, abym szybował nad tarczę ich satelity, mieszna figurka tkwiśca w pancernym kokonie o ciankach cieńszych od wszystkiego, co mnie otaczało, o jednę nieskończoność. Przede mną był ziemski statek. Stworzyli wokół niego strefę czy pole niedostępne dla automatów. Bo czymże są automaty bez sprzężeń, bez łączności? A tam, gdzie zawodzi automaty, tam idzie człowiek. No, niezupełnie. Tam posyła się faceta z inforpolu.

*

Mikroskopijny ekranik pod okapem hełmu prowadził mnie wiecścś seledynowś nitkś do celu. Tuż obok pulsował niebieski wietlik. Znaczyło to, że jak dotąd nic się nie dzieje. Żadnego promieniowania, którego powinienem się obawiać, żadnego sztucznego pola. Okap był tak skonstruowany, że obydwie czujniki nie schodziły mi z oczu. W gruncie rzeczy nie powiecałem im zbyt wiele uwagi. Sprawdzałem tylko kierunek, przyciskając spust pistoleciku. Poza tym wzrok miałem utkwiony w rudoszarej tarczy satelity, rozciągającej się przede mną niemal do granic widnokregu.

To było obce. Na pierwszy rzut oka widziało się tę obcość. Kratery. Takie jak na Lunie”, a przecież inne. Ostre, niemal białe światło. Kontury cienia, widoczne nawet z tej wysokości. Pod słoneczną bielą barwa, niepodobna do żadnej, jaką można ujrzeć w sąsiedztwie Ziemi. Na całej półkuli leżał inny jeszcze cień, jakby

gigantycznego drzewa, pozbawionego liści. Wybiegał z grubego pnia w pobliżu bieguna i pełzał, rozdrabniając się na coraz smuklejsze, poskręcane gałęzie, wzdłuż

rodkowego południka. Wytężyłem oczy, żeby się upewnić czy tylko cień, czy też coś, czego nie mogła stworzyć natura, co wypiętrzonego, na kształt gigantycznej sieci przewodów na powierzchni globu. W tej samej chwili zdałem sobie sprawę z całego bezsensu tych usiłowań. Jeśli to nawet był cień, co przecież musiało go rzucać. Odruchowo potrzebowałem głowa. Nie poczułem najmniejszej zmiany w otoczeniu, braku tlenu, ucisku niczego, co mogłoby sprawić, że nagle zacząłem rozumować jak pięcioletnie dziecko. W popłochu przebiegłem wzrokiem czujniki. Były w porządku. Wszystkie. A przecież coś się działo. Musiało się dziać.

Co, o czym nie miałem dotychczas pojęcia, że może się przytrafić mnie, czy w ogóle komukolwiek z nas. Ujrzałem korpus rakiety, do której zmierzałem. Rośła mi w oczach, jak to bywa w próżni. Powinienem być już zauważyć już dawno. Odcinała się dość wyraźnie od podszytej czerwieni szaroci globu i granatu z utkwionymi w nim gwiazdami. Machinalnie przełożyłem pistolet do lewej ręki. Prawą wyciągnąłem przed siebie, żeby przytrzymać się burty statku, kiedy do niego dobieję.

I nagle zacząłem się bać. To było jak porażenie prądem. Brutalny wstrząs, szok zapierający dech w

piersiach i odbierający możność przemyślenia czegokolwiek, co chciałoby się zrobić. Przez moje żyły przebiegł piekący dreszcz, jakby kto wtłoczył w nie wrzący ocet. Chwycił mnie kurcz. Szczęki zwały mi się na wardze, co ciepłego zaczęło ciekać cienkimi strużkami za kołnierzem skafandra. Nie czułem bólu. Nie czułem w ogóle nic. Zaczęłem dygotać, głowa tłukła o kryzę kasku jak pneumatyczny młot, przeszła mnie przelotna, niejasna myśl, że to już koniec, że jestem pod ostrzałem. Poraziło mnie światło. Mikroskopijny wietlik pod okapem płonął jaskrawo czerwienią. Seledynowa ciężka znikła. Nagle czujnik zgasł. Kilka razy błysnęły jeszcze zieloniam. Znowu rozgorzał, na ułamek sekundy. Przed sobą nie widziałem nic. Nie widziałem własnej, wyciągniętej rozpaczliwie ręki. Poczulem uderzenie. Odruchowo zwinąłem dłoń w pięć. Z całej siły, ile jej jeszcze miałem, wyrzuciłem w co, co stało na mojej drodze. Zabolęło. Oprzytomniałem na chwilę. Byłem przy statku. Wznosił się przede mną na wysokość kilku pięter, jak góra. Pływająca w próżni. Patrzyłem, nie rozumiejąc, na jego biały niegdy, osmolony pancerz. Ogarnęła mnie rozpacz. Wydało mi się, że statek przycisnął mnie do siebie jak okruch materii wędrujący przez przestrzeń, że przywarłem do jego powłoki, osiadłem na niej i nigdy już nie zdołałem się od niego oderwać. Ani przez chwilę nie pomyślałem, co tutaj robię, że jestem sam w próżni, że wyleciałem, by osiągnąć jakiś cel i osiągnąłem go w końcu.

Wiedziałem tylko jedno: ta straszliwa ciana przede mną broniła mi powrotu do moich. Do domu. Rozpacz narastała. Odruchowo wyciągnąłem przed siebie rękę z pistoletem i zacisnąłem palec na spucie. Znowu poraził mnie potworny błysk.

Kadłub statku miałem tuż przed sobą. Eksplozja na jego pancerzu odrzuciła mnie gwałtownie. Poleciałem do tyłu, w stronę, skąd przybyłem. Kilka sekund walczyłem o zaczerpnięcie powietrza.

Oszłomiła mnie cisza. Czujnik pod okapem kasku mignął nerwowo raz i drugi czerwienią, zgasł, po czym jakby nigdy nic zaczął pulsować łagodnym, zielonym światłem. Ujrzałem seledynową nitkę. Nie znikła przedtem, jak mi się wydawało. Wirowała z szybkością nieuchwytną dla oka. Teraz uspokoiła się, zafalowała łagodnie i zatrzymała się, nieco ukonie w stosunku do wytyczonej trasy.

Odezwał się butler. Zauważyłem, że dostaję więcej tlenu. Z ramki, wpraso-wanej w kask, wysunęła się srebrna, matowa łyżka. Leżały na niej trzy zielone pastylki i jedna żółta. Połknąłem je. Ciężko jeszcze płynąłem w kierunku nadanym mojemu ciału przez odrzut spowodowany eksplozją na pancerzu statku. On tam był. Dotarłem do niego. Tego jednego mogłem być pewny. To jest statek ziemski, nasz statek. Ten, którego szukałem. I jeszcze jedno. Na jego pokładzie nie ma żywego człowieka.

Wyprostowałem nogi, ręce złożyłem na piersiach. Oddychałem. Mijały sekundy, minuty. Wreszcie sięgnąłem leniwie do tarczy w lewym rękawie i wywołałem Snagga. Zgłosił się natychmiast, jakby na to czekał. Oznajmiłem mu, że strefa działa nie tylko na automaty i opowiedziałem, co przeżyłem w sąsiedztwie opuszczonej rakiety. Dodałem, że chodzi prawdopodobnie o promieniowanie lub pola, pobudzające niektóre centra nerwowe.

Komputer ma lukę w zapisie, odkąd zbliżyłem się do obiektu powiedział

Snagg. Sprawdził swój analizator?

Podręczne zespoły nie mają retrospekcji mruknąłem. Przekaż wszystko do bazy.

Już to zrobiłem. Wracasz?

Nie odpowiedziałem. Uniosłem powoli rękę z pistolecikiem, żeby odczytać zapis zużycia energii. Mogłem wrócić. Ale nic ponad to. Wetknąłem pistolet za pas i uruchomiłem małą aparaturę obliczeniową, zasilaną z ogniw skafandra.

Przyglądałem się bez zainteresowania cyferkom, jakie przeskakiwały w miniaturowym, owalnym okienku. Współrzędne mojej pozycji, tor przebytej drogi, odległość od statku i od celu...

Mogłem to sobie darować. Gołym okiem dostrzegałem cały czas kontury ziemskiej rakiety, odcinające się od rozgwieźdzonego granatu. Jeżeli miałem się czego dowiedzieć, to nie za pośrednictwem liczb. Jeszcze raz sięgnąłem do lewego rękawa. Podłączyłem mój zespolik diagnostyczny do analizatora i przestawiłem go na fonię. Odezwał się od razu. Dowiedziałem się, że jestem bardzo zmęczony. Naruszona równowaga psychiczna, pod wpływem silnych bodców.

Jakich?

Butler poinformował mnie wyczerpująco o tym, co dzieje się w moich centrach mózgowych, sercu, płucach, dał charakterystykę przemian chemicznych w mięśniach i tak dalej. Dowiedziałem się również, że bardzo szybko wracam do równowagi. Mogłem sobie pogratulować. Gdyby nie to, że dalej nic nie wiedziałem. Określono obecny stan mojego organizmu. Bez ładów danych na temat tego, co doprowadziło go do takiego stanu.

Komputer macierzystego statku stracił sprzężenie z aparaturą zainstalowaną w skafandrze próżniowym, kiedy znalazłem się w zasięgu pola, otaczającego porzuconą raketę poprzedniej ekspedycji. Ale jeśli oni, w kabinie, obserwowali jego

prace w kontrolnym ekranie, mogli odgadnąć, co się ze mną dzieje. Nonsens

stwierdziłem chłodno. Z tej strefy nie wydostaje się nic. Widzieli to samo, co odbierały nasze zespoły informatyczne. Chaos.

Merkury' odmówił posłuszeństwa. W tym wypadku człowiek okazał się równie zawodny jak maszyny. Chociaż, kto wie? Wróciłem jednak. Sam. Wstąpię, czy udałoby się to któremu z automatów. Tak czy owak nie widzieli mojego strachu. Rozpaczliwej, bezradnej samotności. Szkoda.

Wiem, że ludzie wstydzą się lęku. Nie lęku: strachu. Ci, którzy się boją, któ-

rym to się zdarza częściej niż raz w życiu. Co do mnie, strach był zjawiskiem równie bezosobowym, choć rzecz jasna, zasługującym na rzetelne zbadanie, jak na przykład dla naszych przodków piorun kulisty. Tak samo jak moje włókna nerwowe nie mogły się nagle zmienić w kable kriogeniczne, tak samo nie mogłem się bać. To kwestia wychowania, a nawet korektury kodu genetycznego. Szkolenia.

Atmosfery, otaczającej naszą specyficzną społeczność. A przede wszystkim stymulacji neuropsychicznej.

A jednak przeżyłem kilka czy kilkanaście minut prawdziwego strachu. Musiałem to zbadać. Tak jak się bada przyczyny katastrofy kosmicznej. Chłodno i do końca. Gdyby mi kto powiedział, że mógłbym się wstydzić tego strachu, popa-trzyłbym na niego jak na wariata. Nie ja jeden zresztą. Snagg, Riva, każdy z nas.

Trzeba się będzie zabrać na serio do tych pól, promieniowania, czy co to w końcu było. Pole pełny kod specjalistom z Budorusa. Niech też ruszą głowami.

Na razie trzeba dotrzeć do opuszczonego statku. Ba, łatwo powiedzieć. Może gdyby zastąpić automatyczne stymulatory jakimi mechanizmami... połączyć je przewodowe... Nie, to na nic. Włókna nerwowe też są przewodami. Dostępnymi, jak się okazało, dla sił, które działały w sąsiedztwie martwej rakiety.

Próbować z głupia frant po raz drugi? Wzruszyłem ramionami. Na ten mimowolny gest odpowiedziało całe moje ciało, zmieniając leniwie pozycję na bardziej wertykalną. Umiechnąłem się. Przyszedłem już do siebie. Wyjąłem pistolecik, spojrzałem na wskanik, ustaliłem kurs na "Ura" i nacisnąłem spust. Tym razem nie oszczędzałem paliwa. Do wjazdu doczołgałem się już raczej, niż dopłynąłem, szurając rękawicami po chropowatym pancerzu. Zasobnik energetyczny pistoleciku był opróżniony do ostatniego miligrama.

Nie poruszyli się nawet, kiedy wszedłem do kabiny.

Kod? spytałem, sadowić się w swoim fotelu.

Poszedł burknął Riva.

Nie byli ze mnie zadowoleni. Zastanawiali się pewnie, którego z nich teraz wyle, aby wykonał tę robotę za mnie. Pozbierałem strzępy zapisów z retrospekcji, dodałem pełną relację własną, uzupełnioną wrażeniami Rivy i Snagga, kiedy obserwowali ekran, na którym nie było widać, że się boję i przekazałem cały materiał jeszcze raz do bazy. Następnie kazałem Rivie zaprogramować sondę.

Laserów? spytał niechętnie.

Komunikacyjną. Przyczep do niej ze dwieście metrów kabla, z elektro-magnesem. Niech stanie nad obiektem, w przyzwoitej odległości. I postara się wyciągnąć go z tej strefy.

Jeżeli strefa nie jest stabilizowana z samego statku powiedział z powściągnięciem Snagg. Albo przez niego.

Włanie uciśłem.

To była szansa. Jeżeli ródło pola, nie dopuszczające naszych rodków łączności, leżało poza opuszczoną rakieta, tę ostatnią trzeba po prostu stamtąd zabrać.

Jeżeli nie... zastanowimy się, co dalej. Nie mamy sond wyposażonych w wędkę. Riva musiał przejść do komory transportowej i przewędrować kilka poziomów statku. Trwało trochę, zanim wrócił. Opadł ciężko na fotel, przerzucił wizję na boczny ekran kontrolny, wyostrzył obraz, po czym, nie odwracając się do nas, mruknął:

Możemy startować.

Neuromat skończył już opracowywać program dla sondy. Przekazywał go teraz jej automatycznemu pilotowi. Był to mały zespół o nikłej stosunkowo pojemności i wiedziałem, że niektóre informacje powtarzały się po dwa, a nawet trzy razy. Wreszcie w rogu ekranu zapłonął sygnał drogi.

Sonda!

Tak, sonda powtórzył za mną Riva.

Pod nami co miauknęło krótko. Przez ekran przeleciał rząd kolorowych, wieńców paciorków. Riva prowadził aparat wysokim, parabolicznym torem, z najmniejszą szybkością, na jaką można było sobie pozwolić, żeby nie zniekształ-

cić trajektorii lotu.

Pokaż to powiedziałem.

Dał wizję. Na ekranie ujrzeliśmy skrawek nieboskłonu i wypełniającą przestrzeń tarczę globu. Na jej tle statek. Duża rakietka, jeden z tych kręzowników, w których zrobiono naprawdę wiele, aby stworzyć wieloosobowej załodze warunki nie gorsze od panujących w bazach. Jasne. Nie budowano ich dla inforpolu.

Iluzja nigdy nie była pełna, ale ludzie nie narzekali nawet po wielu miesiącach pracy w próżni.

Riva naprowadził obiektów i zbliżył obraz.

Byłem tam przed chwilą. Dotykałem tego chropawego, pociemniałego jakby od ognia pancerza. Osiemset, może dziewięćset metrów. W porównaniu z odległo-

ściami, do jakich przywykliśmy, nie było o czym mówić. Ale wróciłem stamtąd z kwitkiem. I mogłem sobie jeszcze pogratulować szczęścia.

Obiektów sondy pełził wzdłuż kadłuba statku. Wyłuskiwał znane kształty, powtarzając się we wszystkich ziemskich rakietach załogowych. Nasady dysz, rozszerzające się gruszkowato ku rufie, charakterystyczne uchwyty, pomocne w czasie prac wykonywanych w próżni na pancerzu, klapa wlotu, zamknięta głucho, siateczka anten, osłony obiektów, wreszcie pierwsze litery, białe, ogromne, tworzące napis biegnący od dziobu do połowy korpusu. Zaczęłem sylabizować.

H... E... L... powtarzałem, w miarę jak na ekran wpełzały kolejne litery. Ale dość było tych trzech, żeby odgadnąć, co mamy przed sobą.

Helios”.

Statek Thornsa. Jeden z dwóch, jakie wysłano w ład za Monitorem”.

Dwiecie pięćdziesiąt zameldował Riva.

Spojrzałem na wskanik kalkulatora. Lont sondy przebiegał zgodnie z programem. Minęła najwyższy punkt toru i łagodną parabolę zaczęła przechodzić nad statek.

Dwiecie.

Cały ekran wypełnił fragment pancierza rakiety. Rósł w oczach powoli, ale wy-ranie. Plamy, najmniejsze nawet uchwyty i spojenia stawały się z każdą chwilą bliższe, ostrzejsze.

Sto pięćdziesiąt.

Dość powiedziałem. W tym samym ułamku sekundy ekran zapłonął mętnym, bezbarwnym wiatłem. Obraz zniknął, jak zdmuchnięty eksplozją.

Zero rzekł dobitnie Riva.

Zero. Koniec. Na pokładzie sondy nie było człowieka, który w akcie rozpaczony mógł bezwiednie skierować lufę pistoletu w pancierz statku i wyrzucić się w ten sposób poza granice strefy, paralizującej łączność. I nie tylko łączność.

Może mi się zdawało... zaczął Snagg.

Nie zdawało ci się przerwał szorstko Riva.

Tak. To nie było złudzenie. W ostatnim sekundowym ujęciu, podanym na ekran, obiektyw sondy wyłuskał mały, kolisty przedmiot, w odległości kilku metrów od kadłuba Heliosa”, poza nim, jeśli patrzeć od strony naszego klucza.

Poleciałbym to obejrzeć mruknął Snagg.

Z jego strony była to propozycja uczciwa i rozsądna. Nie przeżył tego, co ja.

Nie powiedziałem.

Sonda? zapytał Riva. Dobra. Zostało ich jeszcze kilka. Potem zrobiemy nowe. Najlepiej z pianolitu. Wytniemy je sobie nożyczkami.

Nie. Nie sonda odparłem spokojnie. Przygotuj mi dwieście metrów kabla. I zanieś go do luzu.

Siedział chwilę bez ruchu, przyglądając mi się spokojnym, badawczym wzrokiem, po czym bez słowa podniósł się z fotela i ruszył w stronę przejścia do kabiny

hibernacyjnej. Stamtąd dopiero wchodziło się do następnych pomieszczeń statku oraz do szybów.

Usłyszałem głos Snagga:

Helios” powiedział, jakby do siebie. Helios” powtórzył.

Ciekaw jestem, jaki diabeł wypłoszył stamtąd Krosvitzę...

Przypomniałem sobie radiogramy, zapisane w Budorusie.

Tam został Areg sprostowałem. Krosvitzę lśdował ze wszystkimi.

Wiem mruknął Snagg. Ale chyba wrócił, kiedy załoga opuściła statek.

Rozumował bez pudła. Z maleńkš poprawkš. Krosvitzę nie wrócił.

W kabinie zapanowało milczenie. W pewnej chwili pochyliłem się głęboko i przytknąłem czoło do iluminatora. Udało mi się dojrzeć tkwišcy nieruchomo w odległoci kilkuset metrów wrzecionowaty kształt. Kwark”. Zadarł odrobinę dziób, jakby gotował się do odlotu. Zasoby energii, pozwalajšce na kilkakrotne przemierzenie drogi stšd do wiata naszego Słóńca i z powrotem. Wielka, szy-bujšca w próżni przetwórnica chemiczna. Fabryka antymaterii, zdolna w ułamku sekundy rozpylić redniej wielkoci ciało niebieskie. Miotacze.

Cofnąłem głowę. Po przeciwnej stronie, niewidoczny dla mnie, leżał blińiaczy statek Kwarka” Merkury”. Uzbrojony ani lepiej, ani gorzej od pierwszego. Pomiędzy nimi Uran”. Z ludmi. Wyposażony tak samo jak tamte dwa.

Jeli nie lepiej. Czego chcieć więcej? Ziemia mogła tu przysłać dziesięć takich eskadr jak nasza. Pięćdziesiąt. Sto. Ale to nie miało już znaczenia. Dla asteroidy

jest całkowicie obojętne, czy na jej powierzchni wybucha jedna bomba kwarko-wa, czy tysiśc. I na odwrót. Jeli kto znajdzie skuteczny sposób na antyprotony,

jeli potrafi się obronić przed jednym miotaczem, obroni się przed całš bateriš.

Helios”. Pomyślałem o pierwszej wyprawie, kontaktowej. Skoro zaraz przy wejciu na orbitę satelity Trzeciej natknęlimy się na ziemski statek, pozornie nie uszkodzony, może odnajdziemy także dwa pozostałe. Pierwszym poleciała Ann. Ann, na którš czekajš. Ciekaw byłem, czy jest tak samo ładna jak Lina.

Umiechnąłem się. Lina.

Riva nie wracał. Pewnie czeka przy luzie. Wstałem, przecišgnąłem się, ba-czšc, by nie zaczepić głowš o wystajšce ramki czujników, i powoli ruszyłem w stronę drzwi. W sterowni było piekielnie ciasno. Nasze fotele stykały się niemal opuchłymi, pianolitowymi poręczami. Cała ciana czołowa była podzielona na ekrany, zgrupowane w trzech rzędach, jeden nad drugim. Pod nimi pulpity.

Porodku główny ekran neuromatu. U góry setki migających czujników. Iluminatory też były ekranami, udającymi okienka, jakie umieszczano w kajutach starych żaglowców. Taka moda.

Resztę przestrzeni wypełniała aparatura foteli, zespoły osobiste załogi i kosz-marna plłtanina przewodów zasilających. Nic dziwnego. Ten statek był budowany specjalnie dla inforpolu. Jego projektanci brali, widać, jak najpoważniej ewentual-noć pokrojenia nas na kawałeczki i bardzo niechętnie odstąpili od tego zamiaru.

W końcu zostawili nam trochę miejsca. Akurat tyle, żebyśmy w razie czego mogli dosięgnąć przełączników. Ale w fotele włąziliśmy nogami naprzód, jak do piwo-rów.

Snagg uniósł się odrobinę i zwrócił twarz w moją stronę.

Idę z tobą.

Nie.

Zesztywniał. Wparł dłonie w poręcz fotela i pochylił się do przodu.

Dlaczego?

Dlaczego powtórzyłem w myli. Pyta, dlaczego. Brzmi to przyjemnie i po prostu.

Ale Snagg nie spodziewa się usłyszeć odpowiedzi. W Korpusie nie ma zwyczaju pytać, kiedy chodzi o akcję. Dowodzący mówi, co trzeba. Ani słowa mniej.

Jeli co przemilczają, to znaczy, że nie mają nic do powiedzenia. Posiadają akurat takie sprzężenia z psychotronem czy stymulatorami, jak każdy wykonawca ich rozkazów. Jedni i drudzy przetwarzają w tym samym czasie tę samą ilość informacji. Na odprawach wszyscy myślą równocześnie i to samo.

Nie. W inforpolu nie ma zwyczaju pytać. Ani odpowiadać.

Chwilę manewrowałem przy pulpicie. Włączyłem niektóre zespoły i dorzuciłem kilka wzmacniaczy do bloku sprzężonego z zespołikami mojego skafandra. Podciśnięciem do oporu regulator selektywności. Wzmocniłem korekturę. Nic więcej nie mogłem zrobić.

Przed wyjściem zatrzymałem się na moment i obmacałem skafander. Nic mu nie brakowało.

Lusterko dobiegł mnie mrukliwy głos Snagga.

Postąpiłem w stronę umywalni i pochyliłem się nad wprasowanym w cianę trójkątnym lustrem. Widok istotnie nie był miły. Wargi miałem spierzchnięte i opuchłe. Z kącika ust wybiegała strużka zaschłej krwi.

Zwilżyłem twarz płynem sterylizującym i wytarłem ją dokładnie, nie pieszcząc się.

Może być orzekłem, zwracając się na powrót w stronę drzwi. Musia-

łem wciśnięć brzuch, żeby precyzyjnie się między krawędziś gazowej umywalni a oparciem fotela Snagga. Ten odwrócił się nagle i spytał przyciszonym głosem: Powiesz?

Zatrzymałem się. Spojrzałem na niego z umiechem i położyłem mu rękę na ramieniu.

Uhm przytaknąłem. Jak wrócę. Pogawędzimy. Będziemy mieli mnóstwo czasu.

Odpowiedział umiechem. Jego twarz odmłodziła nagle. Była to twarz chłopca, który nie wszystko jeszcze rozumie, ale wie, że może się spokojnie umiechać,

bo nie musi nikogo przekonywać o swojej sile ani o swojej odwadze. Klepnąłem go lekko po ramieniu, odwróciłem się i ruszyłem prosto do luzu.

Riva czekał, jak się tego spodziewałem. Stał, oparty o pancerną klapę wjazdu i wyglądał tak, jakby nie zmieniał tej pozycji od kilku dni. Kiedy podszedłem, schylił się, mruknął co niezrozumiałe, po czym podał mi końcówkę kabla, nawiniętego na wielki, ruchomy bęben. Minąłem go bez słowa, odsunąłem rygle i wszedłem do luzu. Riva wtoczył za mną bęben, powiedział: to wszystko” czy co takiego i zatrzasnął klapę. Umocowałem kask, wetknąłem za pas rezerwowego pistolet i kiedy cinięcie spadło do zielonej kreski w dole smukłego, pionowego czujnika, uruchomiłem automat wjazdu. Po raz drugi tego dnia otworzyła się przede mną próżnia.

Stałem na progu, wychyliłem się i wypchnąłem za burtę bęben z nawiniętym kablem. Poleciał w przestrzeń niezwykle powoli, rozwijając się łagodnymi, falującymi serpentynami, jak na zwolnionym filmie. Kiedy zaczep zniknął mi z oczu, przywiślałem drugi koniec kabla do stalowej zapinki w pasie skafandra, sprawdziłem kierunek i przycisnąłem spust pistolecika.

Tym razem nie próbowałem żadnych numerów. W regularnych odstępach czasu zwałniałem spust, krótkimi uderzeniami przyspieszając lot mojego ciała w kierunku rakiety. Chciałem znaleźć się przy jej pancerzu po możliwie najkrótszym pobycie w niebezpiecznej strefie.

Po pierwszych stu metrach zacząłem sobie przypominać, o czym myślałem poprzednim razem, zbliżając się do martwego statku. Postanowiłem teraz skierować myśl ku jakimś sympatycznym wizjom. Oczywiście nastawienie psychiczne, z jakim wkraczało się w obszar działania nieznanymi, paralizującymi siłami, mogło nie mieć żadnego znaczenia. Ale kto wie?

Pomyślałem o Itii. O jej różowym peniuarze. O Usterze. Miłość to ważna rzecz. Ale czy miła? Wiedziałem, że bywa miła. Ale nie mogłem tak o niej my-

leć. Nawet jeśli myślałem bez gniewu i w gruncie rzeczy bez żalu.

Twój twarz Itii rozmazała się w mojej pamięci, rozjaśniła i nagle stała się twarzą Liny. Jak w krótkim, niespokojnym nie. Umiechnąłem się.

Seledynowa nitka odchyliła się nieznacznie od wytkniętego toru. Wyrówna-

łem jednym uderzeniem płomienia gazowego i raptem, w ułamku sekundy poczu-

łem, że staję się lekki, że tracę materialną masę ciała. To nie była nieważkość.

Uczucia, jakie mnie teraz ogarnęło, nie doznałem nigdy przedtem. Jakbym był

samś ciszś, wypełniajścś najcieńsze, istniejścś tylko w wyobrani cianki skafandra. Wiedziałem, byłem najzupełniej pewny, że nie ma takiej rzeczy, takiego zjawiska, które byłoby w stanie zakłócić tę ciszę, zamścć spokój, jaki zapanował

w moich mylach. Jeżeli takie bezkształtne, leniwie tasujścś się i przemieszczajścś-
ce obrazy można w ogóle nazwać myleniem.

Twarz Liny ożywiła się. Spojrzała na mnie sennym wzrokiem, przymknęła powieki i poruszyła wargami, jakby w bezgłonym westchnieniu. Włosy opadły jej na czoło. Krótkie, jasne włosy, odrobinę tylko ciemniejsze od moich. Musiała być noc, pełna gwiazd. Dobrych gwiazd, dalekich, na które patrzy się z przyjemnościś, czujścś pod stopami twardś, ziemskś skałę.

Nie przestajścś się umiechać, wyciśgnśłem rękę, chcścś delikatnie dotknścś jej twarzy, odczuć jej ciepło, uspokoić munięciami palców jej skórę, mięnie, włókna nerwowe, w których czaił się podświadomy niepokój, płoszczy sen. Czemu ona się niepokoi? Aha przypomniałem sobie czeka.

Nie powinna się niepokoić. Powinna być taka jak ja. Wyteżyłem pamięć, żeby odnaleć w mojej przeszłoci co, co na zawsze usunęło z mojego życia niepokój.

Okazało się jednak, że jestem odcięty od własnej przeszłoci tak samo jak od otaczajśccej mnie, obcej współczesnoci. Nieważne. O czym mylałem? Już wiem, o niepokoju. Tak. To było co, czego nie zaznałem. Naprawdę. A mimo to nigdy w życiu nie byłem tak spokojny jak w tej chwili. Tym spokojem, który graniczy ze szczęciem.

Szczęciem. Zachciało mi się nagle miać. Rozemiałem się na głos. Czulem, że moje płuca gwałtownie domagajścś się tlenu, ale nie mogłem się uspokoić. Wiłem się ze miechu, w miękkiej powłoce skafandra, wymachujścś leniwie nogami jak wielka ważka oblana syropem. W życiu nie widziałem nic równie miesznego jak to pomarańczowe wiatelko pod okapem hełmu. Nie było wcale rażścce. Raczej miłe. Miłe. Moje wyciśgnięte ramię trafiło nagle w co potężnego i twardego.

Starałem się pochwycić to co rękawicś. Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się to mniej zabawne.

Statek pomylałem. Wracam do domu.

Poklepałem chropawy pancerz. Przywarłem do niego otwartś dłoniś, starajścś się nie utracić tego dotyku, jakbym potrzebował oparcia, żeby utrzymać się w granatowej próżni, pełnej szczęliwego spokoju. Zaczśłem mówić. Tłumaczy-

łem Linie, że wracam.

Wracam do domu powtórzyłem na głos.

Dom. Dzieciństwo? Nie, szkoła. Kwatera w klubie bazy. W miłym, ziemskim klubie. Tym razem słowo miły” zostało użyte prawidłowo. Wobec tego przedtem musiałem myśleć o czym, co w gruncie rzeczy okazało się nie bardzo miłe. Co to mogło być?

Uster. Skinąłem na niego. Serdecznie, po dawnemu.

Wparłem palce w chropowaty korpus statku. Zacząłem bardzo powoli sunąć wzdłuż jego burty, wypatrując znajomego wiatelka, zapraszającego do wjazdu.

Nagle zaczepiłem o coś. Z pewnością nie o wjazd.

Poczekaj powiedziałem do Itii. Skinęła głową. Była poważna. Za poważna. Bez cienia umiechu. Patrzyła na mnie chłodno, badawczo, bez aprobaty.

Pojąłem, że coś jest nie w porządku. Nie powinna tak patrzeć. W końcu przyszedłem tutaj po Ustera. Znieruchomiałem. Spojrzałem na nią ze zdumieniem. Po Ustera? W takim razie to musiała być Lina.

Nic ci nie pomoże powiedziałem sobie że będziesz tak myślał. To jest Itia. Ona mi przeszkadza.

Powoli, z wewnętrznym zadowoleniem, jakbym wymyślił coś niesłychanie sprytnego, odzepiłem kabel od pasa i przywiślałem go do grubego ucha, sterczącego z korpusu statku. Zrobiłem pętlę, drugą, ciągnąłem ją i wypróbowałem. Wytrzyma. Wtedy uprzytomniłem sobie, że drugi koniec kabla ginie w przestrzeni. Tam jest Itia. Chyba że czeka w rodku, zaraz za tą wielopiętrową cianą, przesłaniającą mi widok Luny. Uderzyłem zwinioną rękawicą, raz i drugi. Nic.

Lita skała. Milcząca. A więc tak czy owak został mi tylko ten kabel.

Chwyciłem go delikatnie, w dwa palce i lekko szarpnąłem. Poddał się od razu. Zaczai sunąć wzdłuż mojego ciała, najpierw leniwie, jakby pokonując opór, potem coraz szybciej. Znowu zachciało mi się mieć. Szarpnąłem silniej. Zakłużyłem się gwałtowniej. Kabel wyrwał mi się z zamkniętej rękawicy. Spociłem się od tego nieustannego przyspieszania wahadłowego ruchu ramienia. Spociłem się, a równocześnie ogarnęła mnie senność. Powinienem się przespać. Ale muszę poczekać, aż będzie tu przy mnie. Kto? Itia? Lina? Nieważne. Linie byłoby trudniej.

Na pewno. A mnie... Czy to możliwe, że mnie byłoby trudniej z Itia?

cisnąłem mocniej kabel. Wyciągnąłem ramię przed siebie i pociągnąłem, ile sił w mięśniach. Leciałem. Moje ciało przemieszczało się w przestrzeni. Nie kabel. Teraz to czułem. Leciałem. Wcale nie tak wolno, jak mi się przedtem zdawało.

Zrobiło się ciemno. Dopiero po chwili zrozumiałem, że lampka czujnika nad moimi oczami przygasła, tlił się w niej jeszcze mikroskopijny ogień, ledwie dostrzegalny po jaskrawej czerwieni, która olepiała mnie w ciśgu wielu minut.

Usłyszałem cichy, przyspieszony głos butlera. Ale nie zwracałem na niego uwagi.

Przed oczami miałem jeszcze te twarze. Itia mruknąłem. To była przykra myśl.

Chwyliłem kabel i wystrzeliłem z pistoletu w stronę Heliosa”. Nie poruszyłem się. Tkwiałem mocno w miejscu, znalazłszy niespodziewanie pewne oparcie. Tak powinno być. Zrobiłem swoje.

Musiałem odczekać, aż nitka namiaru pokryje się z wytyczoną drogą. Kiedy tylko upewniłem się co do kierunku lotu, odwróciłem głowę i pociągnąłem za spust.

W komorze luzy zabawiłem dłużej niż zwykle. Zdjąłem kask. Cisnąłem go w kąt, na kupę spadochronów, poszedłem do drzwi i oparłem się czołem o zimną, ciężką klapę. Przyszło mi na myśl, że po raz pierwszy nie posłuchałem butlera. Nie było żadnych racjonalnych powodów, żeby ignorować polecenia mojego nieomylnego anioła stróża. Czy też jego rady. Stosowaliśmy się do nich odruchowo. Jak kierowcy do wiatel na skrzyżowaniach. Widać stan, w jaki wprawiało system nerwowy człowieka pole przy martwej rakiecie, utrzymywał się także po jego opuszczeniu. Jako ład zaledwie, pozornie nieodczuwalny. Ale skoro zlekceważyłem osobistą aparaturę, musiałem być wytrącony z równowagi. Poza skutkami działania tej strefy, nie znajdowałem innego powodu. Trzeba się przekonać, do jakiego stopnia ten ład może być trwały. Albo czy strefa nie działa w pewien sposób również poza jej ogniskiem, gdzie następuje nakładanie bodców czy wła-

nie hamulców psychicznych. To tłumaczyłoby odbiegające od normy zachowanie Snagga i Rivy. Zwłaszcza Snagga. Te pytania. Jakby niezadowolenie. Stany graniczne niemal z emocjonalnymi. Trzeba się tym zająć. Sprawdzić programy naszych zespołów diagnostycznych. Muszą mieć luki.

Wyprostowałem się, aż mi koci zatrzeszczały, rzuciłem okiem na automat wjazdu i otworzyłem klapę.

Rozdział 5

Tkwili w swoich fotelach, w pozach, w jakich ich zostawiłem i sprawiali wrażenie, że w czasie mojej nieobecności nie zaszło nic, co zasługiwałoby na uwagę.

Żaden z nich nawet na moment nie oderwał wzroku od kolorowych układanek czujników, kiedy przeciskałem się przez gęszcz przewodów, zmierzając do mojego pianolitowego leża.

Wyciśnąłem się wreszcie wygodnie, z uczuciem ulgi i czekając, aż automat połączy aparaturę mojego skafandra z zespołami pokładowymi, zlustrowałem ekrany.

Na pierwszym planie widniała wieńcza srebrzycie nic, wybiegająca z dolnego rogu tarczy i przecinająca ją szerokim łukiem na dwie, niemal równe, części.

Zrobiłem to naprawdę. Połączyłem opuszczoną raketę z Uranem”. Kabel był

solidny. W każdym razie wystarczająco solidny dla poruszenia z miejsca masy Heliosa”, rakiety, która na Ziemi lub w jakimkolwiek innym uczciwym polu grawitacyjnym ważyłaby te kilkadziesiąt tysięcy ton.

Mogłem z zadowoleniem przyglądać się swojemu dziełu. Gdyby, rzecz jasna, od dziecka nie wpajano mi przekonania o całkowitej bezużyteczności czego

takiego jak zadowolenie lub niezadowolenie. Człowiek staje czasem przed tego rodzaju zadaniami, że różne piękne skądinąd uczucia mogą tylko utrudnić ich wykonanie. Chociażby to, co tutaj robimy. Zbrojna misja w strefie obcej cywilizacji.

Cywilizacji, o jakiej człowiek myślał tysiące lat. Z jakimś wiśzał nadzieje, wspólne

i bardzo osobiste. A kiedy już wreszcie znalazł, jego samotność we wszechwiecie pogłębiła się tylko. Bo współczesny człowiek jest istotą nie dość przekorną, aby czuć się mniej samotnym na bezludnej wyspie niż w otoczeniu nieprzyjaciół.

Sprawy zaszły tak daleko, że nie można już chować głowy w piasek. Kto

musi najpierw uratować spokój Ziemi. A potem dopiero dać jej mieszkańcom, wszystkim, jeli nie liczyć jednego tysiąca, okazję do westchnień i refleksyjnych

wzruszeń.

W kabinie zabrzmiał nagle podniesiony głos Rivy: Zostaje!

Spostrzegliśmy to równocześnie. Rufa Heliosa”, przemieszczającego się w naszą stronę, odsłoniła niewidoczny gołym okiem drobiazg, ukryty dotąd przed naszymi kamerami za kadłubem rakiety.

Tak jakby mruknął Snagg. W jego głosie zabrzmiała ponura satysfakcja.

Riva nie odrywał wzroku od czujników.

Zajmiemy się tym powiedziałem.

Chcesz tam ić? spytał Snagg. Zwrócił twarz w moją stronę. Jego spojrzenie mówiło wyranie, co myśli o perspektywie nowego spacerku.

Nie odrzekłem spokojnie. Usuniemy to z drogi.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, jakby sprawdzając, czy nie kpię sobie z niego, po czym skinął głową i zajął się swoim pulpitem.

*

Przebyliśmy już dobre dwieście metrów, cofając się w przestrzeni wraz z przy-czepionym do elastycznego, szklanego kabla statkiem, którym sześć lat przed nami przybyli tutaj ludzie. Hamownice pracowały bez przerwy, wyrzucając przed siebie pierścień rozżarzonego gazu, tworząc wokół dziobu barwną, efektowną kryzę. Pierwszy raz zdarzyło mi się oglądać coś takiego, ale też niezmiernie rzadko zdarza się, by dysze czołowe zużywały tak znikome ilości energii. Po prostu szybkość wystrzeliwanych gazów była mieszaniną małą jak na warunki, w których zwykle uruchamia się hamownice.

Minęło dalsze dziesięć minut. Odległość wieńszego na ekranie przedmiotu od rufy Heliosa” wzrosła do sześćset metrów. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie możliwe poprawki, powinno wystarczyć. Granica paraliżującej strefy, kiedy sam podchodziłem do statku, nie przekraczała z pewnością stu metrów.

Pochyliłem się nad pulpitem Snagga. Chciałem to zrobić sam. Na sekundę, może półtorej, dałem pełny ciszę. Hamownice strzeliły ogniem. Poczulem mocne szarpnięcie do przodu. Natychmiast raz i drugi uderzyłem głównym cięgiem z rufy. Uran” zastopował aż nazbyt szybko. Zauważyłem, że Riva posłał mi krótkie, jakby zdziwione spojrzenie. Ale wkrótce i on zrozumiał, do czego zmierzałem, bo Helios” zaczął rosnąć w oczach. Widzieliśmy w wizjerach jego opasły korpus, przesuwał się w granacie i odsłaniający wciąż nowe gwiazdy. Nie trwało nawet pięciu minut, kiedy zrównał się z nami, podpluwając leniwie lewą burtę.

Przez

chwilę mieliśmy na ekranach jego dysze rufowe, rozwarte gruszkowato, czarne, niby paszcze redniowiecznych armat.

Posłałem Rive do luzu, żeby wybrał kabel. Sam zajęłem się celownikami. Le-wś rękę trzymałem bez przerwy na wyłączniku głównego ciśgu, licząc się z konieczności natychmiastowego odrzutu, na wypadek gdyby niebezpieczna strefa przywędrowała razem z Heliose” i objęła nas swoim paralizującym ogniskiem.

Ale nic się nie działo.

*

Były tylko dwie możliwości. Albo siły stabilizujące strefę zostały przez mieszkańców układu Alfy umieszczone wewnątrz zagarniętego przez nich ziemskiego statku, albo też winowajcą jest ów mały obiekt widoczny na tachdarze jako czarny dysk czy raczej niewielka kula. Jeżeli chodzi o Heliosa” i tak będziemy mu musieli poświęcić немало czasu. Więcej nawet niż wymagały tego względy ostrożności. Należało bowiem wstąpić, czy pozostawić nas na orbicie w spokoju. Jeli przywitani” nas już na granicy swojego układu. Na razie wokół nas panuje spokój. Ale z pewnością im prędzej się z tym uporamy, tym lepiej.

Dlatego powiedziałem Snaggowi, że chcę usunąć z drogi ów drobiazg. Wystarczy nam teraz to, co znajdziemy na pokładzie opuszczonego statku. Wolałem nie mieć pod nosem drugiego obiektu czekającego na zbadanie. A gdyby miało się okazać, że twórcą pola jest urządzenie zainstalowane wewnątrz statku... no cóż. Nie uprzedzajmy faktów.

Odczekałem, aż Riva wróci na swoje miejsce przy pulpicie i kazałem mu przygotować miotacz antymaterii. Postanowiłem, że nie będzie żadnej zabawy. W razie czego pozbedziemy się za jednym zamachem czarnego dysku, kabla wiążącego nas z ziemskim statkiem i, choć niechętnie, samego Heliosa”.

Riva ustawił automat w ciśgu kilku sekund i zamarł w bezruchu, z ręką wspartą od niechcenia na pulpicie, tak że taster celownika znalazł się w zasięgu jego palców.

Wtedy zwolniłem spust. Ekran zafalował gwałtownie, a w następnej chwili przeszył go krzaczasty rozbłysk. W naszym sąsiedztwie pozostał już tylko jeden obiekt. Jeli nie liczyć Kwarka” i Merkurego”.

Byłoby bez wątpienia ciekawe obejrzeć z bliska to co, czego już nie było.

Ale wnosząc z przyjęcia, jakie zgotowano tu Ziemiom, mogliśmy być pewni, że niejednym razem będziemy mieli jeszcze okazję. Należało sobie tylko życzyć, aby nie nastąpiło to za szybko.

Przyszła kolej na Heliosa”. Mimo wszystko nie mogliśmy ryzykować łączenia statków bez upewnienia się, że strefa, w której tkwił, rozpadła się razem z nie-zidentyfikowanym obiektem, spalonym przez

miotacz Urana”. A więc jednak jeszcze jeden spacer. Próby zdalnego uruchomienia silników opuszczonej rakiety spełżyły na niczym. Nie lepiej poszło z automatem wjazdu. Nie odpowiadał żaden z zespołów Heliosa”. Nasze impulsy przesywały statek lub odbijały się od niego jak od pierwszego lepszego meteorytu.

Tym razem nie używałem pistoleciku. Podciśnięłem się po prostu po kablu jak po linie poręczowej, założonej dla zabawy na równinie. Nie minęło nawet pięć minut, a już dotknęłem rękawic burty rakiety. Bez żadnych zwidów, natręctw mylowych czy czego w tym rodzaju.

Opłynęłem statek dookoła, lustrując uważnie jego pancierz. Był w zupełnym porządku. Nie udało mi się wypatrzeć ladów jakiegokolwiek awarii, najdrobniej-szej choćby rysy przy przestrzeliny. Klapy baterii laserowych i miotaczy były czarne, okopcone. Wyglądały jak dysze po długim locie w atmosferze.

Wjazd osobowy zatrzymany na głucho. Nie próbowałem nawet wzywać automatu luzu. Nie zdałoby się to na nic. Wiedziałem już, czemu Helios” milczy.

Jego zasoby energetyczne były wyczerpane do cna. Przemienne przestały zasilać pokładów aparaturę, łącznie z automatycznym nadajnikiem namiarowym, zużywającym mieszknie małe ilości paliwa. Nietrudno było dojść do tego wniosku. Po prostu nie sposób wyobrazić sobie jakiegokolwiek innej przyczyny martwoty statku. Nawiasem mówiąc, chciałbym zobaczyć tego, kto wystąpiłby z jakimś w miarę rozsądnych hipotez, tłumacząc okoliczności opróżnienia zasobników energetycznych rakiety.

Powędrowałem do wjazdu transportowego. Ta sama historia. W przeciwień-

stwie do pierwszego, ten można było jednak otworzyć z zewnątrz, zdejmując wprasowane w pancierz pokrywą magnetyczną, zainstalowane z myśl o sytuacjach, kiedy cała załoga musi opuścić statek, a w czasie jej nieobecności automaty odmówią posłuszeństwa. Nie słyszałem, aby przytrafiło się to komukolwiek dotychczas, ale konstruktorzy mają zwyczaj raczej powiększać w nieskończoność ilość teoretycznie możliwych sytuacji, aniżeli grzeszyć sceptycznym realizmem.

Skądinąd zresztą zupełnie słusznie.

Oparłem się o pancierz między nasadą dyszy a bezpiecznikiem klapy transportowej i wezwałem Snagga. Powiedziałem, żeby wziął Skorpiona”, trochę paliwa chemicznego i parę wymiennych zespołów do automatów sterowniczych.

Kilkanacie minut później granatowe tło, na którym czernił się masyw Urana” rozbiły jasnofioletowym wybuchem. Snagg startował. Skorpion” był po-jazdem zbyt dużym, bym mógł widzieć jego kontury, przesuwał się pod gwiazdami. Wyężając wzrok, dostrzegłem tylko jakby obłok czerni, zachodzący na kolejne słońce.

Snagg naprowadzał Skorpiona” szeroką parabolą. Doszedłszy do stycznej z rufą Heliosa”, zastopował kilkoma uderzeniami hamownic. Odwrócił rakieta dziobem w moją stronę i, wyłączony silnik, szybował jak martwy owad, naprawdę przypominający skorpiona, dzięki

sterczścemu nad kadłubem ostremu wylotowi miotacza. Był to jeden z najmniejszych pojazdów latających, jakie miałimy na pokładach.

Kiedy znalazł się tak blisko, że mógłbym go dopaść jednym odrzutem pistolecika, spod dziobu Skorpiona” wysunęły się dwa długie, elastyczne wśsy zaczepów magnetycznych. Minęło jeszcze kilkadziesiąt sekund i w otwartym włazie raketki, tkwiścej już nieruchomo tuż przy nasadzie dyszy wielkiego statku, ujrzałem głowę Snagga w srebrzystoszklanym, baniastym hełmie.

Sielanka mruknął, rozkładajśc antenę podręcznego zespołiku łączności, używanego w próżni dla koordynacji pracy automatów.

Nie odpowiedziałem. Wobec idealnej ciszy i spokoju, panujścего wokół Heliosa”, wszystkie moje poprzednie manewry musiały się wydawać co najmniej dziwne. Nie ulegało wśtpliwoci, że obaj czekajśc na wyjanienia.

Automaty poradziły sobie z klapśc w ciścgu trzydziestu sekund. Chwilę póniej pierwsza komora transportowa stanęła przed nami otworem.

Powiedziałem Snaggowi, żeby nie wprowadzał Skorpiona” do wnętrza statku. Miał odczekać kilka minut i wejć za mnśc. Skinął głowśc na znak, że zrozumiał.

Widziałem, jak manipuluje aparatem łączności, żeby przekazać dane Rivie.

Odepchnłem się lekko od krawędzi włazu i z głowśc naprzód, jak nurek wpływajśc do groty, pogrścżyłem się w mrocznym wnętrzu luzy. Zaraz za progiem, z którego odchodziły płaskie zastrzały klapy, zapaliłem reflektor. Zatrzymałem się i uważnie zlustrowałem ciany komory. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Jakby jakiego oniemielenia i lekkiego podniecenia zarazem. Myle, że podobnego uczucia mogli doznawać pierwsi badacze, pogrścżajśc się w nowo odkrytych ko-rytarzach staroegipskiej piramidy.

Ale ten statek był martwy zaledwie od szeci lat. Jeli nie krócej. Cokolwiek krył w swoich kabinach i pomieszczeniach, nie będc to złote sarkofagi. Nawet jeli

kształt komór hibernacyjnych naprawdę może się komu skojarzyć z wyglścdem starowieckich trumien.

*

Komora transportowa była pusta. Podobnie dwie następane. Między drugśc a trzeciśc ciana działowa była rozsunęta. Tutaj stały zwykle najcięższe pojazdy statku. Widocznie załoga wysłała je w drogę w gorśczkowym popiechu. Ale poza tym we wnętrzu części transportowej panował idealny ład. Długie warko-cze przewodów ciścgnęły się równymi pasmami, oplatały ciany i strop, wpadały w płaskie pudła wzmacniaczy i korektorów, znowu wyłaniały się na powierzchnię, by nagłym łukiem wnknśc w bulwiaste zgrubienia grodzi, dzielśccej komory transportowe od pokładów energetycznych. Sprawdziłem je wszystkie metr po metrze, na próżno szukajśc ladu uszkodzenia mechanicznego czy awarii. Wreszcie podpłynłem do końca pomieszczenia i zatrzymałem się u wylotu lejkowatej niszy, która stanowiła przedsiónek luzy.

Otwarcie klapy zajęło mi więcej czasu, niż myślałem. Odzwyczałem się od ręcznej obsługi mechanizmów. Zresztą i mechanizmy same miały prawo odzwyczać się od pracy. Tak czy owak udało mi się w końcu odsunąć klapę, z niewiele mniejszym wysiłkiem, niż gdybym to robił w polu grawitacyjnym, i znalazłem się w luzie.

Zatrzymałem się porodka kolistego pomieszczenia, niewiele większego niż analogiczne komory statków typu Uran”, i skierowałem wiatło reflektora na ciany. W pierwszej chwili wzdrygnąłem się i odruchowo sięgnąłem po miotacz.

Ale to były tylko skafandry. Snop wiatła wyłuskiwał je kolejno, jeden po drugim, wiszące obok siebie jak zbroje w muzeum. Hełmy, srebrzyste kadłuby wzdęte jak kukły, cienkie, elastyczne przewody.

Ssiednia ciana była ogołocoana. Po skafandrach pozostały tylko palcowate zaczepty i końcówki przewodów. Nigdzie ladu nieporządku, popiechu, paniki.

Kłapa drzwi prowadzących do kabin szczelnie zamknięta.

Przejechałem jeszcze reflektorem pozostałe ciany, strop i podłogę, zajrzałem we wszystkie kąty, z narastającym przewiadčeniem, że nie trafię tu na żaden lad, który pomógłby mi wyjanić zagadkę opuszczenia Heliosa” i że tak samo będzie wszędzie, w całym statku. Wreszcie podszedłem do drzwi i, przewycię-

zając opór bezpiecznika, szarpnąłem zamek. Równoczenie skoczyłem do tyłu, chroniąc się za grodziś, żeby uniknąć wiru, jaki mógł powstać przy nagłej zmianie ciśnienia. Ale poza sekundowym naporem na przód skafandra i dźwiękiem, przypominającym głęboki oddech zmęczonego człowieka, nic nie poczułem ani nie usłyszałem.

Odczekałem chwilę, po czym, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi, wkroczyłem do korytarza. wiatło mojego reflektora grzęzło w mrocznej perspektywie tunelu, nie docierając do zamykającej go cianki, za którą znajdowała się kabina nawigacyjna i sterownia. Po obu stronach zalśniły równym, malejącym szeregiem szklane klamki. Tak. To nie było zrobione dla inforpolu. Każdy członek załogi miał swoją oddzielną kabinę, niewiele większą od położonej na płasko szafy, ale szafy wyposażonej we wszystkie urządzenia, do jakich człowiek przywykł

we własnym domu.

Cofnąłem się do końca korytarza, pod sam próg szybu, prowadzącego do pokładów energetycznych i rzuciwszy pobieżnie okiem na rysunki oraz napisy ostrzegające ludzi przed promieniowaniem, zacząłem systematycznie, segment za segmentem, badać ciany, strop i przewody, podszając wolno w kierunku dziobu.

W połowie drogi dołączył do mnie Snagg. Wyłonił się z bocznej niszy jak obraz holowizyjny bez fonii, liznął mnie białym, wsskim promieniem swojego reflektora, mruknął co niezrozumiałe i nie zatrzymując się ruszył od razu w głąb

korytarza. W pewnej chwili przystanął przed drzwiami do jednej z kabin. Podeszedłem bliżej.

Na zmatowiałym obiciu, pokrytym srebrzystoszarym nalotem, widniała wizytówka Thornsa. Snagg pochylił się, przełożył pistolet do lewej ręki i z całym rozpędem, jaki można uzyskać w nieważkoci, natarł na magnetyczną listwę, przylegając do framugi. Drzwi otworzyły się natychmiast, z cichym powistem, jakby kto ciął nożem arkusz metalicznej folii.

Odczekałem chwilę, aż odzyska równowagę, to znaczy wróci do pozycji pio-nowej, po czym stanąłem w progu i skierowałem wiatło reflektora w głąb kabiny. Wbudowany w przeciwległą cianę ekran, naladujący iluminator, zamigotał

natychmiast, jakby przystępując do przekładu na język optyki informacji, któ-

re zapisał podręczny komputer. Ale w zespołach tego komputera nie było ładunku energii. Snagg podeszedł bliżej, przechylił się do przodu i zatoczył reflektorem łagodny łuk. Promień wiatła wyłuskał z ciemności małą tablicę rozdzielczą z małymi okienkami czujników, następnie zszedł niżej, na pulpit kalkulatora, liznął

powierzchnię wąskiego stołu czy raczej półki i ponownie powędrował w górę, trafiając w przegłdarkę i zawieszoną na kształt odwróconej piramidy kasety, zawierającą mikrofilmy. Zapewne przede wszystkim mapy i zapisy geofizyczne. Na stole leżało kilka rozrzuconych niedbale przedmiotów, ołówek magnetyczny, stary, zabytkowy zegarek, jakiś kamień, okulary słoneczne, kilka arkuszy folii.

Jakby

kto, kto tu mieszkał, przerwał pracę nie szeć lat temu, ale przed chwilš, aby wrócić do swoich zajęć po kilkuminutowej wizycie u sšsiada.

Idziemy dalej powiedziałem, cofajšc się do korytarza.

Umm...

O co chodzi? zatrzymałem się.

Poczekaj. Nie pieszšc się wszedł do kabiny. Juź otwierałem usta, że-by co powiedzieć, kiedy dobiegł mnie stłumiony stuk. Reflektor zachybotał się gwałtownie, następnie miękks parabolš powędrował pod niski sufit. Owietlał teraz miejsce, gdzie jeszcze przed chwilš stał Snagg.

Dobra, dobra dobiegł z góry spokojny głos. Widać, podobnie jak ja, miał

zwyczaj odpowiadać głono swojemu butlerowi, kiedy ten szczególnie natarczywie przywoływał go do porzšdku.

Snop wiatła, padajšcy spod sufitu, trafił mnie nagle w twarz. Zmrużyłem oczy czekajšc, aż wbudowana w okap kasku fotokomórka zabarwi szybę wod-nistš zieleniš. Ale olepiajšcy kršg uciekł natychmiast z mojej twarzy, przebiegł

szybkoabinę od ciany do ciany i znieruchomiał na podłodze, dwa kroki przed miejscem, w którym stałem. Minęło kilka sekund, zanim dotarło do mnie, że to, co tam leży, to tylko buty próżniowego skafandra. Wybiegały z nich nogawki, rozrzucone, spłaszczone jak kończyny starego, szmacianego manekina. Kršg wiatła powędrował metr do przodu.

Kto się pieszył powiedziałem, robišc krok w stronę tych butów.

Snagg mógł naprawdę potrzebować pomocy osobistej aparatury. W stożku ostrego wiatła porzucony niedbale skafander wyglšdał jak zwłoki. Jego lekka, wielowarstwowa powłoka wydymała się, tworzšc wyrany zarys klatki piersiowej, brzucha i ud. Dopiero czarny obrys pustej kryzy rozwiewał ponure domnie-mania.

Pochyliłem się i tršciłem skafander lufš pistoletu. Zwinšł się powoli, uniósł, po czym łagodnym ruchem popłynšł w stronę stołu, przewalajšc się równoczenie na plecy. Tym razem w moim głoniczku obudził się niespokojny wierszcz. Ale nic nie powiedziałem.

Snaggowi udało się w końcu odepchnšć od sufitu i wylšdować koło mnie, po-

rodku kabiny. Bez słowa pochyliłimy się nad pustym ubiorem. Mniej więcej od pasa do prawego ramienia, pod samš niemal kryzę, biegła wšska szczelina. Końce włókien sterczšce z jej poszarpanych krawędzi były poczerniałe, jakby okopcone.

Takie lady zostawia tylko trafienie wiązki małego lasera. Wiedzielimy, co to znaczy.

Snagg wyprostował się pierwszy. Jeszcze raz omiół kabinę wiatłem reflektora, badając uważnie wszystkie zakamarki, zaglądając nawet pod stół i ni-skł, modelowaną leżankę. Ale poza porzuconym na rodki podłogi skafandrem w kabinię Thornsa panował wzorowy ład.

Zsunłem przez ramię podręczny analizator i skierowałem jego wylot w podeszwy butów nawigatora i szefa załogi Heliosa”, jeśli skafander istotnie nale-

żał kiedy do niego, co wcale nie było pewne. Przebrałem aparaturę na analizę spektralną i zwołem spust, a raczej uderzyłem w niego palcem. Kabinę przeszył sekundy, biały błysk. Oczekałem chwilę, aż kontury przedmiotów wypełniających wnętrze pokoju odzyskały ostrość, i spojrzałem na zapis. Niestety, szary osad, widoczny na powierzchni butów skafandra, pokrywał je zbyt cienką warstwą. Może zespoły neuromatu mogłyby nam dostarczyć jakichś ciekawych informacji. Mały, ruchomy aparacik nie był dość czuły.

Snagg przyglądał mi się chwilę, wreszcie pojąwszy, że nie mam nic do powiedzenia, mruknął coś nieprzyjanie i ruszył w stronę umieszczonego pod ekranem pulpitu. Chwilę manewrował przełącznikami, po czym odwrócił się i skierował

do wyjścia.

Włączony rzucił, przepływając koło mnie.

Powieściłem reflektorem. Istotnie, rączka głównego kontaktu znajdowała się na czerwonym polu. Komputer w kabinię pracował tak długo, jak długo generatory Heliosa” dawały energię. Albo zapomniano go wyłączyć, co było mało prawdopodobne, albo też wtedy, kiedy umilkł ostatni agregat, na statku nie pozostał już nikt, kto mógłby to zrobić.

Tak to wyglądało Snagg odwrócił się i opuścił kabinę.

Podcisnąłem pas analizatora, lokując go z powrotem na plecach i wyszedłem także, trąc krawędź drzwi. Magnetyczna listwa miękko przywarła do framugi. Nie troszcząc się więcej o wizytówki, poszliśmy prosto do końca korytarza, gdzie znajdowały się drzwi do salki nawigacyjnej. Krótki przedśionek prowadził

do przestronnego pomieszczenia, służącego jako filmoteka, jadalnia i miejsce na-rad czy wreszcie spotkań towarzyskich. Kubek w kubek jak nasz klub, na dole.

Tyle że bez psychotronu. Półkoliste sklepienie było utkane kolorowymi ekranami.

*

Lejkowate przejście, odpowiednio szerokie i bez żadnej cianki czy przegrody, prowadziło do właściwej sterowni. To było coś dla nas. Sufit i ściany ginęły za gęszczem czujników i przewodów. Porodku stały dwa stykające się poręczami fotele. Przed nimi, na kształt horyzontu, cisnął się łukowato szeroki pas zbiorczego ekranu. Jego dolna krawędź przechodziła płynnie w gruszkowate,

jakby wyjęte z dwudziestowiecznych filmów futurystycznych pulpity, z miniaturowymi klawiszami. Co dla nas? Nie tak bardzo. Prawda, że cała przestrzeń kabiny oplatały węzły przewodów i kabli. Ale między nimi a fotelami można było bez trudu przeprowadzić tresowanego słonia.

Zajrzeliśmy do pojemnika, który odbierał zapisane tamy, wychodzące z zespołu głównego komputera. Był wypełniony niemal do połowy wysokości.

W bocznej komorze także znaleźliśmy gruby plik zużytych arkuszy. Robota na dwa dni. Jeli, oczywiście, kilkuletni brak energii lub co, co spowodowało ten stan, nie udaremnimy prób wskrzeszenia informacji, jakie bębny pamięciowe przeję-

ły przed postojem. Tak czy owak nie mogło być mowy o podjęciu jakichkolwiek czynności przed uruchomieniem kilku przynajmniej bloków energetycznych Heliosa”.

Wracamy powiedziałem.

Snagg rzucił mi krótkie spojrzenie. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że zachowujemy się inaczej niż zwykle. Nie tylko on. Ja także. Myśląc o czym, mimo woli szukałem pomocy w ewentualnych analogiach, zastanawiałem się, czy nie należałoby spojrzeć na zagadnienie z jakiego innego punktu widzenia, roz-patrzeć możliwości, które nie nasunęły się od razu. Nie, żebym się wahał. Owe rozkojarzenia, jeli w ogóle można tak to nazwać, nie trwały dłużej niż ułamki sekund. Ale myślenie jest szybkie.

Mój głoniczek przebudził się nagle i zaszemrał. Wzruszyłem ramionami i skierowałem się w stronę luzu. Oto skutki przebywania w obcym polu siłowym, zakłócającym równowagę bioprądów. Zresztą w sąsiedztwie statku może się przecież znajdować więcej takich pigułek. Nie tak blisko, żeby mogły działać jak tamta, niemal przyklepiona do Heliosa”, ale i nie dość daleko, żeby nie objąć

nas zewnętrznych stref aktywności.

*

Pracowaliśmy bez przerwy sześć godzin. Automaty przetrząsały porzucony statek, ustawiając wszystkie przełączniki, kontakty i czujniki na pozycjach zerowych. Ta prosta czynność wymagała nowego zaprogramowania maszyn. Zlecieli-

my to neuromatowi. Statek kosmiczny ma lekko licząc sto tysięcy przeka-

ników od lampek nocnych do aparatury celowniczej i pulpitu sterowania. Energia wyczerpała się podczas pracy wielu z tych urządzeń. Mogły być wśród nich takie, których uruchomienie spowodowałoby na przykład natychmiastowe wystrzelenie w Urana” porcji antimaterii. Nie sposób określić, jaki program zainstalowano w aparaturze statku, jeli w jej zespołach nie pozostało ładunku energii.

Automaty sprawdziły jeszcze ciągłość i ekranizację przewodów, stwierdzi-

ły prawidłowość obwodów i łączy, usuwając przy okazji dwie czy trzy drobne usterki, jakie znajduje

się zawsze po każdym dłuższym locie. Dopiero teraz można było pomyśleć o przetransportowaniu części zapasów paliwa z energetycznych grodzi Urana” do zasobników opuszczonej rakiety. Przedtem jeszcze połączylimy włązy obu statków korytarzem próżniowym, takim samym jak te, które sterczą z pól startowych każdej stacji kosmicznej. Sprężarki pracowały na maksymalnych obrotach, atmosfera w obu pojazdach wyrównywała się powoli.

Odczekaliśmy, aż wskanik poboru tlenu ustawi się na zielonym wycinku koła, sprawdziliśmy program automatów celowniczych i pole ostrzału wszystkich naszych jednostek, po czym poszliśmy spać.

*

Obudziłem się przed oznaczoną godziną. Snagg i Riva spali w najlepsze, po-grześni w pianolitowych czółnach swoich foteli. Usłyszałem cichy wiergot butlera. Ale wbrew temu, co mi sugerował, sen odbiegł mnie na dobre. Zamknąłem oczy i leżałem bez ruchu, wsłuchując się w ciszę próżni, w samotną nieskończoność czasu i dróg, za skorupą statku. Nie czułem zmęczenia. Miałem tylko niejasną wrażliwość, że moje życie czy może ta cześć wiadomości, która bezporównie nie uczestniczy w żadnym działaniu, wzbogaciły się o coś ważnego, co nie by-

ło przewidziane w programach szkolenia inforpolu i z pewnością nie spodobało-by się ich autorom. Co się właściwie stało? Jak dotąd, nic takiego. Mieszkańcy systemu, w którego obszar wtargnęły ziemskie statki, dysponowali aparaturą paraliżującą koordynację psychiczną człowieka. W polu, stymulowanym przez tę aparaturę, ja, facet z Korpusu, mogłem dowiadczać emocji, jakich nie doznaje najmniej odporny z ludzików. Strach, zniechęcenie, tęsknota... Słowa z dziewiętnastowiecznych angielskich melodramatów.

Przemknęło mi przez myśl, że Snagg i Riva nie mogli uwierzyć w to, co im powiedziałem.

Leżąc z przymkniętymi oczami, w kabinie, której mrok rozpraszały jedynie pastelowe wietliki czujników, odkryłem nagle, że doznane wczoraj emocje nie były wcale przykre. A raczej nie one same, a fakt, że w ogóle ich dowiadczyłem.

Nie to, żeby strach czy ten jakiś leniwy błogostan miał mi sprawiać przyjemność.

Ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że w czasie pobytu w polach, rozprzęga-jących koordynację centrów nerwowych, sięgnąłem do głębszych, nie odkrytych dotąd pokładów własnej osobowości. Po raz pierwszy w życiu zadałem sobie pytanie, czy pod tą doskonałą maszyną, precyzyjnie zaprogramowaną przez centralę Korpusu i tysiącokrotnie sprawdzoną w najwyszukiwanych sytuacjach, nie kryje się coś więcej jeszcze, do czego nie dotarłem dotychczas, a czego tylko zaledwie dotknąłem, zmieniając na własną rękę pamięć osobistej aparatury.

*

Mogłem sobie pozwolić na postawienie takiego pytania. Odpowiedź na nie

jeli, rzecz jasna, potrafiłbym jej sobie udzielić i tak nie mogła mieć wpływu na spełnienie misji, jak nam powierzono. Jeli nawet grunt, na jakim zbudowano maszynę faceta z Korpusu, był istotnie

gruntem nie znanym, to ona sama tak czy owak pracowała bez niespodzianek. Choćby wszystko, co dotychczas prze-

żyłem, usiłując dotrzeć wczoraj do martwego Heliosa”, miało być tylko próbką tego, co czeka nas po wyśledowaniu. Zrobimy, co do nas należy.

Uniosłem się bezwiednie i szeroko otworzyłem oczy. Co będziemy mogli zrobić, pozbawieni sprzężeń i łączności, nawet w obrębie własnych organizmów?

Niewiele... czy nic? A może nie będzie tak le. Może to właśnie stanie się naj-surowsz, najbardziej bezwzględny próbk, jakiej nie udało się dotąd wymyślić naszym specom od szkolenia?

Odezwał się głosik. W beczeniowych lampach obudziło się nagle na razie wiatło. Snagg poruszył się leniwie i wymamrotał jakie niezrozumiałe zdanie.

Z każdą chwilą robiło się janiej. Kilka godzin, nazwanych umownie noc, mieli-
my za sobą.

*

Zbliżało się południe. W kabinie nawigacyjnej Heliosa” płonęły wszystkie ekrany. Aparatura pokładowa pracowała bez zakłóceń, jakby statek przed chwilą opuścił halę montażu. Co kilka minut palce Snagga uderzały w klawisze pulpitu.

On sam tkwił nieruchomo w jednym z bliźniaczych foteli, głęboko wychylony do przodu. Riva i ja staliśmy z tyłu. Nie wtrącalimy się. Od kiedy na ekranie i w głośnikach zaczęły odzywać zapisy zespołów pamięciowych neuromatu i arkuszy pokładowych, nie odezwaliśmy się słowem.

Przejrzeliśmy jeszcze raz meldunki, jakie dotarły do bazy. Do końca, to znaczy do momentu, kiedy Thorns stracił łączność z załogą Proximity” i usiłował ją odzyskać, wystrzeliwując serię sond. Zapis urywał się na zdaniu, w którym Thorns komunikował, że zmienia orbitę, w nadziei odszukania lepszego pasma odbioru.

Po ostatnim słowie obraz na ekranach rozjarzył się, o tym, że neuromat i kalkulatory pozostawały jeszcze pod prądem, wiadczyły tylko skaczące linie, sekundowe rozbłyski, bezładne i nic nie znaczące liczby, wyskakujące w najrozmaitszych punktach tarczy bez najmniejszego sensu. Jedyne, co można było wywnioskować z tych obrazów, to upływ czasu.

Mijały minuty, z minut robiły się godziny. Przyspieszylimy, ile się dało, bieg tamy. Z błysków, cyfr i strzępów linii powstał na ekranie piekielny, filmowy taniec. Coraz częściej odruchowo przecierałem palcami powieki, pod którymi zbudził się ostry, klujący ból.

Nagle, bez żadnego przejścia obraz złagodniał. Snagg błyskawicznym ruchem zmienił prędkość przesuwu tamy. Głośnik zaskrzeczał niemiłosiernie, następnie milczał chwilę, po czym odezwał się obcy, męski głos.

Odbiór! Odbiór! Tu Areg. Tu Areg. Woła Helios”. Odbiór!

Riva mruknął co i posłał Snaggowi znaczące spojrzenie. Mnie również uderzyła archaiczna forma tego wywołania, sprzeczna z obowiążującym kodem.

Raptem z głośnika buchnął krzyk, a raczej zmieszane krzyki wielu ludzi. Co, co ich tak wzburzyło, nie rozgrywało się na pokładzie. Nie na pokładzie. Ciśgły, przerywany trzask, znany nam aż za dobrze. Taki efekt daje fotonowa seria. Głos kobiety. Wysoki, spazmatyczny, przechodzący niemal w wycie. miech.

W tym momencie poczułem ból. Pojśćem, że zaciskam szczęki. Przez moje plecy przewędrował rój małych, zimnych mrówek.

Daj go tutaj, Bons! zabrzmiał czyj głos na pierwszym planie, głuźszc krzyki innych. Znowu ten przeciśgły trzask. Krosvitz! Krosvitz! Z tyłu! wy-szczekał głośnik. Mrówki na moich plecach przyspieszyły. Poznałem głos Thornsa.

Odbiór! To wołał Areg. Odbiór! Jestem sam na pokładzie. Jestem sam...

W tym momencie powtórzyła się seria, ale znacznie bliżej, jakby strzelano tuż przy mikrofonie. Z głośnika dobiegł potworny zgrzyt, od którego załomotało mi pod czaszką, jakbym wsadził głowę między bieguny nuklearnego wibratora.

Raptem wszystko ucichło.

Przez ekran przewijały się spokojnie zapisy czynności Arega, jakie wykonywał po tej krótkiej nazwijmy to tak transmisji z globu. Przez kilka godzin wszystkimi możliwymi sposobami wywoływał bazę na powierzchni, jeli w ogó-

le zdśżyli tam co zbudować. Potem wyłśczył aparaturę. Dłuższą chwilę nie robił

nic. Wreszcie wziśł małą raketkę, uzbrojonoś w jeden miotacz laserowy, ostatniś, jaka znajdowała się na pokładzie, i poleciał. Przedtem zaprogramował orbitę Heliosa” i nadajnik namiarowy statku.

*

Minęło kilkanacie godzin, od kiedy uruchomiliśmy aparaturę zainstalowanąś w głównej kabynie wskrzeszonego statku. Bez przerwy odtwarzaliśmy dane, których już nie było, przepuszczając zapisy z maksymalnym przyspieszeniem.

Licznik wskazywał, że do odlotu Arega minęły nie miesiące już, ale lata.

Jeszcze raz mignął normalny obraz na ekranie kontrolnym. Cofnęliśmy zapis.

Miejsce Arega zajął Thorns. Zachowywał się co najmniej dziwnie. Robił co

przy zespole diagnostycznym. Następnie kilkanacie godzin leżał bez ruchu w fotelu. Potem wstał i

poszedł do łazienki, waląc się po drodze na projektor, który nie działał zresztą do tej pory. Pół godziny później otworzył ogień. Wszystkie baterie laserowe, wyrzutnie, miotacz antyprotonów. Ekran rejestrujący ciśnień kanonadę gasł powoli z upływem czasu, on jednak nie zrobił nic, żeby powstrzymać to piekło, które rozpełtał w promieniu wieluset kilometrów od Heliosa”. Trwało to tak długo, aż wiatelka czujników zmatowiała i zgasła, bęben podający tamę do zespołu pamięciowego zamarł w bezruchu i nastąpiła martwa, niema noc.

Rozdział 6

LED

Chciałbym zobaczyć, jak to wygląda... mruknął Riva.

Uporał się w końcu z kostką koncentratu, wstał i ruszył w stronę umywalni.

Zaszumiało. Mdły zapaszek ciepłego, oczyszczającego gazu dotarł aż do naszych foteli.

Opowiedziałem im jeszcze raz, możliwie najwierniej, wszystko, czego do-

wiadczyłem pozostając w strefie działania sił, stymulowanych przez obcy obiekt.

Mylę, że będziesz miał okazję rzucił beztroskim tonem Snagg, nie odwracając głowy. Oby nie za szybko.

Riva wrócił na swoje miejsce, odetchnął głęboko i wpatrzył się w rodek boczny ekranu.

Jutro lądujemy zauważył po chwili, pozornie bez zwińszku.

Jaki czas panowało milczenie.

Tak... odezwał się wreszcie Snagg to tłumaczy utratę łączności z ba-zą. Nasze statki jeden po drugim włączyły w to grzęzawisko i...

Na razie nic niczego nie tłumaczy przerwał Riva. Jeli teraz zacznie-my wycińgać wnioski, nie znajdziemy daleko.

Przyznałem mu w duchu rację.

Nazwijmy to pole strefy zerowej powiedziałem. Co do wniosków, zgadzam się z Rivą, że trzeba poczekać, aż zbierzemy więcej danych. Na podstawie tego, co wiemy dotychczas, można założyć, że było tak, jak mówi Snagg.

Interpretacja? skrzywił się Riva.

Nie odpowiedziałem. Skinąłem głową w stronę Snagga. Ten odczekał chwilę i zaczął mówić:

Mieszkańcy Trzeciej przyjmują przybyszów z Ziemi pigułkami, paraliżującymi łączność. Instalują w

nich jakie generatory, wytwarzające pola, które nazwałem strefami zerowymi – musiałem przelotnym spojrzeniem. I Monitor”, i dwa następne statki utrzymywały kontakt z bazą, dopóki nie znalazły się w obrębie tych stref. Nie wiemy, co się stało z załogą wyprawy kontaktowej. Natomiast Proxima prawdopodobnie wylądowała. Słyszeliśmy głosy... byli już na powierzchni satelity. Mniejsza z tym... na razie.

Na razie... zgodził się Riva.

Strefa zerowa jest stosunkowo niewielka. Manewrując na orbicie, nawet w sposób nieskoordynowany, statek może ją przecinać wielokrotnie, może ją...

Raczej: ja wtrąciłem. Prawdopodobnie tworzę pierścień obronny. Nie licząc tych, które wystrzelisz na spotkanie rakiet, przybywających z zewnątrz systemu Alfy.

Jak to było z nami – wtrącił znowu Riva.

Uhm. Mamy za to nieco więcej danych dotyczących losów Heliosa”. Weszli na orbitę. Przygotowali załogę do lądowania. Kontrolowali zapewne, jak to się zwykle robi, manewry bliźniaczego statku. I nagle stracili z nim łączność.

Ich

aparatura działała jeszcze normalnie.

Ludzie powiedział Riva.

Ludzie przytaknął Snagg. Ludzie działali normalnie. A więc to nie Helios”, tylko Proxima” jako pierwsza dostała się w tę strefę. Wtedy, kiedy podchodziła już do lądowania. Thorns robił, co mógł. Wysłał sondy, które jednak lecąc w kierunku Proximy”, musiały przeciąć pole wygaszające łączność. Więc zdecydował się na zmianę orbity. I wpakował statek w tę samą strefę, w której tkwił już pierwszy.

Koniec zabawy powiedziałem. Dalej będzie tylko czysta zgadywan-ka. Wiemy, że opuścili statek. Na pokładzie został Areg. Może zresztą poleciał

ze wszystkimi i wrócił potem, kiedy zdał sobie sprawę, co się dzieje. W każdym razie opuścił jeszcze na jakiś czas strefę zerową. Wiadczą o tym fakt, że uda-

ło mu się nawiązać przynajmniej jednostronną łączność z powierzchnią globu.

Głosy, które słyszeliśmy, zelektryzowały go do tego stopnia, że zabrał ostatnią raketkę i poleciał. Potem komputery Heliosa” znowu wpadły w płóśawicę. Kiedy statek jeszcze raz opuścił skażone pole, na pokładzie był już nie Areg, lecz Thorns. Prawdopodobnie ranny, jeśli to jego skafander znaleźliśmy w kabynie.

Mógł to być przypadek. Albo i nie. Poza tym licho wie, czy odniósł tę kontuzję na

powierzchni satelity, czy też w drodze na orbitę. Albo wewnątrz statku. Zresztą mniejsza z tym. Wiemy, że przeżył kilka lat. I chyba nie on jeden. A więc musimy postępować ostrożnie...

Uhm... Riva uniósł głowę i spojrzał w sufit. Jak długo się da...

Damy im szansę powiedział Snagg, tak cicho, że ledwo usłyszałem.

Dłuższą chwilę panowało milczenie.

Co się tam działo, na dole?... mruknął wreszcie Riva.

Bili się Snagg wzruszył ramionami.

Nie słyszałem głosów obcych...

Jutro zobaczymy przerwałem Rivie, prostując się. Szkoda, że nie ma-my specjalisty cybernetyka. Może potrafiłby coś powiedzieć o generatorach, stymulujących te strefy. To w tej chwili najważniejsze.

W każdym razie radzę sobie i z łącznością, i ze sterowaniem stwierdził

po chwili namysłu Snagg.

Centra nerwowe powiedział Riva. Wystarczy zaatakować jedno ogniwo w układzie prospektywnym mózgu... chociażby falami elektromagnetycznymi...

Zastanowiłem się.

Nie. Moc pól elektromagnetycznych, wytwarzanych przez bioprądy, nie osiąga wielkości progowych. Fale nie mogły oddziaływać na takie pola.

Niemniej już dwieście lat temu ludzie umieli pobudzać na odległość wypręgnięte nerwy i mięśnie. I to właśnie działając polami elektromagnetycznymi niskiej częstotliwości. Do stu herców.

Umieeli aż tyle? rzucił od niechcenia Snagg.

Także zwiększać pobudliwość ośrodków układu nerwowego.

Czy te strefy mogły oddziaływać na korę mózgową? spytał nagle Riva.

Uhm...

Przypuśćmy, że powodujesz defekty samoregulacji...

Defekty osobowości przerwał Snagg,

Niech będzie przystałem. Działając właśnie na starszą filogenicznie część kory. Tam powstają uczucia...

Samoregulacja musi mieć sprzężenie zwrotne Snagg pokręcił głową.

Riva spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem.

Co chcesz przez to powiedzieć?

Snagg zaczerpnął głęboko powietrza.

Próbuję sobie wyobrazić wzór, ogólny wzór na sprzężenie zwrotne...

Zna go każde dziecko parsknął Riva.

Z cybernetyki stwierdziłem. Nie z fizyki.

Zaczynałem się domyślać, o co chodzi Snaggowi.

A gdyby go sobie umiał wyobrazić? Riva utkwił wzrok w czubkach swoich butów.

Wiedziałbym wówczas, że to samo mógł kiedy pomyleć kto inny...

i nadać tej myśli konkretny kształt.

Kształt piguł stymulujących strefy zerowe?

Włanie.

Tym razem milczelimy nieco dłużej.

Dobra powiedziałem wreszcie. Sprzężenia to co, co mamy w małym palcu. Jeli je nam odbiorš...

Zostań tylko palce wysyczał Riva.

Tak. Wiem z praktyki, że nie jest bez znaczenia, o czym mylimy, wchodząc w te przeklęte strefy. Od teraz skupiamy uwagę na zadaniu, jakie mamy wykonać. Koniec. Żadnych rozmów. Snagg?

Tak?

Ustal współrzędne Heliosa". Nadajnik namiarowy z podwójnym zapasem energii. Generatory, które uruchomiliśmy, niech pracujš dalej. Za dziesięć minut rozłščzymy statki. Przepal linę. Lšdujemy w promieniu pięciu kilometrów od ró-

dła ostatniej emisji, odebranej przez Heliosa". Pogotowie za dwadziecia minut.

Snagg skinš głowš i pochylił się nad pulpitem. Riva siedział jeszcze kilka sekund bez ruchu, następnie wstał i podszedł do ekranów Kwarka" i Merkurego".

*

Rozruch.

Tak, rozruch głos Snagga brzmiał jak zawsze. Jego wzrok lizgał się obojętnie po okienkach czujników. Ręce leżały nieruchomo na kontaktach pulpitu.

Współrzędne.

Tak, współrzędne powtórzył Riva.

Kwark", Merkury", do korytarza.

Nie upłynęło pięć sekund, a z głównych dyszy statków satelitarnych strzeliły krótkie płomienie. Ich łby zbliżyły się do siebie i z niedostrzegalnym dla gołego

oka przyspieszeniem wycelowały w rodek tarczy globu. Nie poczułem nic. Szli-

my jednš tysięcznš mocy, jakš rozwijajš silniki w czasie startu w atmosferze.

Mijały minuty. Tarcza globu rosła powoli, wypełniła horyzont, krawędzie cieni na jej powierzchni uwypukliły się w poszarpanš sinusoidę wzgórz. Na wysokości siedmiu kilometrów przecięliśmy linę

terminatora i wpadliśmy w noc. Zaterkotał

geiger. To Kwark” sygnalizował niesłuchanie rozrzedzoną chmurę radioaktywnego pyłu. Dwa czy trzy razy ujrzelimy pod sobą miniaturowe rozbłyski. Ale w kabinie nie padło ani jedno słowo. Żaden z nas nie oderwał wzroku od czujników i ekranów.

Tak jak powiedziałem, myślałem o tym, co mamy zrobić i tylko o tym.

Tak powiedziałem...

Nagle uprzytomniłem sobie, że przed przystąpieniem do lądowania rozmawialiśmy chwilę. Wszyscy trzej. Wymieniliśmy lune przypuszczenia, refleksje, wdaliśmy się w spekulacje myłowe, pozbawione w gruncie rzeczy realnych podstaw i nie prowadzące do wniosków, bezpośrednio poprzedzających działanie. Jak do tego doszło? Czy przestaliśmy być ekipą inforpolu, idealnie zgodnie przyjmująca i interpretująca każdy fakt, każdą informację, jakbyśmy byli jednym mózgiem, od dziecka prowadzonym ku bezbłędnej precyzji oceny zjawisk, ugruntowanej w kręgu psychotronu i zautomatyzowanej w ciągu lat ćwiczeń? Nie. A więc co?

Tym razem natychmiast odrzuciłem to pytanie. Musiałem skupić całą uwagę na zadaniu. Pomyślałem tylko, że była to zapewne pierwsza tego rodzaju rozmowa w historii Korpusu.

Znajdowaliśmy się znowu nad półkulą dzienną. Przewaliliśmy się kilometr nad powierzchnią w szyku stożkowym, amortyzatory foteli miauknęły bólem, spótniając się jak zwykle o ułamki sekund, rakiety przekoziółkowały. Stojąc na ogniu schodziliśmy w dół, w ekranach rósł z każdą chwilą obraz łagodnych pagórków, spływających ku zachodowi w rozległą równinę. Najbliższe wzgórze, palone odrzutem, zaczynało już kopcić, z rufy wysunęły się rozczapierzone zastrzały kratownic, sąsiednie zbocze rozbłysło jeszcze raz pomarańczową łuną. Potężne, sprężyste uderzenie teleskopów.

Staliśmy.

Do startu!

Tak, do startu powtórzył spokojnie Riva.

Trwalimy bez ruchu, z rękami zawieszonymi nad pulpitem sterowniczym. Mięły sekundy. Mniej więcej sto metrów dalej, u stóp wzgórza, siadał Merkury”.

Kwark” zniknął nam na moment z oczu. Po chwili ukazał się znowu, już znacznie bliżej. Snag naprowadzał go na najwyższy punkt wzniesienia. Chodziło o pole ostrzału. Poza tym będzie służył jako radiolatarnia. My lądowaliśmy w połowie zbocza, w równej odległości od obu statków towarzyszących.

Odczekaliśmy dziesięć minut. Komputer powtórzył dane, uzyskane z widmowej analizy gruntu. Uczciwa skorupa, przynajmniej z jej strony nie groziły nam żadne niespodzianki. Chmura pyłu, wzniesiona przez odrzut przy lądowaniu klucza, opadała powoli. Butler milczał. Soczewka kontrolnej lampki geigera wygląda-

dała jak niewinny, czarny guziczek. Głoniki nasłuchu zewnętrznego nie przynosiły żadnego niepokojącego szmeru. Poza po skrzypcy waniem części pancerza i hamownic, rozpalonych w czasie lądowania. Ale to były znane, swojskie głosy, które nie docierały do naszej wiadomości.

Kwark” powiedziałem. Snagg pochylił się nad pulpitem.

Podwójny piercień.

Wokół dziobu rakiety, sterczącej ze szczytu wzgórza, otworzyła się wśka, czarna kryza. Cały klucz znalazł się wewnątrz pola ostrzału miotacza antyprotonów. Zaprogramowaliśmy jeszcze automaty celownicze Merkurego” i statku macierzystego. Dziób Kwarka” rozchylił się następnie jak pękający owoc, po czym wychynęła z niego wysoka na trzydzieci metrów antena, która rozbudowa-

ła się u góry w pajęczy reflektor. Ten statek przejął teraz funkcję naszej centrali komunikacyjnej.

Kod rzuciłem.

Tak, kod.

Oczekaliśmy, aż pokładowy kalkulator skończy przekazywać dane o lądowaniu i wstępne badania gruntu do nadajnika. Baza otrzyma pełny meldunek.

Zrobiliśmy już więcej niż dwie poprzednie ekspedycje. Tylko że one przyleciały tutaj bez zaprogramowanych miotaczy. To znaczy tak zaprogramowanych, żeby zmiatały z drogi wszystko, nie czekając na ewentualne spónione przyjacielskie gesty ze strony obcych. I nie były ekspedycjami Korpusu.

W piętnastej minucie po lądowaniu opadły podłużne płyty klap transportowych. Zjechały po nich, pędzone bezgłonymi silnikami, nasze pojazdy. Wokół

kratownicy Urana” ustawiły się trzy Skorpiony”, podobne do płaskich, pancernych owadów z zadartymi odwłokami. Od strony Merkurego” zbliżył się Phobos”, najcięższa z maszyn, przeznaczonych do eksploracji nie znanych lądów.

W całej flocie Korpusu było wszystkiego kilkanacie tego typu pojazdów.

Phobos” miał zainstalowany uniwersalny miotacz antimaterii i autonomiczną aparaturę neuromatu. Zapasy energii w jego ładowniach były praktycznie niewyczerpane.

Spróbuj się tu wygodnie urządzić” powiedziałem do Snagga. Riva idzie ze mną.

Skinął lekko głową. Nie spojrzał nawet w moją stronę.

Ubieraliśmy się bez popiechu. Skafandry ważyły tutaj trochę więcej niż na Lunie. Wzięliśmy pełny zestaw kontaktowy i wszystko, co trzeba, na wypadek gdyby obcy bardzo nie życzyli sobie kontaktu.

*

Stojąc w otwartym włazie, powiodłem spojrzeniem wzdłuż linii horyzontu.

Łagodne, niemal regularne garby pagórków wznosiły się ku wschodowi aż do zamykającej widnokrąg poszarpanej ciany, otaczającej zapewne wygasły przed tysiącami lat krater. Bardziej na północ, tylko bez porównania dalej, podobna grań znaczyła swoją obecność nikłymi, fioletowymi niteczkami. Spojrzałem w prawo. Tutaj obłe wierzchołki wzgórz, przypominających nadmorskie wydmy, biegnęły nieskoń-

czonymi szeregami po kres horyzontu.

Obca ziemia. Nawet nie ziemia. Satelita. Ani ladu obecności gospodarzy. Mi-

ły, bezludny ląd. Co z tego, że obcy. Tylko że ten ląd nie był bezludny. Gdzie, wśród tych wzgórz, w sąsiedztwie skalnych grzebieni lub kraterów lądowali przybysze z Ziemi. Tej prawdziwej. I oni również nie stanęli na bezludnym lądzie. I nie

wśród istot, które by marzyły o gościach z naszego układu.

Podcisnąłem pas, odwróciłem się plecami do otwartej przestrzeni i zszedłem na płaską łapę windy, której prowadnice biegnęły wzdłuż zastrzału, wpartego dolnym końcem w grunt globu.

Stanąwszy na dole, odwróciłem się znowu i dałem krok do przodu. Twarde, lite podłoże. Tupnąłem. Zadźwięczało, jakbym uderzył pięciś w pancierz wielkiego dzwonu. Postąpiłem kilka kroków w kierunku Phobosa”. Za sobą usłyszałem stępanie. Riva także stanął już na powierzchni drugiego satelity. Trzeciej, planety obcego słońca, bardziej obcego niż ktokolwiek z nas mógł to sobie wyobrazić przed pierwszą wyprawą.

Wszystko w porządku usłyszałem spokojny głos Snagga. Helios”

daje namiar.

Dobra mruknąłem. Odwróciłem się i skinąłem na Rivę. Po chwili gra-moliliśmy się z trudem na pancierz Phobosa”, uważając, by nie zaczepić aparatury skafandrów o klapy strzelnic i wysięgników.

*

Minęło dwadzieścia minut. Oddalaliśmy się spiralnym torem od lądowiska, przeczesując teren falami radaru i sondami. Echo sygnałów wracało niezmiennie do czujnych uszu neuromatu i wodzików automatów celowniczych, nie przynosiło żadnych niepokojących wieści.

Phobos” szedł miękko na poduszce powietrznej, zgrabnie przeskakując wierzchołki wydmy wzdłuż wzgórz. Jego silniki pracowały bezszelestnie, tylko na bardziej stromych wzniesieniach budziło się w nich delikatne granie.

W kabinie było niewiele mniej miejsca niż w sterowniach rakiet typu Uran”.

Co do ładowni, można by w niej pomieścić bez trudu załogę niewielkiej stacji kosmicznej.

W miarę posuwania się w głąb lśdu, grunt niepostrzeżenie zmieniał barwę.

Żółć mieszała się z fioletem, tu i ówdzie wypełzały łachy błękitu, wszystko to ciemniało stopniowo i stawało się coraz bardziej niepodobne do powierzchni któ-

regokolwiek globu czy asteroidy, wędrujących po obszarach naszego układu słonecznego. Chwilami w skalistym podłożu, w miejscach pozbawionych warstwy żwiru czy pyłu, otwierały się kręte kanaliki matowej czerwieni. Tak jakby powierzchnia globu nie zatrzymywała promieni słonecznych, jakby wiatło dociera-

ło do płytkich warstw geologicznych i załamywało się równocześnie w kryszta-

łach najrozmaitszych minerałów. Widok był piękny, ponieważ polatywanie Phobosa” powodowało pozorny ruch i przemieszczanie się wszystkich tych barw. Ale nie dla widoków przylecieliśmy tutaj.

*

Coraz wyżej wznosiły się na wschodzie strzępiaste stożki skał, mur, jaki tworzyły, przestał być zwarty i jednolity, można już było rozróżnić poszczególne granie i turnie. Przed najwyższym pasmem czerniał długi, ginący za horyzontem rów o niemal idealnie równych brzegach. Przypominał gigantyczną fosę, strzegącą do-stępu do skalistej twierdzy. Pagórki, zbiegające ku brzegowi owego rowu, stawa-

ły się szersze i niższe, spływając w lekko nachyloną równinę. Siedzieliśmy bez ruchu i milcząc chłoniliśmy przestrzeń przed tępo ciętym dziobem Phobosa”, przenosząc wzrok z ekranów w podłużne, łukowate wizjery. Podobnie jak w kabinach raket, sterownicę pojazdu opasywał rząd ekranów. Pod nimi ciśnęły się jednak zwykłe pancerne okna. Sama kabina była okrągła, o kształcie spłaszczonej półkuli nasadzonej zaraz za dziobem na potężny korpus. W raketach, ze wzglę-

du na przeciżenia występujące przy lśdowaniu i w czasie startu, fotele załogi są

umocowane na stałe. Tutaj pozwolono sobie na większy luksus. Chcąc zmienić położenie, można było odwrócić całą wieżyczkę. Same fotele również były obrotowe. Miało to pewne znaczenie w sytuacjach wymagających szczególnie bacznej obserwacji i operatywnego działania.

Na początku drugiej godziny marszu pochwyciłem kątem oka nikły, krótko-trwały rozblask nad którym z najbliższych szczytów. Automat zareagował natychmiast, w ułamku sekundy skierując w tę stronę lufy czujników.

Lustro? zapytał Riva. Było to pierwsze słowo wypowiedziane w kabinie Phobosa”, od kiedy zasiedliśmy w jej niskich, oplecionych przewodami fotelach o wysokich oparciach.

Sygnal wietlny ze wschodu rozległ się z głośniczka głos Snagga.

Podaję współrzędne...

Zostaw rzuciłem. Widzieliśmy.

Mimo to podał współrzędne. Neuromat statku sprawdził informację.

Nie bez pewnej satysfakcji przyglądałem się cyferkom, wyskakującym w ekranie kontrolnym. W okienku automatów celowniczych obudziło się już przed chwilą ostrzegawcze żółte wiatelko.

Wołam Thaala domagał się Snagg. Mówcie, co u was.

Nie masz nas na ekranie? spytał spokojnie Riva.

Trwało chwilę, zanim odpowiedział.

Mam.

Zabrzmiało to jak zatrzymanie drzwi pokoju, który się opuciło bez zbytniego żalu. Riva umiechnął się. Pierwszy raz widziałem jego umiech.

Nowy błysk, bliższy i ostrzejszy. Usłyszałem narastające buczenie automatów, pomyślałem, że mamy awarię jakiego podzespołu i gwałtownym wyrzutem ramienia zablokowałem spust miotacza. Dobiegł mnie okrzyk Rivy, którego głos zagłuszył jednak jazgot głośnika. Okienka czujników rozjarzyły się kłującymi wzrok wiatłami, kśtem oka spostrzegłem jeszcze metaliczne odbicie na gasną-

cej tarczy radaru, ręce mi opadły, w ustach poczułem słony smak potu i zamarłem w bezruchu. Trudno mi powiedzieć, jak długo to trwało. Nie myślałem o niczym.

Wysłuchiwałem się w piekielny hałas, wypełniający kabinę, ale nic nie usiłowałem zrozumieć. Tak jakby nic do mnie nie docierało. Kiedy się ocknąłem, kabina wykonała pełny obrót, przed sobą mieliśmy znowu wspinając się garby wydm czy wzgórz. Głoniczek zachłysnął się nagle i umilkł. Wyraniej zabrzmiał teraz czyj

głos. Natarczywy, jęczący, przewiercający czaszkę na wylot.

Czego wrzeszczysz?! ryknąłem, zaciskając pięci na poręczach i podkurczając nogi. Poderwałem się, chciałem go dosięgnąć, ale fotel był pusty.

Ogarnęła mnie nieprzytomna, zwierzęca wciekłość. Miał pilnować porządku. To był jego psi obowiśzek.

Poczekaj wycharczałem dostanę cię...

Skoczyłem. W tym samym momencie poczułem tępy ból w głowie. Uderzył mnie. Chce się mnie pozbyć.

Nie pozbędziesz się... syczałem, wywijając na olep rękami.

Wreszcie go zobaczyłem. Tkwił, wcinęty plecami w wśkś przerwę między pulpitem a pokrywś przystawki pamięciowej, przechylony gęboko do tyłu i spoglśdał na mnie szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Był bez hełmu. Jego twarz zalewał pot, zlepione kosmyki włosów przykleiły mu się do czoła. Z pół-

otwartych ust ciekła strużka liny.

Boisz się!!! krzyknśłem tryumfalnie.

Zaraz przestanie się bać. Niech tylko wypłaczę nogi z tych przekłetych przewodów... boi się...

Znieruchomiałem. Strach. Riva się boi...

Nie bardzo zdajśc sobie jeszcze sprawę z tego, co robię, uniosłem dłoń, pozbawionś rękawicy, i ile siły wyrznśłem niś w pancerne okucie ekranu. Poprawi-

łem, raz i drugi. Wypróbowany sposób przemknęło mi przez mył. Umiechnśłem się. Ale zaraz potem oprzytomniałem. Przynajmniej na tyle, żeby rzucić się w stronę rozrzśdu celowników. Uderzyłem kolanem w łożysko fotela i wałśc się już głowś na dół, między podstawy ekranów, zdśżyłem jeszcze szarpnść bezpiecznik, blokujśc spust miotacza. W tym samym ułamku sekundy ekrany pojaniały.

Zgiełk ucichł, jak nożem uciłś. Dobiegł mnie jeszcze cienki, niemal nieuchwytny syk. Zrozumiałem, że Phobos” otworzył ogień. Trafiłem głowś w twardś, kanciastś obudowę i na moment wszystko się skończyło.

Kiedy ponownie otwarłem oczy, ujrzałem tuż nad sobś twarz Rivy. W jego wzroku było co, co powinno mnie zastanowić. Ale nie przyglśdałem mu się dłu-

żej niż kilka sekund. Mój umysł pracował już normalnie.

Butler milczał. Na jaki czas miałem go z głowy. Przynajmniej dopóki sytuacja się nie wyjani i będę mógł poszperać w głoniku.

Wypłśtałem ramię z przewodów zasilajścych i wtedy dopiero udało mi się dosięgnść podstawy ekranu. Usiadłem.

Riva wyprostował się powoli i oparł o poręcz fotela. Wciśz przyglśdał mi się badawczo, ale wyraz jego twarzy powoli łagodniał. W dalszym ciśgu nic nie mówił.

Cała scena rozegrała się w czasie nie dłuższym niż dziesięć sekund. Kiedy się podniosłem i dotarłem na fotel, ekrany gorzały jeszcze ogniem. Otaczajśc nas niskie wzgórze, fioletoworudy grunt, chmury pyłu, zalegajścgo zagłębienia, wszystko to zniknęło w płomieniu anihilacji. Dokoła nas zaczął się formować ponury, mroczny mur, na kształt monstrialnej baszty, który, jeliby patrzeć z ze-wnśtrz, musiał powoli przybierać kształt gigantycznych rozmiarów grzyba.

Sięgnśłem do pulpitu i nacisnśłem klawisz. Poczulem nikłe, rosnśce przyspieszenie, Phobos” zakołysał miękko raz i drugi, w kabinie zrobiło się nagle tak

ciemno, że aż rozbłysły wewnętrzne reflektory, choć nie na długo.

Przez ekrany zaczęły przelatywać rzadziejše pasma mgły i raptem ujrzeli-

my w iluminatorach spokojny, zalany słońcem krajobraz. Odwróciłem wieżyczkę w stronę zamykających horyzont gór i zastopowałem.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i ostrożnie, jakbym zdejmował zniszczone opakowanie z drogocennej wazy, uniosłem hełm. Załomotało mi w głowie, każde uderzenie przyspieszonego pulsu odczuwałem jak dotkliwy cios. Zsunąłem ręk-

kawicę z lewej dłoni i obmacałem czaszkę. Guz nad lewą skronią. Poczulem pod palcami lepki wilgoć. Tak, jakby mnie kto poczęstował grubym, kanciastym drż-

giem. Ale to nie był drżg. Poszukałem spojrzeniem krótkiego występu, stanowi-

cego przedłużenie podstawy ekranu. Nikt mnie nie uderzył. Bzdura.

No więc to byłoby załatwione. Przemogłem ból i odwróciłem głowę, żeby popatrzeć na Rivę. Stał cały czas bez ruchu, oparty o fotel. Spostrzegłszy, że mu się

przyglądam, uniósł odrobinę rękę, machnął dłońmi i odwrócił się. Obszedł oparcia foteli, zerknął w czujniki i usiadł ciężko, przeciśgając się i prostując nogi na całą

ich długość. Nie patrzył już w moją stronę.

Skupiłem uwagę na obrazie, jaki przekazywał ekran czołowy. Próbowałem odszukać wzgórze, gdzie zauważyliśmy przedtem ten błysk.

Pamiętasz, gdzie to było? mruknąłem wreszcie.

Zwolniłem automaty celownicze. Wieżyczka drgnęła i przesunęła się dwa stopnie w prawo.

Zostaw... odpowiedział mruknięciem, jakby z niechęcią.

Nie zostawiłem. Zawróciłem Phobosa” i omijając szerokim łukiem pole bezpośredniego zetknięcia gruntu z antymateria, nad którym wciąż jeszcze wisiał

słup

gęstej, czarnej chmury, odnalazłem linię naszego marszu, zanim został przerwany przez ów prezencik, przesłany nam drogą powietrzną. Jeszcze raz zwróciłem pojazd dziobem w stronę gór i zastopowałem.

Tak, to był ten szczyt. Pamiętałem otaczające go turnie, a zwłaszcza jedną, przypominającą jurajską maczugę skalną.

Przerwałem na chwilę sprzężenie automatów celowniczych z ich uniwersalnym programem, zapisanym w pamięci komputera, podciśnięłem prowadnicę baterii laserowej i naprowadziłem ją niepiesznie, jak na ćwiczeniach.

Dotknąłem

spustu. Wziąłem minimalną poprawkę i krótkie, prostokątne lufy Phobosa” poś-

czyły się na kilka sekund najcieńszymi, promienistymi drogami z wierzchołkiem odległej o kilka kilometrów skały.

Odjąłem rękę od pulpitu i czekałem. Nic.

Mam nadzieję... zaczął Riva, ale nie skończył.

Z trafionego szczytu uniosła się smużka dymu. Tak jak na Ziemi w mrozy, bezwietrzny dzień, kiedy zapali się w jakim muzealnym kominku. Siadu ognia, wybuchu, nic. Tylko ten spokojny dym, unoszący się prociutko smug w pozbawioną atmosfery przestrzeń, otaczającą glob.

Mam nadzieję podchwyciłem że nie spaliliśmy im żadnego pomnika.

Nie odpowiedział. Siedział chwilę bez ruchu, naburmuszony, po czym umiechnął się nagle, zwracając twarz w moją stronę. Ale nie był to radosny uśmiech.

Przed chwilą chciałem go uderzyć... jeśli nie zrobić coś jeszcze gorszego.

Wciekłem się na niego. A on konał ze strachu. Bał się mnie. Nonsens. Co, co nie

może się zdarzyć. A jednak tak było. Na wszystko byliśmy przygotowani. Niemal na wszystko. Na to nie. Tego jednego nikt nie przewidział. Że stracimy kontrolę nad własnymi odruchami i własnymi myślami. Istoty, które stać na wymyślanie i posługiwanie się takimi diabelstwami, nie zasługują doprawdy na żadne wzglę-

dy.

Uniosłem do oczu prawą dłoń. Była opuchnięta i miękka, przypominała zgniły owoc o postrzępionej łupinie. Co trzeba było z tym zrobić.

Wypatrzyłem głębsze od innych siodło między pagórkami i skierowałem tam Phobosa”. Kiedy skryliśmy się za niskim, gładkim zboczem, wyłączyłem silniki. Pojazd opadł łagodnie i przywarł do powierzchni gruntu. Wstałem, zrzuciłem skafander i zabrałem się do głownika mojego wiernego butlera.

*

Minęło półtorej godziny. Od dobrej chwili tkwiłem już z powrotem w skafandrze i wsłuchiwałem się w żrędlive pobekiwanie aparatury, nie szcędzącej mi dobrych rad. Moją głowę spowijała

elastyczna torba, pełna niedostrzegalnych gołym okiem obwodów. Przechodziłem błyskawiczną kurację, przepisaną przez zespół diagnostyczny. Dłoń miałem unieruchomioną. Jaki czas będę musiał na nią uważać. Krzepy mi nie brakowało. Niewiele, a rozwaliłbym ten pulpit, z jego pancerną obudową. Tego mnie nie uczono. A jednak gdybym tłukł tę rękę odrobinę słabiej...

Rozmowę ze Snaggiem mieliśmy już za sobą. Szczegółowy meldunek poszedł do bazy. Uran” przyjął kod z potwierdzeniem odbioru wiadomości o Heliosie”.

Nasi szefowie z Budorusa uważali, że statek trzeba wyposażyć i zostawić na orbicie w charakterze rezerwowej bazy. Natomiast nie zajęli się nawet na temat tego, co powiedzieliśmy im o strefach zerowych. Prawdopodobnie nic nie zrozumieli. Lub też uznali, że i tak nie mogą nam pomóc i wobec tego nie ma się co roztkliwiać. Jakbym słyszał Jeusa: Maj się zadanie, albo im się uda, albo nie, bez względu na nasze spekulacje...”

Ciekaw byłem, co zrobisz, jeżeli nam się nie uda. Wylisz następną ekipę? Chyba tak. Z tym, że to zagadnienie, przynajmniej dla nas, musi pozostać niesprawdzone.

W bocznym czujniku centrali komunikacyjnej pulsowało wiatłko, potwierdzające stałą łączność z kabiną Urana”. Snagg prosił jednak, żebyśmy osobiście potwierdzili przekazy automatów. Jakby się bał, że nasze nerwy odmówią posłuszeństwa i że neuromat tego nie zauważy. Zgłaszał się co minutę. Powiedziałem mu w końcu, żeby się wyłuszczył. Mruknął co i umilkł.

*

Po dwóch godzinach od momentu otwarcia ognia radioaktywna chmura za nami osiągnęła wysokość kilku kilometrów. Nad samą powierzchnią gruntu pozostał zaledwie nikły jej ład, w postaci popielatej, półprzeroczystej mgiełki.

Tylko okienka geigerów jarzyły się pomarańczowym wiatłem. Ale tak będzie tutaj jeszcze przez wiele dni.

Uruchomiłem silniki. Kiedy nabrały mocy, sprawdziłem automaty celownicze, zdjąłem z głowy opatrunek i włożyłem kask.

Nie dojedziemy mruknął Riva, wysuwając brodę do przodu i wskazując wrzynając się w horyzont turnie.

Nie przyznałem.

Dla unoszącego się na powietrznej poduszce Phobosa” nie było drogi niedostępnej. Ale prowadzenie pojazdu wzdłuż pionowych cian, nad przepaciami i piargami skalnymi, w warunkach stałego zagrożenia ze strony obcych, oznacza-

ło ryzyko, graniczące z szaleństwem. Nie mówisz o owym rowie czy rozpadlinie, odgradzającej płaskowyż od szczytów, której pokonanie musiałoby nam zająć ze dwa dni piekielnej wspinaczki.

Rozejrzyjmy się powiedziałem bardziej do siebie niż do Rivy, zaciskając lewą dłoń na rękojeci steru.

Silniki zamiauczały, wynosząc pancerny ciężar Phobosa” na wierzchołek wzgórza, pod którym przyczailimy się po pierwszej potyczce. Zastopowałem.

W otaczającym nas krajobrazie nie zmieniło się pozornie nic od chwili, gdy lustrowaliśmy go stojąc w otwartym włazie statku, tuż po wylądowaniu. Taki sam milczący pochód regularnych wydm, ten sam martwy spokój, ta sama mozaika barw, nieruchomych teraz, ale gotowych podjąć piękny, niezrozumiały taniec przy najmniejszym poruszeniu pojazdu. Te same połamane grzebienie skał na horyzoncie. Jeżeli jednak przedtem mogliśmy chwilami ulegać złudzeniu, że trafiliśmy na ląd obcy, ale pusty, czekający od tysiącleci na odkrywców, to teraz nie mieliśmy już wątpliwoci, że był to ląd wrogi.

*

Ostatecznie postanowiliśmy ruszyć na północny wschód, w stronę gór i, nie dojeżdżając do skalnego rowu, trzymać się nadal drogi równoległej do linii jego brzegu, w przyzwoitej odległości od przepaci.

To może trwać dwa lata rozległ się nagle w kabinie głos Snagga, Masz zamiar naszej drogi? spytałem.

Uhm.

Włącz go do programu i czekaj.

Mogły istotnie minąć lata, zanim szukając w ten sposób, po omacku, trafilibyśmy przypadkiem na ład ludzi. Cóż stąd, skoro nie mieliśmy wyboru.

Nasze odbiorniki oczywiście stale wylapywały sygnały z Trzeciej i zapewne nie tylko z Trzeciej, lecz również z baz satelitarnych, ale podobnie jak na Ziemi czy

w Budorusie komputery nie były w stanie wyciągnąć z tego kociokwiku ład jakiegokolwiek pasma znaczeniowego. A nadajniki naszych załóg, jeżeli te załogi jeszcze istniały, zachowywały martwe milczenie. Zresztą nie sądziłem, aby nam pozwolono bezkarnie buszować po tym lądzie dłużej niż przez kilka godzin. I w tym upatrywałem naszą szansę. Może to niemiłe, ale trudno.

Znowu chwyciłem ster. Nabierając szybkości Phobos” zsunął się ze zbocza, zakołysał miękko wtaczając się na równinę i wziął kurs na północny wschód.

Sterowanie przejęły automaty.

*

Od miejsca, gdzie zostawiliśmy Urana”, przebyliśmy sto osiemdziesiąt kilometrów. Tępy, spłaszczony dziób pojazdu celował od pewnego czasu prosto ku północy. W odległości kilkudziesięciu metrów od lewej burty otwierała się czeluch

skalnego kanionu. Nad jego przeciwległym krajem wisały potworne, strzelające na kilometry w górę, przewieszane skalne ciany. Tu i ówdzie otwierały się w nich

głęboko wcięte żleby, zasłane głazami, od których odchodziły potrzaskane, ostre żebra. Za nimi widniały masywy dalej położonych szczytów, dobiegających łukowato wyciętymi graniami do głównego pasma. Mimo to wydawało mi się, że cały ten grony i potężny widok nie dorównuje ani majestatem, ani urodzajnym masynom otaczającym krater na Lunie.

Teren, nad którym wznosił się Phobos, był równy jak stół, miejscami przypominał starą, ziemską drogę. Barwy gleby, a właściwie powierzchniowych warstw skorupy globu jakby wypływały lub też my oswoiliśmy się już z ich kalejdoskopowym kontredansem.

Od pewnej chwili obserwowałem z uwagą widoczne przed nami, w odległo-

ści kilkuset metrów, łagodne wybrzuszenie z płasko ciętym, tarasowatym wierzchołkiem. Nawet po wielogodzinnej podróży przez bliźniaczo podobne do siebie wzgórza, przypominające gigantyczne piaskowe babki pochodzące z tej samej foremki, to jedno wybrzuszenie zwracało naszą uwagę niezwykłą regularnością rysunku. Ale na próżno wypatrywałem jakiegokolwiek szczegółu, załamania czy wypiętrzenia, które wiadczyłyby o tym, że nie jest dziełem natury. Dopiero kiedy

znaleliśmy się tak blisko, że wzrok mógł już sięgnąć poza jego krawędź, odsłonił się przed nami idealnie gładki, jak zalany szkłem, niemal biały pas, szerokości

około dziesięciu metrów, zbiegający prostymi brzegami w perspektywę, aż ku zamykającemu horyzont załamaniu łańcucha górskiego.

Zwolniłem, wprawilem w ruch wieżyczkę, na wszelki wypadek zlustrowałem bardzo dokładnie okolice, równocześnie przebiegając wzrokiem tarcze ekranów i czujników, po czym ostrożnie prowadziłem Phobosa na biały płaszczyznę, przejechałem kilka metrów i zatrzymałem pojazd.

Lotnisko biskupa Riva.

Tak to wyglądało. Jak pas startowy starego, sportowego lotniska.

Ale nie widziałem w życiu pasa, który by się ciągnął, lekko licząc, pięćdziesiąt kilometrów.

Wywołałem Snagga i kazałem mu wysłać sondę.

Tak, sonda usłyszałem natychmiast.

Po upływie niespełna czterdziestu sekund na czołowym ekranie ukazała się srebrzysta struna, wędrująca ku rodkowi tarczy. Sonda minęła nas na wysokości omiuset metrów i poszybowała nad gładziwą pasą.

Przerzuć łączność powiedziałem do Rivy.

Skinął głową i pochylił się nad pulpitem centrali komunikacyjnej. Ekran zmienił barwę, pojawiał.

Przecinała go prosta biała wstęga, nie skalana najmniejszą plamką czy nierównością. Z lewej strony, zlewając się na skutek ruchu sondy,

placki wzgórz. Po prawej brzeg kanionu, odległy od skraju białego pasa o jakie sto metrów. Dalej otwarta czeluć, której dno, nawet z tej wysokości, pozostawało niewidoczne. Podnóża skalnych cian obraz już nie obejmował.

Pojed wyżej.

Snagg usłuchał od razu. Obraz zaczął się rozszerzać. W tym momencie w miejscu, gdzie biały pas ginął u stóp górskiego grzebienia, co zalśniło. Wydawało mi się, że rozpoznaję kopulasty kształt, jakby dno wielkiej, odwróconej misy. Nagle ekran zasnuł się mgłą. Sekundę, może dwie, jej kłęby rozstępowały się jeszcze na mgnienie w różnych miejscach tarczy, ukazując rozmazane biel.

Potem ekran zaczął ciemnieć, zmatowiał, wreszcie zgasł zupełnie.

Widoczność zero zameldował Snagg. Jakbyśmy czekali tylko na ten meldunek.

Riva pochylił się znowu nad pulpitem i popiesznie przerzucał klawisze. Raptem kabina wypełniła się gwarem zmieszanych ludzkich głosów.

Potrzebuję wody mówiła kobieta głosem, w którym brzmiała troska, a nawet rozpacz.

Jest spirytus odpowiedział mężczyzna. Czyj miech. Kilka głosów naraz, z których na próżno usiłowałem wyłowić pojedyncze słowa. Krzyk, a raczej wrzask, ochrypły, nieludzki, pełen niepokonanej wciekłości. Sekunda ciszy.

Znowu bełkot wielu zmieszanych głosów.

Namiar!

Riva manewrował gorączkowo aparaturą sterującą centralki, gdy wtem łączność urwała się, jak nożem uciśniętą, i w kabinie zabrzmiał głos Snagga: Mam załogę! To samo, co w zapisach Heliosa”!

Wyłącz się! warknąłem.

Umilkł. Czekałem kilka minut, z nadzieją, że Rivie jeszcze raz uda się odnaleźć pasmo, przenoszące głosy ludzi. Pasma w końcu znalazł, ale nie usłyszeliśmy już nic poza niezrozumiałymi dla naszych komputerów sygnałami mieszkańców systemu.

Namierzyłeś? spytałem. Poruszył głowę.

Na przedłużeniu toru mruknął. Nie zdążyłem sprawdzić... dodał niepewnie.

Pchnąłem ster. Phobos” ruszył ostro i z miejsca nabierając prędkości pomknął rodkiem pasa, powleczonego białą emalią ku widniejącemu w perspektywie wąskiemu pasmu gór.

*

Od momentu, w którym po raz pierwszy stanęliśmy na tej urywającej się w pustyni szosie, minęło trzydzieci minut. Przez cały ten czas nie odezwaliśmy się słowem. Również Snagg milczał, jakby dotknięty, że nie chcieliśmy go słuchać.

A więc żyli. Przynajmniej niektórzy. Odnajdziemy ich. Teraz to już tylko kwestia czasu. Zatem na razie musimy unikać spotkania z obcymi. Nie wolno ich draż-

nić. Oczywiście do czasu. Tak długo, aż ludzie, wszyscy, ilu będziemy w stanie uratować, znajdą się w hibernatorach Heliosa”. Potem zobaczymy. Z pewnością nie odlecimy stąd ot tak sobie, udając, że nic się nie stało.

Góry rosły w oczach. Widzieliśmy już miejsce, gdzie kanion, wzdłuż którego położono biały pas, wypełniał się, przechodząc w płaski upłaz, prowadzący rosnące stromizną ku przełęcz. Tam grzebień zamykający horyzont łączył się z pasmem szczytów, towarzyszących nam cały czas od wschodu.

Przebyliśmy jeszcze półtora kilometra, zanim prosty dotychczas tor osobliwej szosy zaczął, początkowo niedostrzeżalnie, a następnie szerokim, ale zacieniając-

cym się łukiem zakręcać ku zachodowi. Perspektywę przesłoniły regularne garby wydm, jakby wyższe w tym miejscu od tych, które przeskakiwaliśmy po opuszczeniu lądowiska.

Wreszcie, za którym z kolejnych zboczy, odsłoniła się pusta przestrzeń.

Wzgórza rozbiegały się, tworząc opasującą sztuczną równinę kolisty kręgu. Po-

rodku, niczym obraz z lichego filmu przygodowego, widniała lniśca, przypłaszczona kopuła ogromnej budowli.

Zastopowałem.

Jeżeli oni są tam... Riva nie skończył. Wywołałem Snagg.

Widzę powiedział, jakby z niechęcią. Nie mam stamtąd żadnych sygnałów...

Kazałem mu wystrzelić sondę. Zrobił to jednak z nie lepszym skutkiem niż poprzednio. Aparat przestał przekazywać obraz, zanim znalazł się nad miejscem, gdzie stał Phobos”.

To nie jest złe odezwał się po chwili Riva.

Kształt budowli, nieregularna sinusoida kopuły, proporcje jej przyplaszczonej czapy i trapezoidalnej podstawy, mogły rzeczywiście wzbudzać podziw ziemskiego architekta. Biały pas, który nas tutaj przyprowadził, rozdzielał się nie dobiegając do podnóża czaszy i odbiegał już eliptycznie, pozostawiając sporo wolnej przestrzeni. Zapełniały już rozrzucone na pozór bezładnie bloki kolorowych skał, jakie spiralne, ułożone szeregowo konstrukcje, jajowate pojemniki i rozszerzające się ku górze wiązki złocistych prętów.

Odczekałem jeszcze kilka minut, po czym zablokowałem automaty celownicze i przycisnąłem spust baterii laserowej. Nad kopułą pojaniało. Trzy krótkie serie. Przerwa i znowu trzy.

Nic. Jakby nie mieli żadnych zewnętrznych czujników, obiektów, nasłuchu.

Jakby ich nie obchodziło, że pod bazę przybył pojazd, którego załogę stanowiły istoty spoza ich systemu słonecznego.

Jedziemy rzuciłem. Melduj Snaggowi.

Nie czekając, aż Riva skończy przekazywać dane Uranowi”, odblokowałem celowniki i pchnąłem ster. Phobos” podtoczył się miękko do rozwidlenia pasa, na ekrany padł głęboki cień, rzucony przez kopułę, spod wieżyczki trysnęły smugi światła. Fotokomórka uruchomiła reflektory.

Okrężaliśmy budowlę lewym pasem, pilnie bacząc na wskazania czujnikowi obserwując mijane konstrukcje. Ale najmniejsze poruszenie, najmniejszy dźwięk czy błysk światła nie przerwały martwej ciszy, panującej wokół kopuły, zajmującej centralny punkt zalanego słońcem koliska, otoczonego gładkimi czubami wzgórz.

Minęliśmy w ten sposób zachodniś część pierścienia opasującego bazę i znaleźliśmy się z tyłu budowli. Wjej lniścej, jakby oblanej szklwym cianie nie uda-

ło nam się dotychczas wypatrzeć niczego, co wskazywałoby na obecność drzwi, wejcia czy jakiegokolwiek otworu. Powoli, rosło we mnie przekonanie, że nie pozostanie nam nic innego, jak wywalić przejcie miotaczem. Nagle zastopowa-

łem, tak gwałtownie, że aż mnie podniosło z fotela.

Geiger rzekł stłumionym głosem Riva.

To też już zauważyłem. Ale przede wszystkim ogromną, nieregularną wyrwę w bocznej cianie, sięgającą od poziomu gruntu po okręgi kryzę czaszy. Jej poszarpane brzegi były okopcone.

*

Nie piesząc się podprowadziłem Phobosa” kilka metrów do przodu. Geiger zabręczał ostrzegawczo. Lampka kontrolna irygatora promieniowania zaczęła pulsować pomarańczowym światłem.

Znajdowaliśmy się teraz dokładnie na wprost wyrwy. Podcisnąłem jeszcze dwa metry. Geiger

zareagował natychmiast przyspieszonym rytmem sygnałów.

wiatło alarmowej lampki stało się rażąco jaskrawe.

A więc to tak mruknął Riva.

Rozdział 7

DWIE PROJEKCJE

Głosy pozostałych przy życiu członków załogi trzech ziemskich statków, jakie udało nam się niedawno wyłuskać na parę sekund z gśszczu sygnałów obiegajš-

cych przestrzeń wokół globu, nie mogły pochodzić z wnętrza kopulastej budowli.

W miarę jak pogrżżaliśmy się w mroczny przestwór bazy, dochodziliśmy do przekonania, że eksplozje jšdrowe musiały ucichnšć we wnętrzu czaszy co najmniej kilka miesięcy temu. Nasze analizatory stwierdziły to ponad wszelkš wštpliwóć.

Nieregularny obrys wyrwy, przez którš wtargnęliśmy do wnętrza, widniał juź daleko za nami, w postaci nikłego, wiecszego punkciku. Teraz dopiero mogliśmy ocenić ogrom budowli. Pomieciłaby bez trudu trzy takie kompleksy jak nasz macierzysty orodek w Budorusie.

Hala nie była pusta, jak to się mogło zdawać, zanim przekroczyliśmy wro-ta, wypalone we wschodniej cianie. Jechaliśmy limacznics, wytyczonš przez płytkš rynnę, wzdłuż której biegly wysokie na dziesięć metrów bariery. Droga obniżała się, po przebyciu szeciuset metrów pozostawiliśmy nad sobš wysokoć dobrych kilkunastu pięter. Łšcznoć z Uranem” urwała się, kiedy tylko zgasło za nami wiatło dnia. Pokrywa kopuły stanowiła zarazem nieprzenikliwy ekran.

W pewnej chwili wiatła reflektorów załamały się przed nami na jakiej szkli-stej powierzchni. Rynna skręcała tutaj ostro, obiegajšc ciasnym łukiem gruby, pionowy filar, którego górna część tonęła w czerni, zalegajšcej pod sklepieniem.

Boczne ciany zbiegały się. Pomylałem, że trzeba zawrócić i to zaraz, jeli nie chcemy dopucić do zaklinowania Phobosa” w ciasnym labiryncie. Juź sięgałem do głównego pulpitu, kiedy z lewej strony grodzie rozstšpiły się, opadajšc gwał-

townie w niewidocznš głębię, reflektory zeliznęły się z filara i ugrzęzły w bez-kresnej przestrzeni. Droga załamała się w dwóch kolejnych uskokach i urwała jak obcięta nożem, bez żadnego ostrzeżenia.

Zastopowałem.

wiatło powiedział Riva.

Juź od pewnej chwili miałem wrażenie, że ekrany poza odbiciem dwóch bia-

łych, matowych smug, padajšcych spod wieżyczki Phobosa”, nasšczajš się jakby głębszš, pastelowsz powiatš. Zgasilem lampy i na kilka sekund zamknšłem oczy.

*

Kiedy je otwarłem i kiedy mój wzrok oswoił się ze zmienionym otoczeniem, pomylałem w pierwszej chwili, że wylšdowała koło nas kolejna piguła i że znowu tracę kontakt z rzeczywistošciš. Posłałem szybkie spojrzenie w stronę Rivy. Ale w wyrazie jego oczu nie było nic, co mogłoby mnie

zaniepokoić.

Wstałem z fotela, precyzyjnie się między pulpitem a obudową ekranu i przywarłem hełmem do okiennej płyty. Po przeciwnej stronie kabiny Riva zrobił to samo. Z naszych ust nie padło ani jedno słowo.

Wyłumiłem czujniki. W doskonałej ciszy i mroku panującym wewnątrz naszej ziemskiej łupinki, miesznie małej w porównaniu z otaczającym nas ogromem, chłoniliśmy z mimowolnym podziwem widok, przerastający rozmachem i pełną ekspresją harmonii wszystko, co zdarzyło nam się dotychczas oglądać.

Przed nami, jak okiem sięgnąć, przestrzeń wypełniała się słonecznym wiatłem. Ale nie była to przestrzeń zamknięta planem, na jakim zbudowano kopulastą halę. Rozpocierała się do granic zamglonego horyzontu, tam, gdzie pochód z rzadka rozsianych po szafirowym firmamencie jasnobeżowych obłoków wpływał już w rozcieńczony mlekiem błękit. Blask padający na powierzchnię ziemi, bo patrzyliśmy na ziemię, planetę życia, był blaskiem dnia. Ale ziemia sama, a raczej to, co znajdowało się na niej, janiało również, jak janieje wielkie miasto,

kiedy cienie sięgają już połowy wysokości domów, na ulicach i w mieszkaniach zapalają się lampy, a w atmosferze pozostało jeszcze dość wiatła, aby rysunek był całkowity, aby jego kontury wypełniała plastyczna treść, której nie zamazują,

lecz uwypuklają właśnie orientacyjne punkciki lamp.

Cały ten obraz rozwijał się powoli, wynurzał jak żywa, przestrzenna makietka z głębi gigantycznego szybu spadającego pionowo ciałem metr przed dziobem pojazdu. Jeszcze byliśmy w hali, jeszcze w perspektywie z lewej i z prawej strony widniały zarysy grodzi i wklęsłych rynien, ale wszystko to topniało w oczach, ustępując otwartej przestrzeni krajobrazu. Wreszcie niewidoczna tarcza unosząca rzekomo powierzchnię ziemi zrównała się poziomem z krawędzią szybu i rozpięchła z szybkością wiatła, wypełniając bez reszty krąg horyzontu. Z elementów budowli, w której wnętrzu wtargnęliśmy, nie jako pierwsi zresztą, nie pozostało ladu.

*

Tarcza słoneczna, biała, z błękitnym nalotem stała nisko na firmamencie, nie tak nisko jednak, żeby padające ze wzniesień cienie mogły zubożyć rzebę terenu. Przed nami zbocze obniżało się, spływając łagodnie w obszerną, zieloną dolinę. Miliardy, setki miliardów pojedynczych kryształków szmaragdów i topazów, zmieszanych z soczystym granatem, z wtopionymi nitkami matowego srebra i rudego brzoju posłużyło tutaj jako tworzywo, z którego natura zbudowała swoje swobodne, pełne rozmachu, a równocześnie nacechowane prostotą kompozycje. Tak to wyglądało. mieszne, lecz dla nas była to mimo wszystko zielen.

Bo zbocze, prowadzące w głąb niecki, cały jej obszar wraz z granicznymi wypiętrzeniami fantastycznych wzgórz, aż po zamykające część widnokągu szczyty, było jednym wielkim parkiem czy raczej pysznym trawnikiem, przypominającym kwitnące połoniny w górskich rezerwach na Ziemi.

W centralnej części doliny wznosiło się miasto. Jego bryły, odwrócone stoż-

ki, nakryte spłaszczonymi kopułami, wysmukłe, graniaste wieże i wyższe od nich nieregularne walce, oplecione pajęczs sinusoidš, z zawieszonymi jakby w powietrzu estakadami, wyrastały bez żadnego przejcia wprost z kwitnšcej wszystkimi barwami, niewiarygodnie bujnej łški.

To miasto żyło. Na jego napowietrznych trasach poruszały się powięcajšce pastelowe punkciki. Gdzieniegdzie łšczyły się i zlewały w cišgłe, zamazane pasma, potem rozbiegały znowu, wpełzajšc na łukowate bocznice, strzelajšce ku szczytom budowli lub opadajšce falistymi spiralami na niŹsze kondygnacje. Źad-na z nich nie docierała jednak do powierzchni gruntu. Tam nie było dróg, nie było nic, tylko ten kolorowy trawnik i gładkie, pozbawione otworów podnóża konstrukcji. Źycie miasta toczyło się wyłącznie na wyższych piętrach, na tarasach i wielopoziomowych estakadach, tu i ówdzie zakończonych krzyżujšcymi się pę-

tlami.

Nie umiem powiedzieć, jak długo trwalimy tak, milczšc, z hełmami przytkniętymi do okien. Z miejsca, gdzie stał Riva, dobiegło w pewnej chwili jakby ciche westchnienie. Oderwał się od szklanej płyty, obszedł kabinę i stanšł tuŹ za

moimi plecami.

Chciałbym wiedzieć, czy wszystkie ich miasta wyglšdajš tak samo...

Odwróciłem się.

Nie sšdzę powiedziałem aby wybrali najgorsze.

Odsunšłem go i zajšłem miejsce w fotelu, przed pulpitem. Szukajšc po omacku, odnalazłem klawisze obiektywów. Uruchomiłem aparaturę rejestrujšcš. W zespołach pamięciowych neuromatu zaczęła się utrwałać panorama cywilizowanych obszarów Trzeciej.

Odczekałem minutę. AŹ nadto, bioršc pod uwagę przyspieszenie, z jakim od-bywała się rejestracja. Następnie, nie zatrzymujšc aparatury, przerzuciłem wizję przekazywanš przez obiektyw na ekran i powiększyłem obraz, jak tylko się dało, w granicach kontrastu.

Wzgórza obrzeżajšce dolinę, zacielonš wielobarwnš zieleniš, zbocze przed nami, wszystko to zniknęło z pola widzenia. Pozostały konstrukcje miasta, jego rodkowej części. Pastelowe punkciki, powięcajšce na sinusoidach napowietrznych dróg, urosły do rozmiarów małych zuczków. Odnosiłem wrażenie, Źe ich osłony przepuszczajš promienie wiatła. Chwilami wydawało mi się nawet, Źe dostrzegam wewnštrz pochylone figurki, ale odległość była zbyt duża, abym mógł

się pokusić o precyzyjne okrelenie kształtów tak drobnych szczegółów.

Za to limacznice, spinajšce poszczególne budowle i kompleksy brył, zyska-

ły nowy wymiar. Przedstawiały się teraz jako lekko wklęsłe w rodkowej części tasiemki, wpadające w łuki i wiraże niemal pionowymi przechyłami.

ciany poszczególnych brył widniały przed nami w całej okazałości. Ich linie wydały się z bliska jeszcze mielsze i bardziej harmonijne. Niektóre, przypominające odwrócone ostrosłupy, ledwie muskały ziemię iglastymi szpicami, przy czym wydawało się, że w równowadze utrzymuje je jedynie sąsiedztwo pajęczych spłotów najbliższej estakady. Inne, rozwidlające się lejkowato ku górze, wypuszczały spod płasko ciętych szczytów luno na pozór zwisające przęsła ku okolicznym wieżom, przęsła te donikąd jednak nie docierały, załamując się nagle i cofając zwinętymi spiralnie tasiemkami ku najbliższemu wybrzuszeniu drogi. Nigdzie natomiast, w żadnej ze cian, nie było ladu okien, drzwi czy w ogóle jakichkolwiek otworów. Życie tego rodowiska nie przedostawało się poza zamknięte wnętrza strzelistych brył. Żuczki, które w pierwszej chwili uznaliśmy za pojazdy,

mogły być równie dobrze automatami.

Miasto, zagęszczające się w górze, dołem pozostawiało obszerne przewity, nie naruszając piękna i spokoju kwiecistej łąki. Jakby nie wyrastało z niej, lecz

unosilo się w powietrzu.

Przywyklimy do spokoju, Riva i ja. Ale w tym widoku było co więcej niż zwykły spokój. Była w nim niewzruszona wiara projektantów i budowniczych ca-

łego kompleksu w trwałość idei, z jakś przystępnymi do pracy. Głęboka wiadomość ceny, jakś trzeba zapłacić za pogodę życia swojej rasy.

A jednak to Trzecia odezwał się nagle Riva.

Mylałem o tym samym. Trzecia. Ojczyzna istot, które zawładnęły systemem planetarnym swojego słońca. Które pobudowały na martwych, otaczających ich globach i satelitach bazy czy może lepiej strażnice, podobne do tej, w której wną-

trzu bylimy teraz wiadkami jedyne go w swoim rodzaju spektaklu. Budowali je zapewne nie tylko po to, aby niszczyć statki i załogi przybywające z przestrzeni.

Ale po to także. I teraz ten fakt musimy uwzględnić przede wszystkim.

Ekran pociemniał. Kontury budowli zacierały się w oczach. Wstałem i wróciłem do iluminatora.

Tarcza słoneczna pokazywała już tylko wżsiutki skrawek nad ciemnobłękitną linią horyzontu. Dzień dobiegł kresu. Ale wiatła lamp w mieście zamiast zapłonąć żywiej, przygasły również. Z boku, nad zmatowiałym zboczem ujrzałem nagle tężejące w powietrzu gradzie.

Koniec filmu mruknął Riva.

Odruchowo zwróciłem głowę w jego stronę. Wydało mi się, że w jego głosie zabrzmiała nutka żalu.

Tak, to był koniec. Jeszcze kilkadziesiąt sekund i obraz przed nami zbiegł się do rozmiarów odpowiadających otworowi szybu, zafalował niepewnie i spłynął

bezszelestnie w dół, pozostawiając otwartą, czarną czeluch.

Zapaliłem reflektory. Kontrast między tym, co zobaczyłem, a tym, co jeszcze minutę temu rozpocierało się słonecznym krajobrazem przed oknami Phobosa”, był tak przejmujący, że na moment musiałem przymknąć oczy.

Ciekaw jestem wyrwało mi się czy przygotowali to specjalnie dla nas...

Riva milczał dłuższą chwilę, zanim spytał: Tę projekcję? Żeby nas zniechęcić? Czy rozbroić?

Wzruszyłem ramionami.

Żebyśmy zrozumieli.

Przekręcił się z fotelem, oparł ramieniem o pulpit i pochylił w moją stronę.

Dlaczego nas nie chciesz?

Skinąłem głową.

Minęło kilka minut, zanim nasz wzrok przywykł do nowego, a raczej pierwotnego otoczenia. Ustawiłem Phobosa” bokiem do krawędzi szybu i odwróciłem wieżyczkę. Pod nami była tylko przepaść. Studnia o rednicy około trzystu metrów spadała pionowymi cianami, białe smugi naszych reflektorów nie sięgały dna. Wypatrzyłem w bocznej grodzi wylot rynny, która od biedy mogła udawać drogę, i pchnąłem rączkę steru. Silniki zamruczały żywiej, ich głos podawały sobie boczne prowadnice toru, potęgując go jak potężne membrany.

Zaraz za zakrętem rynna zaczęła się obniżać. W pewnej chwili boczne ciany rozpięzły się, wywinęły, tworząc pobłyskujące krawędziami korkocięgi, i zapadły w głąb. Nagle zorientowałem się, że pod nami nie ma już nic, że droga, jeśli

to, czym jechalimy, istotnie zasługiwało na tę nazwę, jest cienką listwą, wijącą

się w próżni.

Spadek był coraz gwałtowniejszy, stromizna przechodziła miejscami w niemal pionowe urwisko. Pojaniało. Ujrzałem dno. Płaska, pusta, jak się zdawało, kolista przestrzeń, wyłożona płytami twardego, gładkiego materiału. Jeszcze kilkanaście sekund zjazdu, od którego już zaczynało się nam kręcić w głowie, i spłynęliśmy łagodnym upłazem obiegającym pierścieniowo ciany studni. Przejechalimy kilka metrów, odbijając ku osi szybu i zastopowaliśmy.

*

Nad nami wznosiła się gładka, przepacista cembrowina bez ladu jakichkolwiek konstrukcji, korytarzy czy chociażby najmniejszych nierówności. Jedyнным elementem, zakłócającym harmonię tego ogromnego, pustego walca, był spiralny zjazd, wynurzający się ze ciany mniej więcej w połowie wysokości studni.

Wszystko to sprawiało wrażenie jakiego sztucznego pola grawitacyjnego, tunelu prób, w ogóle poligonu dowiadczalnego dla urządzeń, których nie można sprawdzić na powierzchni globu.

Skierowałem wiatła reflektorów na płyty wykładziny, jakich użyto do wykoń-

czenia powierzchni płaskiego dna. Zwarta skała, nie dająca żadnych refleksów, pochłaniająca wiatło jak czarny aksamit. Łatwo sobie wyobrazić rozmiar fundamentów, spoczywających pod całym tym kolosem. Ale nie było drogi prowadzącej w głębsze kondygnacje.

Podniosłem reflektory i zacząłem badać powierzchnię cian. Powoli, metr po metrze przelizgiwałem się przez kolejne odcinki szerokiego łuku, plamy wiatła wznosiły się i opadały, za każdym razem trafiając w szklisto, litś caliznę.

Przejechałem tak już jedno półkole i powoli zacząłem godzić się z myślą, że będziemy musieli wrócić jak niepyszni tś samś drogś, która nas tutaj sprowadziła. Wtem dostrzegłem jaki ruch tuż nad podłogś. Naprowadziłem wiatło na ten punkt i zatrzymałem wieżyczkę.

W cianie zaczął się rysować prostokśtny otwór o podstawie mniej więcej pięciu metrów i wysokości jednego piętra. Na płytach posadzki zaliła szeroka, jasna smuga. Otwór był coraz większy, a zamykająca go kłapa unosiła się pionowo w górę, pozostawiając nad płaszczyznś dna rosnący stale przewit. Był już dość duży, aby ukazać nam perspektywę przestronnego, jasnego korytarza.

Odwróciłem wieżyczkę. Kłapa zatrzymała się natychmiast, zafalowała niepewnie, po czym bardzo powoli, jakby niechętnie, zaczęła bezszelestnie opadać.

Fotokomórka stwierdził Riva.

Uhm zgodziłem się. Naj zwyczaj niej sza pod słońcem.

Nie było to przykre, odnaleć tutaj, w czeluciach tego na wskro obcego obiektu, mechanizm znany każdemu ziemskiemu dziecku.

wiatło wróciło na obrys przejcia, z którego pozostała już tylko wśska szpara.

Kłapa posłusznie powędrowała z powrotem do góry.

Odczekaliśmy, aż mechanizm zamykający wlot tunelu odsłoni przejcie do końca, po czym ruszyliśmy powoli do przodu. Tuż przed otworem zatrzymałem się ponownie.

W głśb biegła prosta jak struna perspektywa wygodnego korytarza. Jego ciany wydzielały jasne, pastelowe wiatło. Pod samym stropem wisiały pęki cienkich przewodów, które miejscami wpadały w duże płaskie puszki, wbudowane w mury, a kiedy indziej rozwidlały się, oplatając piercieniami

niewidoczne walce.

Powtarzało się to w regularnych odstępach aż do miejsca, odległego o kilkaset metrów, gdzie tunel opadał i rozdwajał się, obiegając zamykający go spiczastym kolaniem klinowaty narożnik.

Sprawdziłem reakcję celowników na program, którego nie zmienialiśmy od ostatniego starcia i przeprowadziłem pojazd przez nie istniejący próg. Kłapa, zamykająca przejście do szybu zapadła za nami, tworząc na powrót pozornie jedną całość z przylegającymi do niej cianami.

W kabinie zapanowała nagle cisza.

Tu naszych nie było mruknął Riva.

Przez ostatnie godziny przywykliśmy do ostrzegawczego sygnału geigera.

Kiedy umilkł, odczulimy to jako nowy sygnał, tym razem przywołujący pamięć tego wszystkiego, co zobaczyliśmy i co przeżyliśmy od momentu przekroczenia granicy układu Alfya.

Ruszyliśmy rodkiem korytarza, uważając, by nie zaczepić wystającymi konstrukcjami wieżyczki o owe puszki ze wzmacniaczami czy przekanikami, do któ-

rych . wbiegały cienkie jak struny, błyszczące kable.

Nie byłoby le przyjrzeć się temu bliżej powiedział nagle Riva.

Rozejrzałem się.

Tam, w szybie wyjanił, robiąc ruch głową.

Zrozumiałem, że myli o nadajnikach czy też aparaturze odtwarzającej, która umożliwia przekazywanie przestrzennych obrazów, takich jak krajobraz kwiecistej doliny, z milczącym miastem porodku.

Miejscowa holowizja. Rzeczywiście jakby trochę lepsza od naszej.

Co w tym rodzaju zgodził się. W każdym razie warto by to podpatrzeć.

Z pewnością warto by podpatrzeć, nie tylko zresztą ich projektory. Ale nie byliśmy wyprawą kontaktową. Powiedziałem mu to.

Wiem rzucił krótko i zamilkł.

*

Przed nami rosła ostra, klinowata przegroda. Korytarz rozdwajał się tutaj i biegł dalej w głąb dwiema niemal równoległymi odnogami. Wybrałem lewą.

Okazało się to zresztś obojętne, ponieważ po kilkunastometrowym zjedzie od-słoniła się przed nami obszerna, prostokštna komora, ustępujśca rozmiarami ob-wodowi szybu, ale doć duŹa, aby pomiecić na przykład pole startowe redniej bazy satelitarnej. Nieco dalej wpadała do niej takŹe druga odnoga korytarza.

Ta hala nie była pusta. W kaŹdym razie nie tak pusta jak dno gigantycznej studni, gdzie odkrylimy przypadkiem wjazd do tunelu. Konstrukcje i urzśdzenia sprawiały wprawdzie wraŹenie mebelków dla lalek w porównaniu z przestrzeniś wnętrza, ale przecieŹ były to konstrukcje, była takŹe aparatura sterujśca w postaci

ciśgnścych się wzdluŹ bocznych cian gładkich, trapezoidalnych pulpityów. Pobłyskiwały w nich wielobarwne wiatełka, przywodzśce na mył lampki czujników.

Kiedy jednak podjechalimy bliŹej, okazało się, Źe nie ma tam ani ladu lampek. Powierzchnia pulpityów była gładka jak szkło. Źadnych ramek, szkiełek, so-czewek, Źadnych przycisków czy innych manipulatorów. Wielobarwne struŹki wiatła pochodziły jakby z kryształków wtopionych w powierzchnię płyty i za-

łamujścych promienie pod różnymi kštami. Mniej więcej metr powyŹej górnej płaszczyzny pulpityów biegł przez całś długoć ciany wiecścy, błękitnawy pas.

Sam nie wiem, dlaczego przyszedł mi na mył ekran.

Co to jest? usłyszałem nagle głos Rivy. Zabrzmiało w nim jakby nie-dowierzenie, a takŹe, jak mi się wydawało, niepokój. Odwróciłem głowę w jego stronę. Siedział, nisko pochylony, wpatrujśc się w przeciwny róg hali. Poszedłem za jego spojrzeniem i odruchowo zacisnśłem dłoń na sterze. Chwilę póniej stopowalimy juŹ nad dobrze znanym nam kształtem.

To juŹ drugi mruknśłem. Trzeci poprawiłem się w myli. Przypomniałem sobie kukły wiszśce w luzie Heliosa”.

TakŹe tylko skafander. Nie człowiek. Ale i ten skafander naleŹał do człowieka.

Przynajmniej do niedawna.

Przyglśdalimy się w milczeniu przewodnom podręcznego analizatora, wyszar-panym z bufiastego rękawa jakby w gorśczkowym popiechu. Pas był równo przecięty wiśzkś promieni, oddarta wierzchnia warstwa ukazywała potargane obwody.

Hełmu nie było, ale pozostała po nim kryza nosiła ludy mechanicznych urazów, jakby kto walił w niś dłuŹszy czas starym kowalskim młotem.

Pomyliłem się powiedziałem.

Riva spojrział na mnie badawczo.

Wzruszyłem ramionami.

Pomyliłem się powtórzyłem. Nasi byli nie tylko tam, na górze...

Przyglądał mi się chwilę, jakby czekając, co jeszcze powiem, wreszcie odwró-

cił się powoli i utknął wzrok w czujnikach swojej centrali.

Od kilku sekund odnosiłem wrażenie, że w hali robi się janiej. Rozejrzałem się po cianach i nabrałem pewności. Mój wzrok padł na lniące pasy, które przed chwilą porównałem w myślach z ekranami. Tak, to nie mogło być złudzenie. Nie lniły już, lecz wieciły ostrym, olepijącym blaskiem. Odwróciłem głowę i zamarłem w bezruchu.

Ciany hali rozstępowały się, znowu mieliśmy przed sobą otwartą przestrzeń, nakrytą niebem, po którym wędrowały chmury. Porodku równiny znowu wyrastało miasto.

Powtórka rzucił Riva.

Ale to nie była powtórka. A jeśli nawet, to powtórka jakiejś dawno zapomnianej lekcji historii. Historii Ziemi.

Odwróciłem wieżyczkę i powiększyłem obraz. W ekranach ukazał się wycinek centralnej części miasta.

Koszmar. Tylko to słowo mogło oddać przerażającą treść widowiska, jakim nas tym razem uraczono.

Powiększenie było bez porównania większe niż wtedy, kiedy obserwowaliśmy strzeliste konstrukcje, zawieszane nad wielobarwnymi połoninami. W wizerunku domów, ulic, pojazdów i postaci ostro rysowały się kontury najmniejszych szczegółów.

Było to jedno wielkie, wielowarstwowe mrowisko mechaniczne i ludzkie. Zbięte, skotłowane strumienie osób i pojazdów przewalały się przez węższe i szersze ulice i z nieopisanym jazgotem i nie maskowaną wzajemną wrogością. Szerokie, szklane drzwi domów, sklepów i urzędów nie zamykały się w ogóle, kotłowały się w nich przeciwbieżne tłumy ludzi pochłoniętych, jak można było sądzić, jedynym pragnieniem: wyprzedzenia innych. Tuż nad chodnikami mrugały ostrymi, olepijącymi wiatłami wielopiętrowe reklamy. Nad tym wszystkim unosiła się odrażająca, brudnosina mgiełka zmieszana z wszechobecnym kurzem.

Ulicami przeciskały się archaiczne poduszki, ryczały spalinowymi silnikami piętrowe autobusy, niemal zaważając o przesła ciasno stłoczonych żelbetowych zawijasów, którymi pomykały wagoniki jednotorowych kolejek. Małe i ciche samochody elektryczne, wypełniające ściśle każdy skrawek wolnej przestrzeni na jezdniach i chodnikach, przesuwały się w limaczym tempie, chwilami zastygając na kilka, a nawet kilkanaście minut w niekończących się wielowarstwowych szeregach.

To miasto tak bardzo różne od barwnej kompozycji harmonijnych brył, jakś zademonstrowano nam tam, na górze było naszym ziemskim miastem. Każde dziecko potrafiłoby bez trudu określić epokę, z jakiej pochodziło. I nie była to wcale tak bardzo odległa epoka. Jeśli chodzi o czas. Bo pod wszystkimi innymi względami dzieliła nas od niej przepaść większa niż swego czasu neandertalczyka od budowniczych egipskich piramid. Dwudziesty pierwszy wiek. Pierwsza połowa. Szczytowa faza

kryzysu cywilizacyjnego.

Od stu lat mamy to za sobś. Za sobś?

Co we mnie nagle drgnęło. Przypomniałem sobie ostatniś rozmowę z Itiś.

Kiedy to było? Przedwczoraj? Trzy dni temu?

Szeć lat. Mniejsza z tym. Czas nie ma w tym wypadku znaczenia. Jak to ona powiedziała? I ty mylisz, że jeste maszynś?”

Wzruszyłem ramionami. Nonsens. Nigdy nie uważałem się za maszynę. Tak tylko mówiłem, żeby przestała myleć o mnie i o Usterze. Ale o to, czy człowiek najgorsze kłopoty z sobś samym ma już na zawsze z głowy, pytałem naprawdę. Była w końcu historykiem. I jedyne, co potrafiła mi odpowiedzieć, to że nie jestem cyborgiem. Czyżby krótka refleksja, nie refleksja nawet, przelotna myl, jakś wtedy wypowiedziałem, trafiła w co, co tkwiło w niej głęboko, może nawet głębiej, niż sama zdawała sobie z tego sprawę?

Zostawmy to. Tak czy owak miałem teraz przed oczyma obraz ubiegłowiecznego kryzysu w całej jego okazałoci. I mogłem być pewny, że nie zakomponowa-no go tutaj, w podziemnej bazie na obcym globie, żeby nam zrobić przyjemność.

Ale też nie przypadkiem.

Skśd oni to wzięli? spytałem półgłosem, nie patrząc w stronę, gdzie siedział Riva.

Milczał dłuższś chwilę. Wreszcie odchrzśknśł i wykrztusił: Mylisz, że to nasi?

Nie mylałem, że to nasi. Kompletna bzdura. Ostatniś rzeczś, jakś mogłaby zrobić wyprawa kontaktowa w rodowisku obcej cywilizacji, byłoby demonstrowanie holowizyjnych filmów, obrazujścych najczarniejsze karty naszej historii.

Nonsens burknśłem.

Skinśł powoli głowś.

Nonsens powtórzył. Po chwili dodał, jakby z przekśsem: Może im opowiedzieli?...

W tym momencie zawitała mi niedobra myl.

Zapis?

Riva wstał. Chwilę tkwił bez ruchu, zbliżając hełm do iluminatora, wreszcie odwrócił się powoli, podszedł bliżej i położył rękę na oparciu mojego fotela.

Projekcja pól mózgowych? odpowiedział pytaniem. Ale kto z naszych, u licha, mógł myleć o czym takim? Albo tak się zachować...

Wyprostował się na całość wysokość i utkwiał we mnie badawcze spojrzenie.

Zaraz, zaraz powiedział z namysłem. Ty sądzisz...

Strefy zerowe rzuciłem sucho.

Milczeliśmy chwilę. Wreszcie Riva cofnął się i wrócił na swoje miejsce. Nie usiadł jednak, tylko ponownie przywarł szybsz swojego hełmu do iluminatora.

W takim razie... zaczął po chwili półgłosem.

W takim razie przerwałem musimy się pieszyć.

*

Tym razem nie czekałem, aż aparatura projekcyjna zainstalowana przez obcych zakończy transmisję czy raczej retransmisję wprowadzonego do niej programu. Ustawiłem wieżyczkę i uruchomiłem wysięgnik. Po chwili porzucony skafander spoczywał już w komorze transportowej naszego pojazdu. Następnie ruszyłem powoli, trzymając się bocznej ciany i starając się nie patrzeć w stronę, gdzie padające z błękitnawych pasów promienie wiślały się w odrażające i wrogie w swojej wymowie widowisko.

W ten sposób dotarliśmy w końcu do załamania ciany. Phobos” zakręcił

i przyhamował. Przejechalimy jeszcze kilka metrów, aż nagle przy lewej burcie co stuknęło głucho, rozległ się przeraliwy zgrzyt jakby dartej blachy stalowej,

w szybę iluminatora uderzył błękitny płomień, w okienkach celowników zabły-sły wiatelka, płomień zawirował, strzelił ku szczytowi wieżyczki i zgasł równie szybko, jak się pojawił. Zastopowałem.

Z lewej strony, tuż za szybą, zwiślał nad korpusem pojazdu jaki metalowy strzęp. Po chwili rozpoznałem kształt puszk, podobnej do tych, które widzieliśmy

w korytarzu. Pozostała z niej tylko górna pokrywa, spiralnie skrzyconą. Z tylnej cianki sterczały rozczapierzone i poczerniałe szczstki przewodów. Posuwając się na dobrsz sprawę po omacku, wyróżniliśmy w końcu w jedno z tutejszych urządzeń, powodując spięcie. Mogło się to gorzej skończyć.

Teraz trzeba było jednak przerwać jazdę i poczekać, aż kable i resztki ener-getycznego gniazda ostygną po chwilowym pożarze. A więc kilka minut zwłoki.

Zwłoki, które mogliśmy wykorzystać tylko w jeden sposób. Mianowicie wypija-jąc do końca gorzki napój, jaki zgotowano na nasze przyjęcie. Odwróciłem wie-

życzkę ku rodkowi hali i rozparłem się wygodnie w fotelu.

Obraz miasta nie uległ zmianie. Jedyne ruch jakby wzmógł się jeszcze, o ile to w ogóle możliwe.

W dolnej krawędzi ekranu widniał fragment ciasnej, bocznej uliczki bez chodników. Fasadę najniższego piętra narożnej budowli stanowiła szeroka na kilkanacie metrów falista płyta szkła. Nad nią wisiał krzykliwy neon. Dalej były nie kończące się, wybiegające u góry poza pole widzenia, rzędy kwadratowych okien.

Przed panoramiczną szybą na parterze płynął nieustannie potok ludzi. Nad ich głowami, w głębi widocznej za oknem sali stały stoliki, nakryte białymi narzucami. Na niskich, przezroczystych fotelach siedziały dziewczęta w spódniczkach kończących się powyżej ud i kolorowych kamizelkach, młodzi chłopcy w obcisłych, błyszczących bluzach, mężczyźni z wypiekami na twarzy, gestykulujący gwałtownie lub przeciwnie, otępiali, zapatrzeni w pustkę, jaka otwierała się przed ich niewidzącymi oczami. Kobiet liczących sobie ponad trzydziestkę nie zauważyłem.

Najbliżej nas, w rogu sali, niskie, niewygodne krzesło zajmował starszy facet.

Głęboko pochylony, położył łokcie na stole i oparł o nie czoło. Zdawało się, że spał. Siedząca naprzeciw dziewczyna mimo to co do niego mówiła. Mężczyzna nie reagował, od czasu do czasu unosił tylko odrobinę głowę, potrząsał nią, jakby

odganiał muchę i ponownie zasypiał. Przed nim widniała butelka z przezroczystym płynem i jakieś brudne naczynia. W pewnej chwili dziewczyna przechyliła się nad stołem i położyła mu ręce na łokciach. Potrząsnęła nim, mocno, a nawet brutalnie. Mężczyzna uniósł głowę. Jego oczy pozostały jednak przymknięte. Kosmyki rzadkich włosów przylepiły mu się do czoła. Poruszył kilkakrotnie ustami i usiłował wstać, ale kolana mu się rozjechały, popływał na nich chwilę, jakby jechał na rowerze i z powrotem padł na krzesło. Dziewczyna zmiała się, odwróciła i skinęła ręką. Natychmiast przy ich stoliku pojawił się inny mężczyzna, w lniścej, niebieskiej bluzie.

W tej samej chwili na chodniku, przed szklaną cianą powstał zamęt. Z drzwi, w których obracało się coś przypominającego łopatki wirników w starych turbo-generatorach, wypadł inny starszy mężczyzna w podwiniętej koszuli, przeleciał, potykając się, kilka metrów i runął jak długi, uderzając twarzą o kamienne płyty. Tłum zafalował. Mężczyzna podniósł się na łokciach, podkurczył nogi, chciał wstać, ale ramiona ugięły się pod nim i upadł znowu. Raz jeszcze jego palce drgnęły konwulsyjnie, po czym znieruchomiał.

Wokół sylwetki leżącego zrobiło się pusto. Ale tylko na chwilę.

Nie minęła minuta, a szeregi ludzi, omijających dotąd to miejsce, zbliżyły się i zacięły. Jedynym wiadcstwem przeszkody, rozciśniętej na chodniku, pozostał odrobinę większy przewit w falującym morzu głów. Nie zauważyłem, aby ktokolwiek zatrzymał się, chociażby na ułamek sekundy. Twarze przechodzących odwracały się od leżącego, nie było w nich nic poza zniecierpliwieniem, spowodowanym koniecznością omijania czegoś, co zawałało drogę.

Miałem tego dość. Nie zważając na reakcję, jakś mogę wywołać, przesunąłem wieżyczkę,

zablokowałem automaty i pucilem po cianach serię laserowś, starajśc się trafiac w błękitnawe pasy. Miasto trwało jeszcze ułamek sekundy, nagle rozległ się trzask jakby wyładowania atmosferycznego, obraz rozbłysł momentalnie, po czym wszystko znikło.

Zapaliłem reflektory. Kiedy nasze oczy oswoiły się z ciemności, powoli ruszyłem do przodu.

Wylot korytarza znajdował się nie dalej niż pięć metrów od miejsca, gdzie musimy stanść po zderzeniu. Tak samo jak na dnie szybu odsłoniła go fotokomórka, kiedy trafiły w nią promienie naszych wiatel czołowych. Nie oglądajśc się już za siebie, wjechałem w mroczną perspektywę tunelu.

W pewnej chwili odezwał się geiger. Indykator zapłonł znowu jaskrawś czerwieniś. Sprawdzało się to, co powiedziałem Rivie. Nasi byli tutaj przed nami.

Pięćdziesiąt metrów dalej dno korytarza załamało się nagle. Przed nami widniała rozświetlona nikłś powiatś pochylnia, uciekajśc stromo ku górze. Silniki zamruczały odrobinę głoniej, kabina zakołysała się miękko i zaczęła się wspi-naczka.

Licznik przebytej drogi, biorśc od momentu przejechania wyrwy w po-wierzchniowej cianie bazy, wskazywał liczbę dziewięćdziesiąt cztery. Osiem godzin jazdy. Doć, jak na pierwszś dobę po lśdowaniu. Miałem teraz tylko jedno życzenie: jak najprędzej znaleźć się na powierzchni. Ale czekała nas jeszcze jedna

niespodzianka. cile mówiśc, dwie.

*

Chodnik wznosił się dalej, prostś stromizną, pozbawionś jakichkolwiek zakamarków. Robiło się coraz janiej, ale w perspektywie nie było jeszcze nic, co wskazywałoby na bliskoć wylotu czy wjazdu do obszerniejszego pomieszczenia. Nie wiedziałem nawet, czy pochylnia wyprowadza na powierzchnię, czy też będziemy musieli zawrócić.

Niemniej z każdym przebyтым metrem znajdowaliśmy się wyżej. To było już co.

Odwróciłem się na moment, aby rzucić okiem na czujniki, umieszczone z tyłu kabiny, i właśnie wtedy Phobos” gwałtownie zastopował. Poleciałem do przodu, z rozpędu uderzajśc barkiem o poręcz fotela. Chciałem co powiedzieć, ale Riva mnie uprzedził:

Tego też wemiesz do pojemnika? spytał zachrypłym, nienaturalnie spokojnym głosem.

Z trudem wróciłem na swoje miejsce i wciśz jeszcze buntujśc się w duchu przeciw takiemu stylowi jazdy, spojrzałem niechętnie na ekran. Natychmiast zapomniałem o stłuczonym barku, o czekajśccej nas drodze, o tym, co widzieliśmy przed chwilś i tym, co jeszcze możemy zobaczyć. Zerwałem się z fotela i precisiśnłem do iluminatora. Riva stanł tuż za mnś, przyciskajśc brodę do mojego ramienia.

Rozciśgnięty w poprzek korytarza, leżał człowiek. Z głowś przekrzywionś do tyłu, z rozrzuconymi, podkurczonymi nogami i jakby spłaszczonymi ramionami, przypominał stare, porzucone ubranie. Tak

może wyglądać tylko trup.

Poszukałem wzrokiem jego twarzy. Nie znałem go. Chyba nie. Niebawem będę wiedział na pewno. Ale jeszcze przez chwilę przyjrzę mu się stąd, z kabiny.

Mężczyzna miał na sobie cieniutki, pianowy kombinezon, jaki wkłada się pod skafander. Nie było na nim ladów krwi, brudu, żadnych przestrzelin czy choćby zwykłego zadrapania. Nic. Tak właśnie zabija promieniowanie.

Komplet powiedziałem cicho. Najpierw skafander, a teraz jego właściciel. Znasz go?

Odwrócił się bez słowa i podszedł do automatów, zainstalowanych w przejściu do grodzi ładunkowych. Sprawdził swój skafander i zniknął w otwartym szybie studzienki. Wróciłem do pulpitu, by skontrolować dane, dotyczące promieniowania. Skażenie utrzymywało się w niezmienionym natężeniu. Ale Riva może wyjść bezkarnie. Nasze skafandry były trochę inaczej zbudowane i wyposażone niż ubiory poprzednich ekip.

Usłyszałem głuchy stuk wjazdu. Po chwili w polu widzenia ukazała się lekko przygarbiona sylwetka mojego współtowarzysza. Szedł równym, odmierzonym krokiem w stronę zabitego. Zatrzymał się nad nim, pochylił, po czym uniósł jego lewe ramię i przerzucił sobie ciało przez plecy. Już wracał, tym samym spokojnym krokiem, jakby nie czujść ciężaru.

Znowu dobiegł mnie stuk zamykanego wjazdu. Zaraz potem usłyszałem syk oczyszczacza. Niebawem jednak w kabinie ponownie zapanowała cisza.

Po upływie dalszych kilku minut w otworze studzienki ukazała się kopułka kasku! Riva wygramolił się z trudem i nie zatrudniając już automatów wrócił na fotel.

Chwilę milczelimy, obaj.

Collins rzucił wreszcie, jakby wydając rozkaz.

Zamajaczył mi w pamięci obraz cichego, zawsze zatroskanego egzobiologa.

Od czasu do czasu pojawiał się w laboratoriach naszej centrali. Kiedy chyba zamieniłem z nim dwa czy trzy zdania. To wszystko.

Znałem go trochę dodał Riva. Byłem kiedy wiadkiem jego kłótni z Hissem. Ale nie pamiętam, o co im wtedy poszło. Zresztś mniejsza z tym

zakończył ponuro.

Tak, to nie miało znaczenia.

Był na Proximie” powiedziałem. Wiemy przynajmniej, że wylądowali cało.

Dużo im z tego przyszło... odpowiedział mruknięciem.

Ruszyłem. Mimo woli uważniej ledziłem teraz perspektywę stromego korytarza, przeczesując reflektorami także boczne ciany i wklęsły strop. Nie dalej niż piętnacie metrów za miejscem, gdzie znaleźliśmy ciało Collinsa, na gładkiej powierzchni zarysowały się postrzępione, czarne plamy. Biegły od nich długie, smukłe rozbryzgi, przechodzące na posadzkę. Geiger zabrzęczał odrobinę żywiej.

Bili się stwierdziłem.

Takie płyty sadzy dość często zdarzało nam się oglądać na poligonach. Tam, gdzie przedtem pracowały miotacze. Tylko że nie umiałem sobie wyobrazić struktury budulca, który byłby w stanie wytrzymać napór laserowego ognia. Nie mó-

wiść już o antimaterii. Tymczasem ciany tunelu nawet w najbardziej okopconych miejscach pozostały równe i całe.

Przyspieszyłem. Nie żeby pancerze naszego pojazdu dawały jakkolwiek szansę cząsteczkotwardego promieniowania, choćby jego natężenie miało wzrosnąć jeszcze kilkakrotnie. Ale miałem już dość tych podziemi, gdzie spotykały nas same niezrozumiałe i mało sympatyczne niespodzianki. Dość miałem tej jazdy w ciemnościach, seansów holowizyjnych, ładów walki, trupów i wszystkiego. Poza tym byłem całkiem zwyczajnie głodny.

Tuż przy uchu zabrzmiał mi nagle ostrzegawczy wiergot głośnika.

Dobra, dobra warknąłem z niechęcią.

Mimo to minęło jeszcze kilkanaście minut, zanim w przestrzeń korytarza wdarł się nikły promień światła całkowicie odmiennej barwy niż utrzymująca się w podziemiach pastelowa powiata. Przebyliśmy jeszcze sto metrów i raptem rozwarła się przed nami otwarta przestrzeń. I tym razem była to wyrwa, wypalona w kopulastej hali, tylko wielokrotnie mniejsza od pierwszej. Przeskoczyliśmy ją jednym zrywem silników i wytoczyliśmy się na powierzchnię.

*

Nad nami rozpocierał się czarnogranatowy nieboskłon, niemal złoty od gwiazd. Dzień dobiegł końca. Mielimy przed sobą trzy doby mroku. Tyle trwa noc na tym globie, mniejszym od pierwszego satelity Trzeciej, macierzystej planety obcych, ale za to znacznie szybciej wirującym wokół własnej osi. Na pierwszym czekaliśmy na wschód słońca okrągłe trzy tygodnie.

Zastopowałem, uruchomiłem wieżyczkę i omiotłem okolicę światłem reflektorów.

Otoczający nas teren był bliźniaczo podobny do tego, który przemierzaliśmy po opuszczeniu Urana”, a przed napotkaniem drogi, przypominającej pas startowy. Plamy światła zelizgiwały się, w miarę jak manewrowałem wieżyczką, z łagodnych zboczy w gładkie, piaszczyste siodła, wracały na wypukłe wierzchołki i znowu wpadały w przełęcz, trafiając wszędzie na ten sam obraz, jak daleko wzrok

sięgał. Hala, z której wyjechalimy przed chwilę, była małą półkulą, wci-
niętą między wydmy i trochę nawet przypominającą je kształtem i rozmiarami.

Wokół niej nie było żadnych konstrukcji ani drogi. Podziemny korytarz liczył
jednak kilkanaście kilometrów. Sztuczna kotlina z wielką budowlą i jej zagospodarowanym
otoczeniem została daleko na wschodzie.

Tylko w wypukłej cianie tej peryferyjnej bazy czerniała się, widoczna nawet w ciemności, znajoma,
wypalona wyrwa.

Spojrzałem na tarczę radaru, porównałem ją ze wskazaniami czujników i ruszyłem przed siebie.
Milcząc, przejechalimy jeszcze kilkaset metrów, po czym wypatrzywszy nieco głębsze siodełko
między dwoma wzniesieniami osadziłem w nim Phobos” i wyłączyłem silniki.

W kabinie zapanowała idealna cisza.

Daj Snagga powiedziałem.

Zgłosił się natychmiast. Mówił krótko, normalnym głosem, ale wyczułem w nim ulgę. Przekazaliśmy
mu komplet danych, zapisanych przez nasze pokładowe automaty, zdaliśmy relację z faktów i
przeszliśmy na namiar.

To by było to mruknąłem. Na dziś wszystko. Kolacja i spać.

Riva odwrócił się z fotelem i zmierzył mnie spojrzeniem.

Nie zapomniałem o czym?

Nie zapomniałem. I chyba naprawdę lepiej będzie zrobić to teraz.

Riva wstał i nie pieszczę się ruszył w stronę studzienki, prowadzącej do wjazdu.

Poszedłem za nim. Zaczai już schodzić, kiedy nagle zatrzymał się, jakby co

sobie

przypomni, i zadzierajc gow wycelowa we mnie szybki swojego kasku.

Miae racj.

Nie zrozumiaem. Staem tu nad krawdzi kapy, czekajc, a powie, o co mu chodzi.

Z tym seansem. To byo naprawd przeznaczone dla nas...

Oczywicie, e miaem racj. Ale teraz nie odezwaem si sowem. Nie spyta-

em nawet, któr projekcj ma na myli, pierwsz czy drug. Najprawdopodobniej szo mu o obie.

*

Po godziny poniej byo po wszystkim. Automat wykopa krotki, poduny row. Zoylimy w nim ciao Collinsa i usypalimy na nim niski kopiec, taki sam, jakie spotyka sie na starych cmentarzach. Postalmy chwil, po czym obrocilimy sie na piecie i wrocilimy do kabiny.

Zajem sie kolacj. Riva marudzi, manipulujc przy kontaktach programo-wych aparatury.

Gotowe powiedzia wreszcie. Wcisn klawisz i na ekranie ukazaa sie lista zaogi wszystkich trzech wypraw, jakie przybyy tu przed nami. Bya podzie-

ona na dwa pasy. W lewym, jedno pod drugim, widniay nazwiska. Czwarte czy piste brzmiao: Collins. Byo przekreone czerwon nitk. W prawym pasie, zu-penie dotd czystym, pojawio sie to samo nazwisko, na pierwszym miejscu. Nad nim widnia tylko nagowek: Odnalezieni.

Rozdzia 8

STREFA ZEROWA

Leżałem, wyciśnięty wygodnie w miękkim, pianowym czółnie fotela, bez kasku, w rozpiętym skafandrze. Mimo woli wracałem myśl do wydarzeń minio-nej doby. Nie, żebym co specjalnie rozpamiętywał, kojarzył w bardziej logiczne cięgi czy próbował analizować. Liznęliśmy zaledwie naskórek ich cywilizacji i to głównie dzięki temu, że sami pokazali nam skrawek swojej ziemi.

Pokazali nam jednak nie tylko swój ziemię...

Zdałem sobie sprawę, że od początku, od pierwszej chwili, kiedy otworzyła się przed naszymi oczami panorama ubiegłowiecznego miasta, miasta, w jakim wychowali się zapewne moi pradziadkowie, pozostawałem przede wszystkim pod wrażeniem bijącej z tego obrazu niesprawiedliwoci. Z przeraliwsz ostrociś został nam unaoczniony kontrast między ich wiatem a naszym. Ale jakim wiatem?

Czy obraz miasta, zachwycającego harmoniś kompozycji, pełnego ciszy i pogo-dy, miasta wyrastającego nad bujnś łskś i mimo to nie naruszającego jej murawy, wyjęli ze swoich ubiegłowiecznych albumów?

Z pewnościś nie. Co więcej, mogli mieć i teraz nieco mniej udane miasta. To jedno o niczym w gruncie rzeczy nie wiadczyło.

*

Mimo wszystko jednak trudno było nie myleć o tym drugim obrazie, drugim miecie. Społeczeństwo, zdolne uwikłać się w tego rodzaju wzajemne sto-sunki między jednostkami i nie umiejące sobie z tym poradzić, chociażby chodzi-

ło o najbardziej sprzeczny z regułś wyjśtek, wystawiało sobie wiadectwo nie do pozazdroszczenia. A chodziło nie tylko o jednostki. Ale przecież nie było już tego

społeczeństwa. W tym włanie rzecz.

Tylko jeli miałem rację, wiżśc ten drugi obraz z projekcjś pól mózgowych ludzi pozostających pod wpływem stref zerowych, to o n i mogli o tym nie wiedzieć...

Zaraz, czy naprawdę mogli? Gdyby tylko udało nam się sprawdzić, jak na nich samych działają te czarne piguły. Jeli reagujś na nie tak jak my, to znaczy,

że posyłali je wiadomie, żeby nas zniszczyć, a przynajmniej obezwładnić. Nie ma skuteczniejszego sposobu walki niż unicestwienie łścności. Jeli jednak było inaczej? Jałowe roztrżsania. Tak czy owak czarne piguły nie miały nic wspólnego z przyjacielskim pozdrowieniem.

Inna rzecz, że ich system łścności mógł być oparty na całkiem odmiennych zasadach niż ziemski. Dowodziłby tego także fakt, że nasze odbiorniki nie były w stanie przekazać komputerom żadnych wskazówek, z których te mogłyby co

wywnio skować.

Pewne było tylko to, że sporo pozostało nam tu do zrobienia.

Zlustrowałem jeszcze pobieżnie okienka automatów celowniczych i zamknąłem oczy.

*

Zbudził mnie głos Snagga. Owiadczył, że spalimy sześć godzin i życzył

nam smacznego. Zameldował, że Helios” daje namiar bez żadnych przerw i zniekształceń. Baza potwierdziła odbiór kolejnych kodów. Byli, zdaje się, trochę zdziwieni, że jeszcze żyjemy. Ale nie tracili nadziei. Tym razem powstrzymali się jednak od udzielania dobrych rad.

Temperatura na zewnątrz Phobosa” osiągnęła minus trzydzieci Celsjusza.

Można wytrzymać. Zwykły styczniowy mroźnik w którymkolwiek z ziemskich rezerwatów. Nie to, co na Lunie, w czasie dwutygodniowej nocy.

niadanie zjedliśmy w milczeniu. Zaraz potem Riva wyszedł z kabiny, żeby przeprowadzić pomiary. Ja zająłem się radarem. Obliczyłem drogę, jaką przebyliśmy od momentu wtargnięcia do podziemi i wziłem poprawkę na dalszą jazdę. Za podstawę przyjąłem oczywiście kierunek namierzony podczas sekundowej łączności z załogami Proximy” i Monitora”, na skraju pustynnego pasa. Pół

godziny później ruszyliśmy, pozostawiając małą kopułkę z czernią przestrzeliny i nieduży, podłużny nasyp, uformowany z minerałów o barwach nie występujących

na Ziemi.

Droga wiodła przez rozfalowane wzgórza, na północny wschód. Wydmy stawały się stopniowo coraz niższe, białe snopy, padające spod wieżyczki i szyjsce granatowy mrok coraz łagodniejszym ruchem, wspinały się i opadały ze zboczy.

W końcu znieruchomiały. Wyjechalimy na równinę.

Krajobraz, obserwowany w pasmach podczerwieni, zasnuwała półprzeroczysta niebieskawa mgiełka. Góry na horyzoncie wyglądały jak z dziecięcych rysunków, gładkie i pozbawione głębi. Mimo to już z odległości dobrych kilku kilometrów dostrzegliśmy ciśnień się poprzecznie do kierunku jazdy krawędź owego rowu lub jak kto woli kanionu, poprzedzającego podnóża skalnych gigantów. Nie minęło piętnacie minut i stanęliśmy na skraju urwiska.

O wzięciu tej przeszkody nie sposób było nawet pomyśleć. Phobos” miał

opinię najbardziej uniwersalnego pojazdu, ale tylko pojazdu. Nie był rakieta, nie

był nawet jednš z tych kombinowanych maszyn, używanych przez ekipy nadzoru-jšce pracę bezludnych baz satelitarnych, jakimi można od biedy wejć na orbitę.

Tamte zapewniały załogom większ operatywność, ale nie nadawały się do walki.

Za wiele miejsca zajmowały w nich automaty napędu.

Tymczasem zielona nitka na tarczy radaru celowała najwyraniej w górskie szczyty, położone za przepaciš. Trzeba było szukać innej, mniej powietrznej drogi—

Wezwałem Snagga. Chciałem mu powiedzieć, żeby spróbował odzłaować jeszcze jednš sondę. Miałem nadzieję, że pod osłonš nocy uda jej się nieco dłużej

utrzymać łączność z Uranem”.

Ale Snagg nie odpowiadał.

Powtórzyłem sygnał. Bez rezultatu.

Namiar rzuciłem.

Riva pochylił się nad pulpitem centralki. Przerzucił kontakty. Nic. Otworzył

pokrywę i zajrzał do programu. Wrócił do klawiatury. Cisza.

Tego tylko brakowało mruknšł, jakby ze złościš. Odczekał chwilę i ponownie zajšł się aparaturš. Ale wszystkie jego zabiegi pozostawały bez rezultatu.

Uran” milczał. Nadajnik Snagga przestał pracować. Albo jego samego nie było już tam, gdzie go zostawiliśmy.

Poczekaj powiedziałem. To może być chwilowe.

Uhm mruknšł i usiadł wygodnie, prostujšc nogi.

Wyłšczyłem silniki. Brzuch Phobosa” przywarł do podłóža i nastła cisza.

Jak on zginšł? odezwał się nagle półgłosem Riva.

Collins?

Uhm. Wszedł tam sam jeden, czy kto go wcišgnšł? Na ciele nie miał

najmniejszych ladów walki, sińców, ani jednego zadrapania...

Zastanowiłem się. Skšd, u licha, miałem wiedzieć.

Może wyszedł z pojazdu i zgubił się w zakamarkach podziemia? Jeżeli pucili im tam jednš z tych

czarnych piguł...

I zostawili go?

Kto? Nasi? Czy tamci?

Pominął to milczeniem. Pomyślał chwile i powiedział tak, że ledwo dosłysza-
łem:

I rozebrał się, jakby miał zamiar pójść do łóżeczka...

Kabiny pojazdów typu Skorpion” mieszczą najwyżej cztery osoby. Właściwie trzy. A innych poprzednie ekspedycje nie miały. Jeżeli na przykład wysiadł

i wówczas właśnie w sąsiedztwie pojawiło się urządzenie stymulujące strefę zerową... Wtedy mógł
rzeczywiście odejść, nie zdając sobie sprawy, dokąd i po co...

A tamci po prostu odjechali. W każdym razie udało im się wydostać. Znaleliby-
my zniszczony pojazd, gdyby tam został.

Rzecz prosta, wszystko mogło odbyć się zupełnie inaczej. I z pewnością od-
było się inaczej. Już otwierałem usta, żeby powiedzieć Rivi, co myślę o wartoci

naszych przedwczesnych spekulacji, kiedy centralka ożyła. W górnym rogu pulpitu mignęło ostre
wiałeńko, zgasło na kilka sekund, znowu rozbłysło, trwało tak

dwie, może trzy sekundy i nagle łagodniej zaczęło regularnie pulsować. Uran”

był tam, gdzie powinien. Jego automatyczny nadajnik namiarowy pracował normalnie.

Snagg! Odezwiąj się!

Cisza. Riva nie pieszczę się manewrować klawiszami.

Ale Snagg się nie zgłosił.

Wyszedł powiedziałem po chwili. Zaszło coś takiego, że musiał opu-
ścić statek.

Jak tamten, w tunelu? spytał. Głos miał spokojny, opanowany.

Nie uciśłem. Tamten nie był z Korpusu.

Zamilkł.

Zajšłem się pulpitem. Uruchomiłem zespół zdalnego sterowania i uzyskawszy kontakt, przekazałem Uranowi” rozkaz wystrzelenia sondy. Podałem dane i trajektorie. Ale w okienku kontrolnym nic się nie pokazało. Spróbowałem jeszcze raz. Automat przeprowadził jakie błyskawiczne operacje, po czym wyrzucił ze-ro”. Nic z tego. Neuromat Urana” nie przyjmował poleceń. Na trasie przepływu informacji znajdowała się blokada. To mógł zrobić tylko Snagg, osobicie.

Wywoływalimy go jeszcze kilka minut bezskutecznie, wreszcie dalimy spokój.

Jedmy powiedziałem.

Uran” był w porzdku. Na razie nie groziło nam odcięcie od Heliosa”. Droga na orbitę stała otworem. Snagg może poczekać.

Kto natomiast nie mógł czekać, to ludzie. Załogi statków, które trafiły tu przed nami.

Wracać w kierunku Urana” nie miało sensu. Skalna rozpadlina cišgnęła się tam po kres horyzontu. Natomiast stosunkowo blisko na północ wspiwała się stromym językiem jakby zastygłej ławy ku niewidocznej teraz przełęcz.

Zapuciłem silniki, skierowałem dziób pojazdu prosto jak strzeł w kierunku północnym i ruszyłem pełną mocą.

*

Od czterdziestu minut podłoga kabiny jęczała piskliwym, wibrującym tonem jak napięta do ostateczności struna. Przechył wgniatał nas w fotele, ręce z trudem

Zablokowały automaty celownicze? stwierdziłem raczej, niż zapyta-

łem. Tym razem odpowiedział natychmiast:

Zrobiłem mały przegląd przekaników. Wtedy właśnie posłali mi taką czarną pigułę. Jakby tylko na to czekali...

Kwarka" i Merkurego" także remontowały?!

Ss sprzężone...

Łatwo było uwierzyć, że czuje się teraz nieszczególnie. Ale i tak mógł mówić o niebywałym szczęściu.

Wychodził? spytałem już normalnym głosem.

Uhm...

Po co?

Trwało chwilę, zanim wybskał:

Nie wiem...

Oczywiście, że nie wie. Ale wrócił. Nie tak, jak Collins. Dlaczego? Dlatego, że w przeciwieństwie do niego, był facetem z inforpolu. Co powiedziałem Rivie?

AL.. odezwał się nagle.

Co jeszcze?

... przepraszam.

Przepraszam! powtórzył sarkastycznie Riva.

Ale ja zrozumiałem, co Snagg ma na myli. Nie chodziło mu o odblokowane automaty, opuszczenie rakiety i o wszystko, co robił lub czego nie robił, pozostając w strefie zerowej. Miał teraz, jak przyjsł mojs relację. Wtedy kiedy wróciłem z samotnego lotu do Heliosa". Przepraszał za to, że nie wierzył.

Dobra rzuciłem. Tylko nie ruszaj więcej blokady celowników.

Mruknął co niezrozumiale i wyłączył się.

*

Nie wspominałem już o sondzie. Nie była potrzebna. Przed nami rozpocierała się obszerna, kolista nisza. Jakby dno krateru o łagodnych, łukowato wygiętych zboczach.

W centralnym punkcie kotliny, w jej najniższym położonym miejscu lnił jasnobłękitnym światłem regularny piercień. Jak aureola nad głowami świętych na renesansowych malowidłach. Tylko że miejsce głowy zajmował widoczny jak na dłoni strzelisty kontur potężnego cygara. Na pierwszy rzut oka rozpoznaliśmy raketę. I nie mogła to być żadna inna rakietka, jak Proxima” albo Monitor”.

Powiększyłem obraz.

Gładka jak stół płaszczyzna. Kamienne jezioro, bez ładu fali i wiatru. Powleczone jakby warstewką szklana. Błękitne światła, padające z przysadzistych wieżyczek, kładły się na tej powierzchni monstrualnie długimi palcami. Pod ich dotykiem powłoka lniła jak lustro.

Wieżyczki stały jedna przy drugiej w regularnych, kilkumetrowych odstępach.

wieciły tylko ich szpiczaste czuby. Poza tym nie było w nich nic, na czym można by oprzeć wzrok. Szerokie, koliste podstawy unosiły stożkowate, proporcjonalne kształty, bez ładu jakichkolwiek anten, celowników czy miotaczy. Tak to przynajmniej wyglądało z tej wysokości i z odległości dobrych sześciu kilometrów.

*

Przełącz spadające za nami na pokrytą wydmowymi wzgórzami wyżynę niemal pionowym kominem, tutaj spływała łagodnie szerokim żlebem. Phobos” toczył się miękko, z wyłuszczonymi światłami, odrobinę tylko ciemniejszy od wypeł-

nijszego przestrzeń granatu. Nie minęła godzina, kiedy żleb wyprowadził nas, rozszerzającym się i twardniejącym w szklistą masę językiem, na skraj jezioro-watej kotliny. Zastopowałem.

*

Piercień błękitnych latarni, opasujący raketę i przywodzący na myśl kordon, był nie dalej niż o półtora kilometra. Jak dotąd nie spostrzegliśmy w nim żadnych

zmian, żadnego ruchu, który mógłby wiadczyć, że nas zauważono i że spotkamy się z zawczasu obmyśloną przyjęciem.

To była Proxima”. Białe litery na burcie majaczyły wprawdzie tylko niewyranymi plamami, ale przypomniałem sobie, że Monitor” był nieco mniejszy od Heliosa” i różnił się od statków drugiej ekspedycji budową dysz.

Kłapy włazów były zatrzaśnięte. Wzdłuż korpusu ciągnęła się jednak nie uszkodzona pionowa prowadnica windy.

Wywołałem Snagga, przekazałem mu ostatnie wiadomości i powiedziałem, żeby posłał meldunek bazie. Mruknął: uciesz się” czy co w tym rodzaju i dodał,

że obcy przestali się nim interesować.

Czy to cię martwi? spytał łagodnie Riva.

Przynajmniej co się działo.

Potem nam wszystko opowiesz odpowiedział mu obiecująco Riva, takim tonem, jakby mówił do dziecka. Rozmowa rozwijała się interesująco, ale kazałem im przerwać, bo wokół rakiety powstał jakiś ruch. Zamigotała w wietle platforma windy. Wyteżyłem wzrok. Obiektywy kamery naszego pojazdu dawały już największe powiększenie, na jakie było je stać.

Winda spłynęła i nagle z bezkształtnej, zagęszczonej masy cienia leżącego pod dyszami statku wyskoczył człowiek. Odruchowo sięgnąłem do klawiatury celowników.

Minus pięć od zera zabrzmiał chłodny głos Rivy.

Bez tego wiedziałem, że nie możemy strzelać. Więcej szkody zrobilibyśmy ludziom niż kordonowi. Pochyliłem się w fotelu i patrzyłem.

Człowiek, odziany w próżniowy skafander, biegł potykając się i zataczając.

W pewnej chwili uniół wysoko ramiona i wtedy zobaczyłem, że jest uzbrojony.

Miał ręczny miotacz.

Piercień opasujący szeroko miejsce postoj statku ani drgnął. Nie zaobserwowaliśmy w nim najmniejszego poruszenia nawet wtedy, kiedy mężczyzna dotarł do samych niemal wieżyczek. Nagle zachwiał się i upadł na kolana. Błysnął

miotacz. Ujrzelimy cieniutki strugę wiatła, strzelając w kierunku najbliższego stożka i oplatając go momentalnie płomieniem podobnym do wyładowania atmosferycznego. Mężczyzna nie odejmował palców od spustu. Ale promienisty sztych zafalował. Trafił w grunt, rozpryskując się miliardami krystalicznych ogników, przeniósł się z kolei na drugą wieżyczkę, ale liźnął ją tylko, wzniósł

się

stromo w górę i począł szyć granatowy bezmiar przestrzeni. Czas płynął. Kolba miotacza musiała już parzyć dłonie strzelającego, nawet przez grube, próżniowe rękawice.

Raptem wylot miotacza zmatowiał. Przez ułamek sekundy unosiło się z niego co przypominającego strużkę pary, wreszcie zgasł zupełnie. Zrozumiałem, że to nie obłąkany strzelec zwolnił w końcu spust, a po prostu wyczerpał się ładunek energii. To również dawało co do mylenia.

Miotacz błysnął w locie, odrzucony daleko w bok. Mężczyzna upadł twarzą na ziemię i wił się jak ranne zwierzę. Po chwili znieruchomiał. Uniósł się na łokciach, kilka sekund trwał tak bez ruchu, po czym zaczął walić pięścią w szkliste podłoże. Wyrzucał w górę całe ramię i spuszczał je z szybkością i siłą ciężkiego młota. Wreszcie opadł ponownie, płasko przywierając do ziemi. Wtedy wieżyczki, ale nie najbliższa leżąca, tylko trzy czy cztery po obu jej stronach, posunęły

się do przodu. Pełzły powoli i nierównomiernie. Wkrótce utworzyły jakby podkowę, wysunięts otwartymi ramionami w stronę nieruchomej rakiety. Przypominały teraz kształtem niewód założony na płytkiej wodzie. Przystanąły na moment. Znowu ruszyły, już równoczenie, bardzo powoli, ale z jednakowś szybkości. Kiedy stożek stanowiący najgłębsz część łuku znalazł się tak blisko, że niemal dotykał kasku leższego, ten uniósł się z widocznym wysiłkiem i poleciał do tyłu, jak uderzony. Upadł na plecy, ale natychmiast podkurczył nogi i zaczął pełnić, odpychając się stopami, niezdarnym ruchem kaleki. wietlista podkowa przyspieszyła.

Mężczyzna upadł znowu, przewrócił się na bok, chwilę przebierał bezradnie nogami, aż wreszcie udało się mu wstać. Skoczył do tyłu, zachwiał się, zatoczył, po

czym, łapiąc równowagę, wyprostował na cała wysokość.

Wtedy dopiero poznałem jego skafander. Nie był taki jak wszystkie. Nawet z tej odległości rysował się niewyranie biało-czarny emblemat na lewym ramieniu. Podłużna narol na udzie to zespół wyjć dobrze mi znanej, specjalnej aparatury. Odruchowo sięgnęłem ręką do biodra i pojechałem niś wzdłuż mięśnia, muskając palcami końce przewodów. I to nie był zwykły skafander. Ludzikom nic by nie przyszło z jego wszystkich przekaników i wzmacniaczy. A ten facet na dole, szczuty nagonkś wieższych wieżyczek, padający i zbierający się z największym wysiłkiem, z każdym ruchem bliższy klatki, jakś stanowił właz statku, to Krosvitz.

Czy naprawdę powiedziałem kiedy do Liny: Nie będę go lubił...”?

Włanie.

Kompresja? rzuciłem przez zacinięte zęby.

Pełna moc odpowiedział natychmiast Riva.

Przeciek?

Zero.

Usuń blokadę.

Dostrzegłem ruch w okienkach automatów celowniczych. Nie mogliśmy bić ciśgłym, strefowym ogniem. Nie tutaj.

Rzut oka w ekran. Krosvitz pochłonś już cień pod rufś rakiety. Wieżyczki zatrzymały się. Błysnęła platforma windy. Wtedy błękitne stożki drgnęły i zaczęły

pełnić z powrotem. Nie minęła minuta, a wokół statku widniał już jednolity, regularny piercień. Zwierzę zostało zapędzone tam, gdzie było jego miejsce.

Naprzód powiedziałem. Poczułem chłód na policzkach. Spokojnie, jakbym przystępował do wykonania jednego ze zwykłych ćwiczeń na poligonie, ujś-

łem ster. Jeli w tych przeklętych wieżyczkach sš żywe istoty...

*

Tym razem nie trwało to nawet dwóch minut. Riva mruknšł potem, że nabieramy wprawy.

Od najbliższej wieżyczki dzieliło nas już nie więcej niż pięć metrów. Raptem Phobos” wyrznšł dziobem w co niewidocznego, okręcił się dokoła własnej osi i zaczął ryczeć wszystkimi silnikami, bezradnie grzebišć w miejscu. Okienka czujników oszalały. Przez moment ledziłem ich potępieńcze rozbłyski, po czym szczęki zwały mi się tak, że aż zabołało. Ale nie bałem się. Nie popadłem w odrę-

twienie. Nie zacząłem snuć marzeń ani wspominać lepszych czasów. Ogarnęło mnie jedno jedyne pragnienie: dopać tego powięcajšcego diabelstwa, rozgnieć je na miazgę, rozpylić, wetrzeć w szklisty grunt, żeby ladu nie zostało.

Rzuciłem

się do sterów. Dałem pełny gaz.

Ryk silników wzmógł się jeszcze. Pojazd zaczął dygotać, początkowo wolno, potem coraz szybciej. Nagle ruszył z takim przyspieszeniem, że nie udało mi się utrzymać steru. Poleciałem do przodu jak wystrzelony. Poczułem silne uderzenie i usłyszałem ostry trzask. Chwilę jeszcze balansowałem, ale zwałiłbym się nie-chybnie pod podstawy ekranów, gdyby nie nowe pchnięcie, tym razem do tyłu.

Frunšłem jak odbita piłka i wylšdowałem na brzuchu, w moim własnym fotelu.

Wygramoliłem się z trudem i rzuciłem okiem na wskaniki. Stały w pozycjach idealnie zgodnych z programem, jakby nigdy nic. W kabinie panowała cisza.

Wtedy włanie Riva powiedział, że nabieramy wprawy. Mylił się jednak.

Prawda, że wydostaliśmy się tym razem ze strefy zerowej szybko i w gruncie rzeczy bez większych perturbacji. Ale tylko dlatego, że Phobos” po uderzeniu w co, czego nie było widać, obrócił się tyłem. Nie miałem najmniejszego zamiaru wycofywać się stamtšd. Pamiętałem o tym aż za dobrze. Ruszyłem pełnš mocš silników do przodu. Tylko że ten przód był nie tam, gdzie się spodziewałem.

*

Słowem, mieliśmy szczęście. Znowu. Za dużo tego szczęcia. Za dużo przypadków.

Jechaliśmy teraz z powrotem ku przełęczy. Jaki czas nie zmieniałem kierunku. Dopiero kiedy oddaliliśmy się od kordonu na bezpiecznš odległość, zawró-

ciłem i stanšłem. Powiedziałem Rivie, żeby się zajął Snaggiem. W czasie, kiedy przekazywał meldunek, mylałem.

Wokół wieżyczek utrzymuje się strefa zerowa. Ludzie wewnątrz statku pozostają prawdopodobnie pod jej wpływem. Nie prawdopodobnie, lecz na pewno.

wiadczyło o tym zachowanie Krosvitz. A zatem byli nieobliczalni. Czyli że nie mogliśmy ryzykować skażenia radioaktywnego w polu, otaczającym raketę. Nasza najgroniejsza broń, antymateria, stała się bezużyteczna. Ogień laserów

spływał po wieżyczkach jak niewinny promyk latarki. Mielimy próbkę, kiedy Krosvitz zdobył się na akt rozpacz, którego bylimy milczącymi wiadkami.

Pozostawało jedno. Mały miotacz antyprotonów o bardzo ograniczonym i ci-

le obliczonym polu rażenia. Ale jak go zaprogramować? O ręcznym celowaniu nie było mowy. Wewnątrz strefy sami mogliśmy przecież spowodować nieobliczalne szkody. Nie nadawaliśmy się tam praktycznie do niczego.

Nie znalazł budowy urządzeń, wytwarzających paraliżujące pola. Nie znali-

my ich struktury. Ani materiału, z jakiego je wykonano. Jak w takich warunkach zaprogramować celowniki, żeby reagowały tylko na wieżyczki i czarne piguły

jak je nazywaliśmy a zachowywały się obojętnie wobec wszystkich innych przedmiotów? Czy to jest w ogóle możliwe?

Nie odpowiedziałem sobie na głos. Niemożliwe.

Tak też było. Teoretycznie moglibyśmy wprawdzie próbować podjeżdżać na bezpieczny dystans kolejno od jednej wieżyczki do drugiej i niszczyć je przy użyciu ręcznie sterowanych miotaczy. Ale było więcej niż pewne, że obcy odpowiedzą wystrzeleniem w nas czarnych automatów. Nie możemy sobie pozwalać na luksus odblokowanych celowników.

Nie. Na dobrą sprawę istniało jedno jedyne rozwiązanie, dające nie gwarancję, ale przynajmniej jakieś takie prawdopodobieństwo powodzenia. Mianowicie zdobyć jedną czarną pigułę i pokazać ją neuromatowi, aby ten zapisał jej charakterystykę w programach miotaczy. Zauważyłem, że strefa po jej przekroczeniu działa z pewnym opóźnieniem rzędu dziesiętych sekundy. Za mało dla ludzi, nawet dla nas, ale aż nadto dla neuromatu. Proste. Rzec można, dziecinnie proste.

Tylko wyjść, wsiść pod pachę jedną pigułę, przynieść do kabiny i zaprezentować ją komputerom. Ale chciałbym widzieć tego, kto to zrobi. Kto znalazłszy się w strefie zerowej nie zapomni natychmiast, po co tam poszedł.

121

Zaraz, zaraz... Jak powiedziałem? Że chciałbym tego kogo zobaczyć?

Nic trudnego. Zobaczę go. I to zapewne niebawem. Jak tylko skończy się ta ciuciubabka i będę mógł zerknąć do lustra.

Bierz ster rzuciłem do Rivy. Usłuchał, nie pytając, co chcę zrobić.

Wstałem i ruszyłem w stronę studzienki, prowadzącej do grodzi ładunkowych.

Zszedłem po drabiniastych uchwytach i powieciłem reflektorem. Krótki kory-tarzyk, szerokości człowieka w skafandrze, rozdawał się. Na lewo wejście do komór energetycznych i stosu. Na prawo przechodziło się przez kilka klatek, uło-

zonych tarasowata wzdłuż stopni, a stąd do pojemnika z aparaturą wysięgnika.

Zmitrężyłem dobre trzy kwadranty, zanim w stosach zapasowych części, przekaników, przetwornic chemicznych i tysięcy innych rupieci znalazłem to, czego szukałem. Wycofałem się czym prędzej, pozostawiając po sobie bałagan, za jaki oberwałbym dobrze po uszach, gdyby rzecz działała się na ćwiczeniach. Ale nie byłem na ćwiczeniach. I nie miałem wcale pewności, czy któremukolwiek z egzaminatorów przyszłoby na myśl co tak paradoksalnie prostego.

Zatrzasnąłem za sobą klapę wjazdu i odszedłem kilka kroków, żeby dostać się w pole widzenia Rivy. Następnie podniosłem przedmiot, który z takim trudem odnalazłem i poprosiłem, żeby go sobie dobrze obejrzał.

Był to stary, niemal muzealny aparat do zdjęć holograficznych. Z archaiczną migawką. Żeby ją zwolnić, przyciskało się palcem mały, srebrny guziczek. Żadnego zdalnego sterowania, żadnych samoczynnych przekaników, żadnych automatów, żadnych sprzężeń. Prociutki, zacny mechanizm, niewrażliwy na wszelkie możliwe strefy, jako że pozbawiony wszystkiego, co wiślało się z automatyczną łącznością.

W normalnych warunkach zadanie można by było, rzecz jasna, powierzyć automatycznym kamerom, którymi najeżony był nasz pojazd. Cóż, kiedy cała po-kładowa aparatura zaczynała fiksować natychmiast lub niemal natychmiast, kiedy to, co tym razem miała zapamiętać, znalazło się w jej polu widzenia. Graniczy-

łoby z cudem, gdyby która z tych pigułek spadła akurat tam, gdzie już przedtem skierowaliśmy obiektywy. Wtedy istotnie w ciągu tych ułamków sekundy, jakie mijały, zanim dochodziło do całkowitego zerwania łączności, aparatura zdążyłaby co zarejestrować.

Ale szczęśliwych przypadków mieliśmy już dość. Trudno liczyć, by powtarzały się w nieskończoność.

Teraz miałem przynajmniej realną szansę. Oczywiście, o ile poradzę sobie z własną łącznością, wewnątrz mojego układu nerwowego. I jeśli kształt czarnego aparatu wystarczy, aby zaprogramować miotacz. Ale miałem nadzieję, że pigułka'

nie będzie przypominać żadnych ziemskich urządzeń.

Odwróciłem się, przygotowałem aparat i, zawiesiwszy go na szyi, ruszyłem wprost w stronę błękitnego kordonu. Palec trzymałem w pogotowiu, na spucie migawki. Doszedłem do wieżyczki i zrobiłem zdjęcie, obejmując całą jej sylwetkę. Zbliżyłem się jeszcze trochę, zmieniłem ogniskową i sfotografowałem sam szczyt, którego koniuszek wiecił jak boja. Nie było tam żadnej latarni, szkła czy

czego w tym rodzaju. Po prostu szpic gładkiego, jakby wykonanego z polerowanej stali, stożka. Podszedłem jeszcze trochę i zrobiłem powiększenie wycinka jego korpusu. Nawiasem mówiąc, padające z góry błękitne światło było silniejsze, kiedy patrzyło się z daleka niż tutaj, u podnóża konstrukcji.

Obszedłem wieżyczkę dokoła, ciśgłe zbliżając się do niej, wreszcie stan-

łem i dotknąłem rękawicę ciany. Nic. Twarda powłoka bez żadnej klapy, włazu, uchwytów czy choćby miejsc oznaczonych innymi barwami. Podnóże stożka wcina-

ło się w szklisty grunt jak osadzone na głęboko wkopanych fundamentach, choć widzieliśmy przecież na własne oczy, że mamy do czynienia z konstrukcjami ruchomymi. Uderzyłem ręką. Głuchy, stłumiony stuk. I cisza.

Zaparłem się nogami i natarłem na stożek barkiem, z największą siłą, na jaką było mnie stać. Ani drgnął. Zrozumiałem, że nic tutaj nie wystoję. I jeszcze co.

Tu nikogo nie ma. Żywego ducha.

Statek otacza kordon. Ale tworzą go automaty. Zaprogramowane tak, żeby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się epidemii na powierzchni globu. Gospodarze tutejszego układu słonecznego zostawili je i wynieśli się. Nie było ich w podziemiach. Nie spotkaliśmy ich na orbicie ani nigdzie po drodze. Nie warowali także tutaj, gdzie ludzie o sztucznie rozkojarzonych układach nerwowych, w obezwładnionym, pozbawionym automatów statku, czekali na głodową śmierć. Energia nagromadzona w zespołach Proximy” dostarczałaby wprawdzie przetwórciom chemicznych składników potrzebnych do syntetyzowania pożywienia jeszcze przez co najmniej dziesięć lat, ale fakt pozostawał faktem.

Nie było ich nigdzie. Na całym globie. Porzucili go umylnie. Zarządzili ostrą kwarantannę, po czym opucili wszystkie bazy i urządzenia. Wróć, kiedy będzie po wszystkim.

Ogarnęło mnie rozdrażnienie. Moje nerwy znajdowały się w opłakanym stanie. Zaciśnięte zęby i zmusiłem się do spokoju. Odszedłem kilka kroków od wieżyczki i stanąłem w miejscu, gdzie Krosvitz uruchomił miotacz.

Rozejrzałem się.

Po niewidocznej przeszkodzie, która zatrzymała Phobos”, nie pozostało la-du. Może działa wybiórczo? Przede mną wznosiło się potężne cygare statku, głuche, masywne, celujące zadartym dziobem w granatową noc, w gwiazdy. Nie dochodził stamtąd żaden głos, jakby cała rakieta była tylko martwym pomnikiem zbudowanym wiele lat temu, aby dać świadectwo ludzkiej tęsknocie i ludzkiej myli. Temu wszystkiemu, co nazywamy duchem eksploracji.

Pod statkiem gęstniał cień. Na prowadnicach windy migotały błękitne refleksy. Podejść, wezwać platformę, wjechać do włazu i przywitać się z lud-

mi. Powiedzieć: jak się macie, piękna dzi noc” czy co w tym rodzaju.

Wystarczy jednak spojrzeć w lewo lub prawo, aby zdać sobie sprawę, na czym się stoi. Błękitny kordon trwał nieruchomo jak pluton egzekucyjny, najstraszniej-szy ze wszystkich, bo martwy. wiatła kładły się łagodnie na szklanym gruncie, przywodząc na myśl ciche przystanie nad jeziorami. Dalej był tylko granat i odrobinę ciemniejsze postrzępione masywy skał.

Czułem się coraz gorzej. Od dobrej chwili stałem bez ruchu. W stronę statku nie wolno mi już postąpić kroku. Tam jest ta strefa. Każdy strzępek nerwów ostrzegał mnie przed jej obecnością. Ale stojąc i czekając, nie wiadomo na co, niczego nie osiągnę. Trzeba wziąć się w garść.

Odwrociłem się. Chwyciłem oburącz aparat i podniosłem celownik do oka.

Zacząłem wykonywać półobroty, jak saper na ćwiczebnym polu minowym. Ruszyłem po cięciwie koła, wyznaczonego przez błękitne stożki.

I wtedy pochwyciłem kłosem oka króciutki błysk. Mały czarny przedmiot upadł

kilkanacie metrów przede mną. Jeszcze się toczył, gdy zwolniłem migawkę.

W tej samej chwili pociąłem aparat, który zawisł na pasku, przymocowanym przezrocznie do kryzy skafandra i rzuciłem się szalonym biegiem w kierunku Phobosa”.

Uderzyłem o co, zatoczyłem się, ale biegłem dalej. Błękitne wiatelka zgasły.

Znajdowałem się już po drugiej stronie kordonu.

Poliznąłem się. Pod nogami miałem lód. Rozpędziłem się i próbowałem pojechać na butach jak na łyżwach. Przyhamowało mnie tak, że upadłem i szurnąłem kaskiem po powierzchni gruntu, która z bliska nie wydawała się już tak bardzo liska.

Granatowa lizgawka! wykrzyknąłem. Nogi plątały się przede mną. Podskakiwałem, tańczyłem, biegnąc zygzakami, zakolami, stale jednak oddalając się od rakiety i kordonu wieżyczek. Jeli Riva to wszystko widział, musiał mieć niezłą zabawę. A trudno, żeby nie widział. Kotlina była gładka jak stół.

Przebiegłem

jeszcze kilka kroków, ciężko dysząc, i zwałem się na kolana. Przez chwilę walczyłem z przemożnym pragnieniem zderzenia z siebie kasku, wszystkiego. Wtedy przypomniałem sobie prawie nagie ciało Collinsa. Oprzytomniałem.

Uważnie obejrzałem dyndający mi na piersiach aparat. Na szczęście nie ucierpiał od tego, co wyprawiałem.

Dwignąłem się z trudem i szeroko stawiając nogi ruszyłem w stronę widniejszego w odległości kilkudziesięciu metrów Phobosa”.

*

Z wywoływaniem zdjęć było trochę kłopotu. Długo szukałem odpowiednich arkuszy folii. Takich, żeby można je wprowadzić do zespołu programowego automatów celowniczych.

Pozytywy nie przedstawiały się ciekawie. Czarny przedmiot, któremu zawdzięczaliśmy wszystkie atrakcje od momentu wkroczenia w obszar układu planetarnego Alfy, wyglądał jak dobrze zachowana kula armatnia z czasów hisz-pańskich konkwistadorów. Fotografie strażniczych stożków nie powiedziały nam również nic nowego. Ale w czasie całej mojej eskapady przekonałem się przynajmniej o jednym. To nie wieżyczki są odpowiedzialne za pola, paraliżujące centra nerwowe ludzi. Stymulatorami stref zerowych były tylko czarne piguły”. Ro-la stożków pozostawała niejasna. Stwarzały jakś niewidoczną zaporę. Phobos”

uderzył w nią i nie przeszedł. Zatrzymała również Krosvitz. Aleja przedostałem się do wnętrza kordonu bez przeszkód.

Mniejsza z tym. Teraz chodzi tylko o to, czy neuromatowi wystarczy materiał, jakim dysponujemy, więcej niż skłapy, do zaprogramowania automatów celowniczych małego miotacza.

Wprowadziłem przestrzenne zdjęcia do zespołu pamięciowego. Przeliczyłem wszystkie dane, odległość od kuli w czasie wykonywania zdjęcia, nawietlenie, charakterystykę soczewki aparatu, czułość folii, temperaturę otoczenia i tak dalej.

Jeżeli komputer zdoła z tego wysnuć jakie wnioski na temat struktury czarnego urządzenia, to tym lepiej. W każdym razie celowniki otrzymają jego kształt i rozmiary.

Tym razem nie bawiłem się w żadne podchody. Nie zatrzymując pojazdu, po-słałem krótką serię w najbliższą wieżyczkę. Sekundowy krzaczasty rozbłysk, podmuch, który przeniknął do wnętrza kabiny jak ciche westchnienie, pełna moc silników. Natychmiast zablokowałem celowniki, przerzucając je na sterowanie z neuromatu.

Byliśmy już w miejscu, gdzie przed chwilą trwała anihilacja. Po błękitnym stożku pozostała tylko odrobinę ciemniejsza, matowa smuga na szklistym gruncie. Przeszliśmy. Wieżyczki pozostały za nami. Widzieliśmy odbicia ich wiał

w czołowym ekranie.

Moja szalona, samotna wyprawa nie poszła na marne. Umieszczone w programie zdjęcia stanowiły dostateczną informację dla neuromatu. Lufa miotacza wykonywała krótkie, błyskawiczne ruchy. Jej wylot rozjaniał się na setną część sekundy, nie zdążył jeszcze zmatowieć, zmieniał kierunek i błyskał znowu jednym jedynym uderzeniem. Wszystkie celowały w cień, gęstniejszy pod rufą statku. Wybuchały w nim białe, mikroskopijne gwiazdy. Obcy (czy ich automaty) nie oszczędzali aparatów, stymulujących strefy. Pod rakieta aż roilo się od nich.

Co do nas, czuliśmy się jak w małym, starowieckim samolocie w czasie huraganu. Phobos” niósł miękko, lekko kołysząc. Tylko tak reagował na pracę miotacza. Ale nam żołdki podchodziły do

gardel, chciało nam się miać, płakać, wpadalimy w odrętwienie, to znowu w obłądną wciekłość. Za każdym razem nie trwało to dłużej niż sekundy. Wylot miotacza bluzgał wiatłem w stronę najbliższej piguły i przychodziło uspokojenie. Też na sekundy.

Miotani tš piekielnš hutawkš, okršzalimy podnóża rakiety. Piercień się zamknšł. Zapanowała cisza. Byliśmy już w połowie drugiego okršżenia: Z tyłu, spoza wieżyczek, dobiegł znany nam już aż za dobrze błysk.

Czarny przedmiot nie zdšżył nawet dotknšć gruntu, gdy został unicestwiony ogniem miotacza. Powtórzyło się to jeszcze kilkakrotnie. Kršżyliśmy wokół statku, jakby zapraszajšc obcych do kontynuowania zabawy. Byliśmy już spokojni.

Nasze mózgi pracowały jak zawsze.

Minęło kilka minut. Ataki urwały się, jakby ich sprawcy zostali przekonani o daremności swoich wysiłków. Ale o przekonaniu kogokolwiek nie mogło być, rzecz jasna, mowy. Zapewne wreszcie wyczerpał się zapas piguł, pozostawiony przez obrońców Trzeciej. Wieżyczki sšczyły łagodne, błękitne wiatło i stały bez ruchu. Mogło się wydawać, że nigdy nie opuszczały swoich stanowisk, by zroz-paczonego człowieka zagnać z powrotem do głodowej celi.

Odczekaliśmy jeszcze następne pięć minut, po czym skierowałem pojazd prosto do podnóża prowadnicy dwigu. Riva przejšł ster. Wyskoczyłem na szkliste podłóże. Teren był już silnie skażony, nie tak jednak, żeby nie można ryzykować.

Jednym susem dopadłem płaskiej kratownicy i wezwałem platformę. Mechanizm działał normalnie. Phobosa” już nie było obok mnie, dalej okršżał podstawę statku zataczajšc możliwie ciasne koła. Riva nie mógł czekać. Nie wiadomo było, czy mimo wszystko nie nastšpi kolejny atak. Phobos” musiał mieć w każdej chwili wolne pole ostrzału. Za pozostawienie czarnej piguły w miejscu zasłoniętym akurat przed nami przez wyloty dysz Proximy” dłużej niż kilka sekund, mogli-

my zapłacić bardzo drogo. Po prostu powiększyć czekajšcš na mierzć ziemskš załogę.

Płaska tarcza, zabezpieczona tylko jednš ciankš, za to wyposażonš w duże, wygodne uchwyty, wyniosła mnie aż na poziom włazu. Był nie domknięty. Je-

li luza też... przemknęło mi przez myl. Ale klapę zagrządzajšcš przejście z komory luzowej do wnętrza statku zatrzanięto na głucho. Zamknšłem za sobš właz i odnalazłem studzienkę oczyszczacza. Trwało dobre dziesięć minut, zanim czerwone oko indykatora promieniowania przygasło. Przestałem być niebezpieczny dla otoczenia. Wyrównałem ciśnienie i otworzyłem przewód tlenowy. Znowu musiałem odczekać, aż nad klapš zapłonie zielone wiatełko. Otworzyła się sama, jak zawsze. Na wszelki wypadek zamknšłem jš ręcznie, zabezpieczyłem i spraw -

dziłem urządzenie alarmowe. Było sprawne. Wtedy odwróciłem się. Nad mojš głowš, wysoki jak wnętrze wieży, otwierał się szyb korytarza.

*

Statek był jak wymarły. Zaglądałem do kilku kabin, lecz nikogo w nich nie znalazłem. Wszędzie panował trudny do opisanego rozgardiasz. Na podłodze wala-

ły się pomięte arkusze folii, tamy mikrofilmów, części ubrania, porzucone narzędzia.

Co kilka metrów zatrzymywałem klatkę, której prowadnice biegły wzdłuż wężkiej ciany, stanowiącej w czasie lotu strop korytarza. Wszędzie ta sama martwa cisza. W końcu dobiegłem do nawigatorki, a raczej poprzedzającej ją sali.

Z kilkunastu ustawionych tutaj foteli tylko trzy były zajęte. W najbliższym leżała kobieta, obok mężczyzna, którego nie znałem, nieco dalej, z głową przechyloną do tyłu, komendant Heliosa” Thorns. Na moje wejście nikt nie zareagował najmniejszym poruszeniem.

Na podłodze, pod pulpitem, w przejściu do łazienki, pomiędzy segmentami ławistego stołu leżeli ludzie. Nieruchomi, jakby nieprzytomni po gwałtownym upadku, z rozrzuconymi lub podkurczonymi nogami.

Nie rozglądając się, ruszyłem szybkim krokiem do sterowni. W progu musiałem przekroczyć leżącego tam mężczyznę w zdartym do połowy kombinezonie. Ten miał oczy zamknięte. Jego pierś wznosiła się i opadała gorączkowo, w szybkim, nieregularnym rytmie. Pchnąłem nie zamknięte drzwi i znalazłem się w ciasnym pomieszczeniu pilotów. Wszystkie wskaźniki trwały na pozycjach roboczych. W okienku neuromatu pulsowało zero” jakby wyniki daremnych prac nad le skonstruowanym programem. Klawisze w pulpicie były połączony tak, że każdy komputer musiał dostać od tego obciążenia. Z tym mogłem sobie poradzić sam i to bez trudu. Zlustrowałem wskaźnik zużycia energii. Jego strzałka zbliżała się powoli do czerwonego pola. Nie czekałoby już długo. Pozostałe zasoby wystarczały jednak aż nadto do wyjścia na orbitę. Wszystkie zespoły napę-

dowe funkcjonowały normalnie. Można było startować, choćby zaraz. Cofnąłem się i ponownie przestąpiłem próg nawigatorki. Stałem. Teraz miałem już dość czasu, by uważnie przyjrzeć się ocalonym przez nas ludziom.

Tak. Tutaj nie pomogły żadne diody laserowe, żadne butlery i automatyczne korektury homeostazy. Tego widoku nie zapomnę do końca życia.

Rozdział 9

PROXIMA”

Frontowy szpital z wojny, po której nie zostało już ladu w pamięci żyjących pokoleń. I to szpital nie dla żołnierzy. Dla obłąkanych mieszkańców osad, przez które przewalił się front. Dramat historyczny z pierwszych lat kryzysu cywilizacyjnego. W scenerii komfortowo wyposażonej kabiny współczesnego statku kosmicznego. Nie jedli chyba od tygodni. Ich twarze sprawiały wrażenie żywcem przeniesionych ze szkiców Goyi. Na płycie stołu, na pulpitach, we wszystkich zakamarkach, wszędzie, na całej podłodze walały się brudne naczynia, resztki żywności i bandaż. Tylko że to nie jedzenia im brakowało. Wystarczył rzut oka na barierę syntetyzatorów. Wszystkie segmenty były pod prąd. O wyczerpaniu zapasów, po kilku zaledwie latach, nie mogło być mowy.

Poród tego ludzie wychudli do szkieletów, zaronięci, półnadzy. Wyczerpani do ostateczności. Ale niektórzy z nich już odzyskiwali wiadomość. Czuję na sobie pojedyncze, półprzytomne, nieruchome spojrzenia, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu.

Stałem w przejściu do sterowni i patrzyłem. Chciałem zostawić im trochę czasu. Nie minęło dziesięć minut, odkąd miotacz Phobosa” zakończył uprzękanie terenu wokół statku. Do tego momentu tkwili w strefie zerowej. Licho wie, od kiedy. Ja potrzebowałem ładnych paru sekund, aby przyjść do siebie po kolejnych wizytach czarnych automatów, chociaż nigdy nie pozostawałem w ich sąsiedztwie dłużej niż kilka minut. A oni przybyli tutaj całe lata temu.

Moją uwagę przykuła zaimprovizowana konstrukcja jakiego destylatora, ustawiona na opuszczonej klapie zasobników chemicznych. Podszedłem do niej, ostrożnie podniosłem zbiornik i powściąłem pozostałą na dnie resztkę płynu. Nie mogło być wstępliwoci. Produkowali alkohol.

Odwróciłem się i poszukałem spojrzeniem Thornsa. Przez chwilę wpatrywał

się we mnie, po czym przykniął oczy, jakby chciał odpowiedzieć twierdząco na nie zadane pytanie. Znowu poczułem żółć na policzkach. Zaczęłem przeglądać powyrzucane z zasobników chemikalia. Na sąsiednim skrzydle klapy stał jakiś

dziwny przyrząd. Nie potrafiłem go skojarzyć z żadną ze znanych mi reakcji.

Pospawane były jak kolby, powieszane drutem, krzywe przewody, promienniki, mały laser chemiczny, celujący w wypukłą tarczę, posypaną białym proszkiem.

W opróżnionych, przezroczystych kanistrach resztki substancji. Na etykietach nazwy samych alkaloidów. Co mnie tknęło. Otworzyłem pozostałe zasobniki i zrobiłem pobieżny przegląd ich zawartości. W przegrodzie alkaloidów znalazłem jeszcze sporo substancji. Jedna grupa była wyczyszczona do czysta. Pochodne izochinoliny.

Orientowałem się na tyle, żeby wiedzieć, co to znaczy. I co robili z eterem, po którym pozostały porzucone, walające się na podłodze pojemniki. Alkohol przestał im w pewnym momencie wystarczać. Eter rozpuszcza alkaloidy. A z pochodnych izochinoliny otrzymuje się morfinę. I inne narkotyki.

Wiedziałem już przynajmniej jedno. Od tych ludzi nie dowiemy się niczego.

Nie dlatego, że nie będą chcieli powiedzieć. Czy też nie będą w stanie przypomnieć sobie, co przeżyli od dnia, kiedy dysze Proximy” dotknęły powierzchni tego globu. Nie. Po prostu nie będziemy ich pytać.

Poczułem czyjąś dłoń na ramieniu. Odwróciłem powoli głowę.

Za mną stał Krosvitz. Jego szeroko otwarte oczy wpatrywały się we mnie z taką siłą, że przez ułamek sekundy musiałem napiąć mięśnie do granic bólu, żeby się nie cofnąć. Głęboko ciszę kabiny mściły tylko odgłosy płytkich oddechów le-

ższych bezwładnie ludzi. Mimo to nie usłyszałem jego kroków, kiedy zachodził od tyłu.

Poruszył wargami. Jego spojrzenie odrobinę przygasło.

Krosvitz powiedziałem spokojnie. Cieszę się, że cię widzę.

Mój głos brzmiał obco. We wnętrzu kabiny zaszła jaka zmiana. Jakby ruszył nieczynny od lat agregat, wprowadzający ożywczy gaz do hibernatorów.

Jego ręka, wciśnięta jeszcze spoczywając na moim ramieniu, drgnęła. Poczuliśmy słaby ucisk palców. Nagle pociął mnie i cofnął się dwa kroki, nie przestając mierzyć mnie wzrokiem.

Ty jeste Thaal wymówił, cedząc każdą literę z osobna. Był to właściwie szept, ledwie słyszalny.

Wszystko to dzieje się naprawdę przemknęło mi przez myśl. Naprawdę...

Chod ze mną powiedziałem, wyciągając do niego rękę. Nie przyjął jej.

Wyprostował się i rozejrzał po kabinie.

Nie patrz. Chod.

Tym razem usłuchał. Zaprowadziłem go do płytkiej niszy koło łazienki. Znajdował się tam zestaw diagnostyczny i automatyczna apteczka.

Miał chłop zdrowie. Właściwie nic mu nie było. Ogólne wyczerpanie, wzmożona pobudliwość, lekkie osłabienie mięśnia sercowego, drobne potłuczenia. Na-derwane cięgną w prawym przedramieniu. Tego to napisał sobie chyba dzisiaj, walczył o ziemię, w bezsilnej wściekłości po daremnym, nieprzytomnym wypadku.

Połąknął porcję specyfików, wydzieloną mu przez automat i dał sobie obanda-

żować ramię. Siedział spokojnie, nie odzywając się już, nagi, wychudły, ale nie tak chudy, jak pozostali. Kiedy było po wszystkim, wstał i bez słowa poszedł do umywalni. Usłyszałem huk wylatującego gazu.

Zastanowiłem się. Kiedy wyszedł w nowym kombinezonie, zastąpiłem mu drogę i powiedziałem twardym tonem:

Jestem szefem ekipy interwencyjnej. Na razie będziesz musiał wykonywać moje polecenia.

Skinął głową. Następnie wskazał oczami spoczywającą w fotelu kobietę.

Odwróciłem się twarzą do kabiny i policzyłem obecnych. Thorns, Leger, kobieta w foteli, Torith, Bistra, Notti... Dziewiętnacie. Monitor” miał na pokładzie pięć osób. Helios” i Proxima” po dwanacie. Collinsa zostawiliśmy w płyt-kim zagłębieniu, nakrytym nasypem z barwnych minerałów, obok kopuły z wej-

ciem do tunelu. Brakowało dziewięciu osób. Wśród nich Ustera, Gdzie reszta? spytałem.

Niedaleko. Jeli kto z nich jeszcze żyje. Siedzś w takiej małej bazie...

Jak to się stało?

Wzruszył ramionami.

Nie było zgody... na pokładzie. Walczyliśmy...

Ze sobą? W moim wzroku musiało być co takiego, że umiechnś się mimo woli. Był to jeden z najsmutniejszych umiechów, jakie zdarzyło mi się w życiu oglśdać.

Nie bój się powiedział. Jestem przy zdrowych zmysłach. Teraz już tak położył akcent na słowie teraz”.

Wiesz, gdzie to jest?

Uhm. Byłem tam.

Byłe?

Tak... przywitali mnie ogniem. Potem sam strzelałem.

Jak się wydostałe poza kordon?

Wtedy nie było jeszcze tych stożków. Tylko antypola...

Nazywali te strefy antypolami. Można i tak.

Uster też tam jest? pytałem dalej.

Nie. Wziśł Monitor” i poleciał na Trzeciś. Mówił, że to jedyna szansa. Ja zostałem, bo... zajśknśł się.

Jasne. Został, żeby pilnować pozostałych.

Ale jeli tak, to znaczy, że nie tkwili cały czas w strefach zerowych. Skoro byli w stanie przytomnie rozmawiać.

Nie było Ustera. W ich położeniu mógł rzeczywiście próbować tylko jednego.

Kontaktu. Za wszelką cenę. Kontaktu, w wyniku którego przekonałby mieszkań-

ców układu Alfy, że nie mają do czynienia z dzikusami. Mało było szans, by nie zapłacił ceny, na jaką się zdecydował, podejmując tę próbę.

Zaprowadzisz nas tam rzuciłem. Wyprostowałem się i ruszyłem w kierunku fotela, zajętego przez nieprzytomną kobietę. Wyprzedził mnie szybkimi krokami i zastąpił drogę.

Thaal błąknął, nie patrząc mi w oczy.

Stanąłem.

Nazywaj mnie AL O co chodzi?

Jedno pytanie. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

W tym momencie zrobiło mi się go szczerze żal.

Nic, Kros powiedziałem półgłosem. Naprawdę nic.

Twarz mu się wygładziła. Powoli skinął głową.

To dobrze szepnął. To bardzo dobrze...

Kobieta poruszyła wargami. Przez moment spoglądała na mnie półprzytomnym wzrokiem, ale zaraz powieki jej opadły. Była niemal naga. Zostały z niej skóra i koci. Jedyne po oprawie oczu i gładkiej cerze można było poznać, że nie

przekroczyła czterdziestki.

Schyliłem się. Jej ramię od łokcia do barku pokrywały drobne, czerwone cętki.

Odwrociłem głowę i poszukałem wzrokiem w stosach rupieci, zalegających pod-

łogę. Jest. Rzucona jakby ze złości w kąt, za postawami pulpitów, leżała mlecz-nobiała półautomatyczna strzykawka.

Wziłem w ręce to nic prawie nie ważące ciało i zaniósłem na fotel diagnostyczny. Krosvitz poszedł za mną.

To jest Ann mruknął po chwili, pomagając mi zamknąć obwody. Jej siostra...

Wiem przerwałem ostro. Obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem i umilkł. Kiedy zdjąłem pled, żeby ją umyć, bo sama nie byłaby w stanie przejść do łazienki, spuścił wzrok i odwrócił głowę. Miał prawo czuć się podle. Tylko że to już teraz wyłącznie jego sprawa.

Automat marudził. W nieskończoność zmieniał numerację. Musiało brakować jakich składników.

Pomyślałem o Linie. Daleko mi było do zadowolenia z siebie. Ale musiałem się umiechnąć. I raptem, nie wiadomo dlaczego, przyszedł mi na mył Uster.

Lina i Uster. Co u licha?

Nagle zrozumiałem. Zrobię wszystko, żeby go znaleźć. Dla niej. Sam tego jeszcze nie pojmowałem. Ale czułem, że co się we mnie przesiliło. Znajdę go i wyciśnę choćby z grobu. Nigdy w życiu nikt nie był mi tak potrzebny, jak teraz

Uster. Itia... mniejsza o niš. Nie chodzi o Itię. Więc o co?

Mój głoniczek obudził się i zawiergotał. No, tak przemknęło mi przez mył program.

Znowu się umiechnęłem.

Dobra, dobra mruknęłem, jak zawsze w takich wypadkach i zajęłem się już wyłącznie Ann.

Po kilku minutach przyszła trochę do siebie. Przynajmniej na tyle, że mogła przełknąć kubek koncentratu. Patrzyła na mnie przytomnie i kilka razy otwierała usta, ale nie pozwoliłem jej mówić. Zaniósłem jš do sterowni, gdzie było trochę czyciej i umieciłem w fotelu pilota. Otuliłem jš pledem i wróciłem do nawigatorni.

Z kolei zajęliśmy się drugš kobietš z załogi Monitora”, Bistra, potem Thorn-sem, a następnie pozostałymi. Pracowaliśmy bite dwie godziny. Zabrakło foteli, więc posłałem Krosvitz, żeby wymontował kilka z najbliższych kabin. Zrobił to szybko i bez zmęczenia. Był już dobry.

W końcu wszyscy byli już zbadani, naszpikowani lekami, wykšpani i nakar-mieni. Stosunkowo najbardziej poszkodowany był Thorns. Głęboka rana w plecach, nad prawš łopatkš, goiła się jednak bez komplikacji. Przypomniałem sobie jego przestrelony skafander, o który potknš się Snagg w kabinie Heliosa”, i po-myślałem, że chłop miał dużo szczęcia. Nie Snagg, oczywiście.

Kiedy ludzie spoczęli już w rozłożonych fotelach i kiedy większość z nich zapadła w drzemkę, wezwałem automaty oczyszczajšce. Z jakš mciwš satysfakcjš obserwowałem znikajšce w mgnieniu oka cuchnšce resztki, porwane mikrofilmy, brudnš odzieź i splamione bandaże. Następnie przeszedłem do sterowni i połš-

czyłem się z Rivš. Kazałem mu zameldować w bazie, że pierwsza część zaprogramowanej przez niš ekspedycji inforpolu osišgnęła sukces. Za wczenie na radoć.

Tym niemniej jaki komunikat powinni już z tego wysmażyć.

Riva rozmawiał ze mnš spokojnie, ale wyczułem, że ma już serdecznie doć nieustannego kręcenia się w kółko u podnóža rakiety. Trudno. Teraz bardziej niż kiedykolwiek nie wolno nam ryzykować. Powiedziałem mu, że przewiduję start mniej więcej za godzinę i wyłączyłem się.

Brakowało dziewięciu osób. Krosvitz zapewniał, że poza zgromadzonymi w nawigatorni, na statku nie ma żywego ducha, ale wolałem sam się o tym przekonać. Zresztš i tak przed startem trzeba było

wszystko przejrzeć. Uruchomiłem automaty kontrolne, zostawiłem Krosvitzę przy uratowanych, a sam wybrałem się do kabin osobowych.

W pierwszych szeciach poza wszechobecnym bałaganem nie znalazłem nic interesującego. To znaczy nic ponad to, czego się spodziewałem.

Postałem chwilę w szybie korytarza, wpatrzony w spokojną perspektywę wiatł, wypłaszających cień najgłębszych zakamarków, po czym uruchomiłem dźwignię i zjechałem piętro niżej. Tutaj drzwi najbliższej kabiny stały otworem.

Wszedłem i stanąłem jak wryty.

Kramik poczęstkującego antykwariusza. Zarazem buduar podupadłej dziewiętnastowiecznej kokoty i składnica odpadków. Kiosk z odpustowymi smakołykami, jaki oglądałem w mediolańskim muzeum folkloru.

Było tu wszystko. Stare ubiory robocze, relaksowe, wieczorowe, stopy kośmyk, nie używanych od lat i nie wytrzymałych porównania z najprostszym zestawem, dostarczonym automatycznie do każdej łazienki, tak samo jak gaz czy woda. Setki mikrofilmów, z których samotny lokator kabiny nie mógł mieć najmniejszego pożytku, z tej prostej przyczyny że do końca życia nie zdążyłby ich przejrzeć, chociażby pobieżnie. Stopy drobnych elementów aparatury łączności i zasilającej. Okulary, ołówki magnetyczne, latarki, zapasowe butle tlenowe, stelaże, zwoje tkanin i kartony folii. I żywność. Zwały koncentratów w oryginalnych pojemnikach i lonych paczkach, kanistry i gruszki z płynem odżywczym zalega-

ły dosłownie wszędzie. Poczęstkowo układane starannie, bliżej wejścia walały się już bezładnie pod stołem, na leżance, na każdym wolnym skrawku podłogi.

Wyobraziłem sobie sylwetkę człowieka, przemykającego chyłkiem, rzucają-

cego na boki trwożne i chytne zarazem spojrzenia, niosącego swój zebrany z za-plecza wspólnego nawigatora, nonsensowny łup. Gromadzenie sprzętów. Jak naj-szybciej i jak najwięcej. Stale, godzina po godzinie, dzień po dniu przybываło w tej pojedynczej kabine rzeczy, które chory, porażony człowiek chciał mieć za zamkniętymi drzwiami własnego azylu, zawsze pod ręką, zawsze tylko dla siebie.

Gromadzenie sprzętów...

Mimo woli przyszło mi na myśl przekleństwo, jakie rzucono w starożytności.

Ale wbrew pozorom rzecz nie była aż tak starożytna...

Odruchowo podniosłem dłoń do czoła. Chwilę postałem jak skamieniały, po czym nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, podszedłem do iluminatora i rozjaśniłem ekran.

Wieżyczki, trwające w nieruchomym piercieniu, były niewidoczne. Tylko z dolnej krawędzi obrazu wynurzały się jak rozczapierzone palce miękkie, błę-

kitne smugi wiatła. Za nimi powierzchnię gruntu pobłyskiwała delikatnie, jakby odbijając jedynie promienie odległych gwiazd.

Spojrzałem w górę. Nie próbowałem nawet wyłuskiwać zarysów znajomych konstelacji z białozłotego mrowia. Co było w tym widoku naprawdę niezwykle-go, porywającego nawet, to opływający gwiazdy soczysty, nieskazitelny granat.

Takiej barwy nieba nie widziałem jeszcze nigdy.

*

Przestrzeń. Nie próżnia. Czystszej nie można sobie wyobrazić. Cisza. Noc, jaka w człowieku, oddalonym od własnego słońca o półtora parseka budzi nagle, nie wiadomo skąd i dlaczego, echo zasłyszanej kiedyś kolędy. I ta kabina, peł-

na sprzętów, nagromadzonych w obłąkanej samotności, w okrutnym popiechu, nakazanym przez nonsensowny, zwierzęcy strach, żeby ich kiedyś nie zbrakło.

Jakie pokłady podświadomości wyzwoliło w ludziach naruszenie przepływu informacji wewnątrz ich precyzyjnie przez naturę obmyślonych układów? Któ-

re z dawniejszych pokoleń doznało wstrząsów tak silnych, że piętno wycię-

te przez nie w kodzie genetycznym, zagłuszyło inne atawizmy? I że przetrwało, zablinitone, głuche, pozornie niebyłe, dłużej niż wiek nareszcie zintegrowanej, nareszcie sterowanej zgodnie z ideałami wspólnoty cywilizacji człowieka? Po to, żeby teraz, w strefie obcego słońca, na globie penetrowanym przez obcą rasę, nagle ożyć, rozróżnić się, rozpanoszyć i całą wolę, nadzieję, dumę pokolenia eksploratorów sprowadzić do zwierzęcych odruchów? Czy ludzie musieli polecieć aż tak daleko, żeby się przekonać, co tkwi w nich naprawdę i ile są warci?

Odpowiedź na te pytania, przynajmniej pierwsze z nich, nasuwała się sama.

Zresztą udzielono nam jej w sposób aż nadto wymowny. Zrobili to oni. Mieszkańcy układu Alfy. Programując projekcję, jakś zademonstrowali w podziemnej hali. Ziemskie miasto z okresu ubiegłowiecznego kryzysu. Ludzie. Samotni w tłumie, lękający się zarówno tej samotności, jak i czyjejś interwencji w jej obszarze,

pochłonięci bez reszty dzisiejszym popiechem, który jutro miał im przynieść za-doćuczynienie w postaci chwili odprężenia, a przynosił tylko nowy wzrost temperatu-ry. Jeżeli takś treść wydobyli z podświadomości przybyszów, mieli prawo poczuć się zniechęceni.

Przyszło mi na myśl, że wszystkie automaty, stymulujące strefy zerowe, pod-rzucane przybywającym, mogły być tylko testami. Kto wie, czy gospodarze układu nie mieli za sobą niemiłych dowiadczeń, wyniesionych z wizyt przedstawicieli innych ras niż ich własna i niż ludzka. I czy te dowiadczenia nie kazały im

poddawać kolejnych ekspedycji ludzkich w ich obszarze surowym egzaminom?

Sprawdzianom podwiadomoci”?

Ta myśl mnie tknęła. Zaczęłam sobie przypominać wszystkie po kolei zetknię-

cia z czarnymi pigułkami. Od pierwszych, wysyłanych na podobieństwo próbnych sond, naprzeciw naszym rakietom, zanim jeszcze wkroczyły w obszar ich systemu planetarnego. Potem kolejne ataki. A może nie ataki, tylko właśnie obserwacje i badania? Może dostrzegli w nas mimo wszystko cechy, które wydały im się bliższe lub interesujące i dlatego eksperymentowali tak długo?

Im usilniej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej prawdopodobna wydawa-

ła mi się ta nowa, niezbyt miła hipoteza. Załóżmy, że tak właśnie było. I że egzamin” nie wypadł pomyślnie. Dlatego obezwładnili statek, otoczyli go nieprzenikliwym kordonem, odebrali ludziom możliwość jakiegokolwiek wiadomego działania, a sami wynieśli się cichaczem nie tylko z najbliższego otoczenia siedliska zarazy, ale z całego globu.

Dość. Sprawdzian, nie sprawdzian, to, co zrobili, spowodowało na ludzi grobą zagłady. Dlatego tu właśnie jesteśmy. Bo przecież my, z Rivš i Snaggiem, stanowiliśmy ekspedycję nie tylko ratunkową.

Wyprostowałam się, zgasiałem iluminator i wyszedłem na korytarz.

*

Dziesięć minut później, zatrzasnąwszy kłapę pieca indukcyjnego, pomyślałem, że cokolwiek by się stało, wspomnienie o tej kabine zachowam tylko dla siebie.

Ani słowa Rivie czy Snaggowi. Najmniejszej wzmianki w żadnym z meldunków, teraz ani później, po powrocie do bazy. Jeli wrócę. Nie mówię o rozmowach z uratowanymi. Było to jedyne, co mogłem jeszcze zrobić dla tych ludzi i ich przyszłości.

*

Skończyłem przegląd kabin i wróciłem do nawigatorni. Krosvitz siedział przy stole i jadł. Ludzie leżeli bez ruchu w fotelach, pogrążeni w drzemce. Ich oddechy

uspokajały się powoli, jeli o nich chodzi, do zrobienia zostało tylko jedno.

Skierowałem się do głównego pulpitu. Doprowadzenie do porządku jego obwodów oraz usunięcie zakłóceń, spowodowanych obłądnym manewrowaniem klawiszami, nie zajęło mi więcej niż piętnaście minut. Wezwałem automaty hibernatorów. Wszystkie odpowiedziały żółtymi wiałkami, na znak, że komory są w porządku i że w tej chwili nikogo w nich nie ma. Zleciłem neuromatowi czynności przygotowawcze, a sam zająłem się ludmi.

Tym razem nie szukałem pomocy zespołów diagnostycznych. Na własną rękę zaaplikowałem każdemu porcję tabletek nasennych. Kiedy do nich podchodziłem, odwracali głowy i zamykali oczy. Kilku tylko przyglądało mi się, jakby usiłując odgadnąć moje prawdziwe zamiary. Ale robili, co chciałem, bez oporu.

Zadałem sobie pytanie, czy kiedy będzie po wszystkim, wrócę do swego zwyczaju pokazywania pleców na widok facetów z czarno-białymi emblematami Korpusu. W gruncie rzeczy niewiele mnie to jednak obchodziło.

Czterdzieci minut później tkwili już pod szczelnie przyssanymi do cian po-krywkami hibernatorów. Zapadali w sen. Pracę automatów zaprogramowałem na rok. Jeli tutaj uda się sprawy pomyślnie doprowadzić do końca, będziemy mieć jeszcze dość czasu, żeby ich gruntownie wyremontować przed powrotem do bazy.

Jeli nie, darujemy im przynajmniej rok spokoju. Teraz nic im nie groziło. Chyba że obcy zmienił taktykę i postanowił zniszczyć statek. Ale nie zanosilo się na to.

Przynajmniej na razie.

*

Dwoje z nich tylko zostawiłem w nawigatorni. Ann i Thornsa. Ten ostatni zachował stosunkowo najwięcej przytomności umysłu. A poza tym odniósł najpoważniejsze ze wszystkich obrażenia. Nie byłem specjalistą. Nie na tyle, żeby mieć

pewność, czy hibernacja będzie dla niego wskazana. Wolałem nie ryzykować.

Co do Ann, ona również nie czuła się dobrze. Jej rany nie przestawały krwawić. Ale nie byłbym szczery twierdząc, że powodowała mnie wyłącznie troska o stan jej zdrowia, kiedy zdecydowałem, że zostanie z nami.

W każdym razie nawigatornia opustoszała. Odnieśliśmy na miejsca pożyczone z kabin fotele. Ann i Thorns drzemali, obstawieni pomocniczą aparaturą.

Wezwałem Rive. Poinformowałem go krótko o tym, co zrobiłem i powiedziałem,

że pojedzie teraz z Krosvitzem po resztę. Ten ostatni, słysząc to, bez słowa

wstał i zaczął się ubierać. Po chwili zniknął w szybie, prowadzącym do luzy.

Dwie minuty później na pulpicie w sterowni zapaliła się czerwona lampka. Czujnik dawał znać, że właz osobowy statku został otwarty.

Melduj teraz rzuciłem do Rivy.

Moment był krytyczny. Jak długo Phobos” znajdował się w bezprecedensim s-

siedztwie Proximy”, nie mogłem zablokować automatów celowniczych w pozycji pierścieniowego ostrzału ciągłego. Z kolei, aby zabrać Krosvitzę, Riva musiał

podjechać pod windę i zatrzymać się. Wystarczyłaby teraz jedna czarna pigułka, podrzucona po przeciwnej stronie statku, w polu zakrytym przed oczami” celowników pojazdu, a cała zabawa mogła

się zacząć od nowa.

Właz otwarty donosił Riva. Klatka w ruchu. Podjeżdżam. Widzę Krosvitz. Jest już na dole. Stopuję.

Wstrzymałem oddech. Chwilę panowała cisza. W nawigatori co się poruszyło. To Thorns sięgnął po kubek z płynem.

Pomyślałem, że operacja trwa odrobinę za długo. I w tej samej chwili usłysza-
łem spokojny głos:

Ustal kierunek na radarze. I zajmij się centralką.

Odruchowo wyciągnąłem rękę w stronę pulpitu. Równocześnie przebiegłem spojrzeniem ekrany. Umiechnąłem się. Teraz dopiero dotarło do mojej wiadomości, że słowa Rivy nie były skierowane do mnie. Krosvitz zajął już miejsce w kabinie Phobosa”. Pojazd wrócił na swoją naziemną orbitę”. I nic się nie stało.

Odchodzę na północny zachód zabrzmiał nagle nowy głos. Podaję współrzędne...

*

Kiedy na ekranie radaru ukazał się róbek seledynowej nitki, wytyczającej drogę pojazdu, zająłem się celownikami. Wreszcie mogłem spokojnie odetchnąć.

Ludzie na pokładzie byli bezpieczni. Jeli w sąsiedztwie statku pojawi się najmniejsza kruszyna, ład jakiegokolwiek podejrzanego ruchu, celowniki Proximy” w ciągu tysięcznych części sekundy przelś miotaczowi sygnał otwarcia ognia. A nie ma takiej konstrukcji, białej czy czarnej, płaskiej czy kulistej, która

oparłaby się antyprotonom. W całym naszym wszechwiecie.

Wstałem, raz jeszcze odruchowo sprawdziłem blokadę i przeszedłem do dużej salki. Udałem się prosto do stołu. Zdawało mi się, że znajduję jakiś nowy smak w znanych do znudzenia kostkach koncentratu. Wypiłem chyba dwa litry płynu.

I, o dziwo, przy milczącej aprobacie butlera.

O Riwę mogłem się nie martwić. Mały miotacz był trafnie zaprogramowany.

Ludzie, kiedy do nich dotrś, będą tak samo odrętwiali i półprzytomni jak ci tutaj. Komory Phobosa” pomieszcż bez trudu całś dziewiątkę. Pozostanie tylko jeden newralgiczny moment: wprowadzenie pojazdu przez właz transportowy do wnętrza Proximy”. Ale tym będę się kłopotał w stosownym czasie.

Od strony, gdzie leżał Thorns, znowu dobiegł jakiś dźwięk.

Odwrociłem się. Zawieszony oburącz na lewej poręczy, usiłował podcisnąć się i usztywnić oparcie. Podszedłem i pomogłem mu. Spojrzał na mnie nieprzytomnie i umiechnął się blado.

Masz miś pracę wyszeptał.

Położyłem palec na ustach.

Musisz jeszcze odpocząć powiedziałem. Póniej pogadamy.

Uniósł się trochę i spojrzał mi w oczy.

Mogę mówić owiadczył. Jego głos zabrzmiał odrobinę raniej.

Przytaszczyłem fotel spod pulpitu i usiadłem koło niego.

Jak się czujesz? spytałem. Było to jedno z celniejszych, pytań, jakie udało mi się w życiu zadać.

Poczekaj szepnął. Sięgnął do pomocnika po kubek z płynem, omal nie strącając przy tym całego zbiorniczka. Nie poruszyłem się. Pozwoliłem, żeby sam sobie poradził. Potrzebował tego teraz bardziej, niż czegokolwiek innego.

Pił długo, drobnymi łyżkami. Grdyka poruszała mu się tak, jakby za chwilę miała wyskoczyć z wychudłej, pomarszczonej szyi.

Wreszcie odstawił kubek.

Chod bliżej powiedział, robiąc ruch głową. Pochyliłem się.

Milczał jeszcze przez chwilę. Kiedy w końcu przemówił, jego głos zabrzmiał

niemal normalnie:

Cywilizacja rozwinięta... typu technologicznego. Starsza od naszej o jakie pół miliona lat. Robiłem pomiary, zanim... urwał. Odwrócił wzrok i mó-

wił dalej:

Łączność podprogowa. Majś... majś... zaciśł się.

Daj spokój powiedziałem. Wiem, co majś. Widziałem.

I tak na razie nic nie możemy zrobić. Wszystko dokładnie omówimy. Mamy mnóstwo czasu. Bicie sześć lat. Obecnie musicie jak najprędzej przyjść do siebie.

Będę ci wdzięczny, jeli mi w tym pomożesz umiechnąłem się.

Znowu uniósł się o kilka centymetrów. Niemal usiadł. Przez chwilę przyglądał

mi się badawczo, po czym poważnie skinął głową. Rozejrzył się.

Gdzie reszta? spytał.

piś w hibernatorach powiedziałem. Cali i zdrowi.

Zostawię... tylko mnie?

I Ann mimo woli zniżyłem głos. Poczekamy, aż wasze rany się zabliżą.

Znowu omiół wzrokiem nawigatornię. Uniósł brwi.

Gdzie ona jest?

W sterowni. pi wyjaśniłem.

Pomyślał chwilę i spuszczając wzrok, wyszeptał: Czy... czy ona pamięta?

Wyprostowałem się. Położyłem mu rękę na ramieniu.

Nie wiem, o czym mówisz powiedziałem z naciskiem. Ale nie pamię-

ta. Żadne z was nie pamięta niczego. Ty też. Poza faktami, dotyczącymi tutejszej cywilizacji. A tych zdobylicie, niestety, niewiele.

Chwilę wpatrywał mi się w oczy, jakby sprawdzał, czy mówię serio. Jego wzrok stopniowo łagodniał. Mruknął co, czego nie dosłyszałem, uniósł lewą rękę i położył dłoń na mojej, spoczywającej na jego prawym ramieniu. Poczulem lekki ucisk wychudłych palców.

Jeste porządny chłop, Thaal powiedział bez umiechu. Cieszę się, że to właśnie ty...

Urwał i uniósł twarz, jakby sobie o czym przypomniał.

Była na Heliosie"? spytał innym tonem.

Uhm. To twój skafander?

Tak.

Wolałem o więcej nie pytać. Jasne, że nie rozdarł go przełaząc przez płot.

Przed tobą był tam Areg. Wiedzieli o tym?

Przytaknął ruchem głowy.

Sam go tam posłałem. Ale nic nie wskórał. Nie mógł.

Nie mógł zgodzić się. Nie męczycie cię mówienie?

Mężczy mnie cisza.

Znaleliśmy Collinsa. Niestety, nie żył. Pochowaliśmy go w pobliżu ich bazy. Tam jest całe podziemne miasto...

Wiem przerwał. Byłem tam.

A więc jednak.

Uległ wypadkowi... szepnął Thorns, patrząc mi przenikliwie w oczy.

Zrozumiałem. Przyjść moją grę. To znaczy, że nie myliliśmy się. Gospodarze bazy nie mieli nic wspólnego z wypadkiem” Collinsa.

Krosvitz pojechał z Rivš, moim towarzyszem z Korpusu, po resztę powiedziałem. Niedługo powinni wrócić. Zaraz potem będziemy startować. Mo-

żesz być potrzebny w czasie manewrów. Wobec tego teraz powiniene się jednak przespać. Wemiesz tabletki?

Połknął je i głowa mu opadła. Przykryłem go pledem i poprawiłem opatrunek na jego ramieniu. Sprawdziłem także zestaw neutralizatorów i przekaników.

Końcówki zasilaczy, odżywiających bezprecedensowo układ krwionony i włókna nerwowe.

Kiedy skończyłem, spał już spokojnym, zdrowym snem. Oddychał równo, głęboko. Nie gorączkował. Z kolei zająłem się Ann. Nie próbowałem z nią mówić.

Nie dopuściłbym do żadnej rozmowy, nawet gdyby sama chciała. Była wyczerpana bardziej niż Thorns. Potrzebowała dłuższej kuracji. Kto wie, jak dłużej.

Jeli

jednak pamiętała, jak o to pytał szef załogi Heliosa”...

Automaty lecznicze i zasilające, podłączone do jej organizmu, pracowały bez przerwy. Kiedy podszedłem, uniosła powieki i obrzuciła mnie nieprzytomnym spojrzeniem. Natychmiast jednak znowu zapadła w płytką, gorączkową drzemkę.

Pomyślałem o jej siostrze. O jej niemiałym, jakby chłopięcym umiechu.

O subtelnych rysach jej twarzy i króciutkiej spódnicy. Lina... Powiedziała, że Ann jest ładniejsza od niej. Tak jakbym tylko dlatego miał zwlekać z rozpoczę-

ciem akcji pacyfikacyjnej, żeby ocalić kobiecą urodę.

Przyjrzałem się jej uważniej. Nawet zawodowy portrecista nie potrafiłby, powiedzieć, czy ta twarz

była kiedy naprawdę młoda i ładna. Zobaczymy za sześć lat. Do tego czasu będzie wyglądać jak dawniej. Wtedy powiem Linie, czy...

I nagle znowu przyszedł mi na myślenie Uster. A zaraz potem to, co muszę zrobić.

Sam. Nikt nie ma się prawa do tego wtrącać. Żaden z nich. A tym bardziej nikt z mojej ekipy. Z Korpusu.

*

W tym momencie w sterowni zabrzmiał sygnał wywoławczy. W kilka sekund znalazłem się przed pulpitem. W górnym rogu pulsowało wiatelko.

Widzę wiatła kordonu mówił Krosvitz. Zajmij się miotaczem.

Odblokowałem automaty. Nie musiałem się pieszyć. Widziałem ich na ekranie. Mieli jeszcze dobre piętnacie minut jazdy.

Zabralicie wszystkich? spytałem.

Omiu. Jednego zostawiliśmy koło bazy.

Kto?

Areg. Powiesił się na przewodzie własnej butli tlenowej.

*

Godzinę później szkliwo, jakim pokryta była kotlina otoczona masywami skał, rozgorzało różnymi purpurami. Refleksy w ekranach zmieniły się w błyskawice.

Z dysz buchnęły płomieniste chmury, aż raptem cały widnokrąg przeszył krzaczasty błysk, jakby pod statkiem w ułamku sekundy weszło słońce. Dno niecki, opasujące już ciany starego krateru, wykrojone nagle z czerni pionowe nawisie mury pięciotysięczników, wszystko to stanęło w blasku dnia. Błękitne lampki kordonu dawno już utonęły w ogniu, jak krople w oceanie. Wieżyczki, trafione podmuchem anihilacji, przestały istnieć. W słoneczną, złotą biel wdarła się fala gorzej-

cego fioletu. Pod rufą rozszedł się powoli płomienisty rozryw. Grzmot, odbity od

skalistych cian, wrócił i ogłuszył małą gromadkę ludzi, spokojnie obserwujących ekrany i wskazania czujników.

Wszystko to nie trwało dłużej niż minutę. W następnej grzmot poczł się oddalać i cichnąć. Dziób statku odchylił się niedostrzegalnym dla oka łukiem od osi

startu. Na tarczy tachdaru pojawiła się seledynowa nitka namiaru. U jej celu leżał

krążący nieruchomo wokół globu, na kształt martwego satelity, porzucony przez ludzi Helios”.

*

Równocześnie czterysta kilometrów dalej na południe trzy potężne cygara wykonały identyczny manewr. Pozostała po nich kipiela rozpalonego piachu, zastygającego powoli w szkliste bąble.

Ludzie opuszczali drugi księżyc trzeciej planety Alfy. Opuszczali go, choć tak niewiele brakowało, a zostaliby tu na zawsze. Teraz spali w hibernatorach, aby obudzić się w pełni sił, po roku powrotnego lotu do domu. Tylko dwoje z ocalałych pozostało w kabinach, samotnych ze swoimi myślami i uczuciami. Co do innych, czuwających przy automatach... Cóż. Wpojono w nich, że tam, gdzie w grę wchodzi działanie, tam nie liczą się uczucia. A od dziecka, a nawet zanim jeszcze przyszli na wiat, przeznaczono im właśnie to jedno. Działanie.

Rozdział 10

ANATOMIA CZŁOWIEKA

Kto zapukał do drzwi.

Wchodziliśmy w szesnaste okrążenie Dziewięstej, jednej z granicznych planet systemu słonecznego Alfy, ostatniej, na jakiej nasz zwiad fotogeologiczny wykrył

obecność ziem rzadkich. Po upływie niespełna dwóch godzin Helios” i Proxima”, które lądowały tutaj dla uzupełnienia zapasów paliwa, miały spotkać się z nami na orbicie.

Proszę rzuciłem, nie odrywając wzroku od pulpitu. Wszedł Krosvitz.

Chwilę marudził przy drzwiach, wreszcie przeszedł przez kabinę i stanął za moimi plecami.

Poczekaj minutkę mruknąłem, nie odwracając się. Już kończę.

Rzeczywiście byłem akurat przy ostatnim wzorze. Pracowałem bez przerwy jedenacie godzin. Teraz tylko sprawdzałem wyniki. Trajektorię lotu, przyspieszenia i korytarze znałem już niemal na pamięć.

Automat zabrzączał cichym, przerywanym sygnałem, wyrzucił na ekran rozwiązanie wybranego wariantu i umilkł. Chwilę wpatrywałem się w zapis. Mocny, harmonijny wzór. Jak ostatni akord symfonii. Jeden z tych, za jakie każdy redniowieczny matematyk zapisałby duszę diabłu.

Wyłączyłem komputer i odwróciłem się z fotelem.

Lecisz na Trzeciś stwierdził raczej, niż zapytał Krosvitz.

Kto ci powiedział?

Thorns. Kilka minut temu...

Umilkł. Odczekałem chwilę, po czym spytałem: Lecę. O co chodzi?

Po Ustera?

Powiedzmy, że po Ustera. Masz co przeciwko temu? sam się zdziwiłem, ile zniecierpliwienia zabrzmiało w moim głosie.

Potrząsnął głową.

A co będzie z nami?

Nic rzuciłem. Poczekacie tu na orbicie dwadzieścia dni. Ani minuty dłużej. Jeżeli do tego czasu nie wrócę, wemiecie kurs na Lunę.

Przybliżył się o krok. Stał teraz tuż nade mną, tak, że chcąc spojrzeć mu w oczy, musiałem zadzierać głowę.

Siadaj powiedziałem.

Nie poruszył się. Milczał tak długo, że zaczęło mnie to już naprawdę drażnić.

Wreszcie owiadczył:

Polecę z tobą.

Nie.

Skinął głową, jakby się tego spodziewał. Odwrócił się, zrobił kilka kroków, następnie znowu przystanął i utkwiał we mnie wzrok. Nie był wzburzony.

Ja czekałem na tę chwilę powiedział spokojnie. Sześć lat. Miałem zadanie. Nie wykonałem go. Byłem razem z Usterem. Jeli kto ma prawo...

Ja też otrzymałem zadanie przerwałem. I jak dotychczas nie idzie mi najgorzej.

Przyjść to bez protestu. Wiedziałem, o co mu chodzi. Ale obydwaj mieliby własne rachunki. A poza wszystkim, byłem tu w końcu dowódcą.

Główny cel ekipy został osiągnięty. I to bez względu na to, czy uda mi się odnaleźć Ustera, czy nie. Po jednym facecie z Korpusu nikt nie zapłacze się na mierć. Tak już jest.

Jeszcze tylko jedno zostało do zrobienia: pouczenie mieszkańców trzeciej planety Alfy, że z ludmi należy postępować przyzwoicie. Można ich nie kochać. Ale w takim razie, trzeba ich się bać.

To prawda, że Krosvitz ma prawo uczestniczyć w tym ostatnim akcie pierwszego wypadu człowieka w rejon obcej cywilizacji. Mimo to postanowiłem, że będzie inaczej. Nie zmienię programu

automatów celowniczych, zanim sam nie dotknę stopš ich macierzystej planety. Nie obejrę z bliska tych miast wyrastajš-

cych z kwietników. Nie zrobię wszystkiego, aby wycišgnš stamtšd Ustera. Co do tego ostatniego, nie próbowałem w siebie wmawiać, że chodzi o naszš dawnš przyjań. To znaczy, tylko o niš. A jednak była to moja i wyłącznie moja sprawa.

Wstałem i podszedłem do Krosvitza.

Mamy dwudziestu szeci u ludzi na Proximie” powiedziałem pojed-nawczym tonem. Z tego dwudziestu czterech w hibernatorach. Wiesz, w jakim sš stanie. Kto musi być przy nich. Zostanie Snagg. Riva wemie Urana” i jeden ze statków satelitarnych. Najprawdopodobniej Merkurego”. Ty będziesz się musiał przesišć na Heliosa”. Nie można zdalnie pilotować całej eskadry. Masz jeszcze co do powiedzenia?

Dobrš chwilę milczał, wpatrujšc się we mnie nic nie mówišcym wzrokiem, w końcu wzruszył ramionami.

Mam. Ale sam wiesz, że to niczego nie zmieni.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z kabiny. Odprowadziłem go spojrzeniem.

Nie uwierzył. Oczywiście. Na jego miejscu zachowałbym się zapewne podobnie.

I nic dziwnego. Bylimy tacy sami. Bliżsi sobie niż bracia bli niacy. O jednym tylko nie wiedział. Że kiedy, wiele lat temu, w kręgu psychotronu centrali, dokonałem wiwisekcji na automatycznej korekturze homeostazy. Zepsułem sobie idealnš równowagę ducha. Po to, żeby zachować pamięć czego, co nie mieci-

ło się w kategoriach już nie tylko regulaminu inforpolu, ale i sposobu mylenia każdego z tysišca jego członków: uczucia.

*

Dokładnie dwie godziny po tej rozmowie, która niczego nie wyjaniła, bo nie mogła wyjanić, byłem gotów. Energetyczne grodzie Heliosa” i Proximy” wy-pełniał wieży zapas lantanowców, wystarczajšcy dla lotu do Budorusa i z powrotem. To z powrotem” nie wchodziło, rzecz jasna, w rachubę.

Wszystko było już omówione. Tak jak zapowiedziałem Kroswitzowi, mieli czekać tutaj, na granicy obszaru Alf, nad globem nie większym od Plutona i równie mało przytulnym, dwadziecia dni. Termin aż nadto długi, bioršc pod uwagę przyspieszenia, osišgane przez zespół napędowy Kwarka”, rakiety bojowej, przeznaczonej w zasadzie do lotów bezzałogowych. Zostawiłem sobie trzy dni na penetrację powierzchni planety. Zresztš nawet gdybym się z jakich powodów zasiedział dłużej, mogłem sam wrócić do bazy. Rezerwy energetyczne statków satelitarnych były praktycznie niewyczerpane. Tyle że bite szeć lat miałbym spę-

dzień w zaimprovizowanym fotelu, przed pulpitem nawigacyjnym. Na pokładzie Kwarka” nie było hibernatora. Ani nawet umywalni. Przeniosłem tylko z Heliosa” jeden syntetyzator koncentratów odżywczych.

Nie żegnałem się z nikim. Siedząc już w kabinie pilota, umieszczonej w samym niemal dziobie, tuż za wylotem głównego miotacza, połączyłem się z Proximś”.

Baza potwierdza odbiór meldunku o starcie z drugiego satelity Trzeciej
owiadczył Snagg. Hiss pyta, czy przetrzepiesz im skórę.

Komu?

Zamiał się, po czym powiedział:

Nie poznaję ich. Opublikowali komunikat z naszymi nazwiskami.

Uciskaj ich ode mnie rzuciłem. Powiedz, że się popłakałem. A przy okazji spytaj, co zrobiś z tym pięknym pomnikiem na Everecie? Melduj do-dałem szybko.

Podał mi jeszcze raz apogeum równikowej orbity, na jakąś wyszły wszystkie statki. Tachdar nie wykazywał ładunku obecności w rejonie Dziewiśtej jakichkolwiek sztucznych obiektów. Promieniowanie w normie.

Obejmujesz dowództwo, Snagg. Schodzę z orbity powiedziałem, uru-chamiając generatory głównego ciśgu.

Tak, Al jego głos brzmiał nadal czysto i mocno, pomimo charakterystycznego organowego akordu, jaki wypełnił nie wytłumioną kabinę. Thorns cię pozdrawia.

Dziękuję mruknąłem. Powiedział jeszcze co, czego nie dosłyszałem.

Po chwili znowu. Tak, jakby rozmawiał z kim trzecim.

Ann również owiadczył wreszcie. Prosi, żeby na siebie uważał.

Nie znam nic bardziej pożytecznego niż dobre rady. Nie wiem doprawdy, co bym bez nich zrobił.

*

Dobra, sprawna rakietka. Ale człowiek był w niej intruzem. Statek dawał to poznać każdym kolejnym manewrem. Przez najbliższe minuty miałem okazję do-

wiadczyć wszystkiego, co musieli znosić piloci pierwszych statków księżycowych. Przeciśnięcia jak na poligonie, pod koniec ostatniego kursu. Wgniotło mnie w fotel, na klatkę piersiową spoczął dwustukilowy ciężar, zmętniałbym wzrokiem nie ogarniałem wskazań czujników, nie było mowy o doprowadzeniu do końca jakiegokolwiek myśli poza jedną: żeby się to raz nareszcie skończyło.

Potrzyma-

ło mnie tak dobre dziesięć minut. Inna rzecz, że startowałem niemal pionowo, jak z powierzchni lądu. I jednym cięgiem, bez najkrótszej chociażby aklimatyzacji etapowej, wszedłem w szybkość podróży. Zwykle unika się tego w obszarze układu planetarnego. Pełno tam zawsze meteorów, odprysków starych planet i satelitów, jakich zabłskanych asteroidów. I chociaż okolice Alfy były pod tym względem bez porównania czystsze niż sąsiedztwo naszego słońca, wolałem nie ryzykować. Wszedłem wysmukłszy parabolę z płaszczyzny ekliptyki, dokładnie tak, jak przewidziałem w programie lotu. Neuromat Kwarka” działał bez zarzutu.

*

Czwartego dnia osiągnąłem cel pierwszego etapu. Znowu dowiadczyłem pionierskich rozkoszy, tym razem w związku z pracą hamownic. Na orbitę wszedłem jak po sznurku. Wyłączyłem silniki i przeprowadziłem pomiary. Przede wszystkim wysłałem dwie sondy. Minęło trzydzieści minut, później godzina, a automat w dalszym ciągu rejestrował ich meldunki. Ale też glob, nad którym zawisłem na wysokości stu dziewięćdziesięciu tysięcy metrów, nie był satelitą Trzeciej.

Nie

był również planetą. Wybrałem pierwszy księżyc Czwartej. Głównie dlatego, że jak wskazywały pomiary i tak w okresie najbliższych stuleci miał wejść w strefę Roche'a. Dawało to pewność, że nie instalowali na nim baz załogowych, najwyżej jakie radiolatarnie czy automatyczne instrumenty badawcze.

Pobyłem na orbicie tak długo, ile było trzeba, aby nabrać pewności, że ich stacje sygnałowe zdążyły mnie wyleźć i przekazać mieszkańcom systemu wiadomość o powrocie jednej z ziemskich rakiet. Potem zająłem się miotaczem.

Nie był to duży glob. Mniej więcej sześćdziesiąt razy mniejszy od Luny.

I znacznie starszy. Ale kiedy, odszedłszy na bezpieczną odległość, wystrzeliłem w niego cały jednorazowy zapas energetyczny wszystkich akceleratorów Kwarka", myślałem, że jestem wiadkiem wybuchu supernowej. Martwy od milionów lat, wysuszony do cna, pozbawiony nawet kraterów satelita przypominał sobie wieki gwiazdowej wietnoci. Rozgorzał jak słońce w straszliwych wybuchach plazmowej protuberancji, powiększając swoją objętość niemal dziesięciokrotnie.

Piękna mierz. I szybka. W ciągu najbliższych nie lat, ale dni rozpadnie się jak ze-schły, wypalony owoc, zdobiesz macierzystą planetę barwnym, jeli patrzeć z odległości milionów kilometrów, piercieniem krystalicznych okruchów.

Nie czekając na to, w dosłownym znaczeniu, uwieńczenie własnego dzieła zniszczenia, przesłałem krótki meldunek Snaggowi i wziąłem bezprecedens kurs na Trzeciś. Jak dotąd, wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Zostali uprzedzeni. Jeżeli nie chcesz, aby ich planetę razem ze wszystkim, co na niej stworzyli, spotkał ten sam los, co martwego satelitę Czwartej, powinni być grzeczni. Skąd mieli wiedzieć, gdzie kończą się możliwości przybyszów. Nie znali antymaterii. To wydawało się pewne. Inaczej dawno już uporaliby się z nami.

Prędko i higienicznie.

*

Obraz oglądany w ekranie czołowym rozmazał się, pokryła go barwna, po-pękana mozaika. Tak wyglądał przelot płomieni tryskających z hamownic. Wprasowany w twarde fotel, na pół przytomny, pierwszy raz w kabinie pozbawionej automatów wyrównawczych i pierwszy raz po przeszło szecioletniej przerwie wchodziłem w atmosferę.

Granat firmamentu spłóviał i roztopił się w słonecznej bieli, ale zanim to nastąpiło, gwiazdy zaczęły filować. Pierwszy sygnał, że nie jest się już w próżni.

Pode mną rozpostarł się dywan chmur jak powierzchnia mlecznego jeziora lekko zmarszczona od wiatru. Ułamek sekundy i ich strzępy, nagle rozpłomienione, przeleciały wzdłuż iluminatorów.

Teraz, na jedno mgnienie, uderzyłem dyszami głównego ciśgu.

Zaraz potem zmieniłem napęd na chemiczny. Kwark” ciężkim łukiem wyrwał się z lotu koszącego i przeorał niższe warstwy obłoków wszedł w niemal poziomy lizg.

*

Srebrzystą łuską lśniła powierzchnia oceanu. W oddali zarysowała się regularna, aż zbyt regularna linia brzegu. Już byłem nad nią. Szybkość lotu wciąż jeszcze za duża dla jakichkolwiek bezpośrednich obserwacji. Pomimo to przybliżyłem i powiększyłem obraz na bocznym ekranie. Szczyty, przełęcze, niteczki rzek i nagle pierzchające obrzeża dolin przewalały się barwnymi pasami. Góry pociemniały, po czym raptem zapadły w głąb. Otworzyła się nieobjęta wzrokiem równina. Leciałem prosto na wschód, wzdłuż równoleżnika, odpowiadającego mniej więcej ziemskiemu zwrotnikowi Koziorożca. Ponownie wpadłem w noc. Przez najkrótsze mgnienie, tam gdzie planeta wygasła wśkim, jakby narzuconym na powierzchnię pasem cienia, wypatrzyłem mrowisko drobniutkich wiatel. Wyglądało z góry jak jedna lampka, przykryta miniaturową siatką na motyle. Nie inaczej

przedstawiały się ziemskie miasta na nocnej półkuli, kiedy podchodzi się do lądowania. Potem, już w

zupełnym mroku, który bezskutecznie usiłowały rozproszyć tarcze dwóch księżyców, dających w sumie mniej światła niż nasza Luna, kilkakrotnie jeszcze mignęły mi podobne skupiska wietlików. Ale postanowiłem już, że będę lądował przy tym pierwszym, tam gdzie teraz jest wit, zaraz za linią gór

odgradzających brzoźszą miedzą rozległą równinę od przymorza.

*

Kiedy promienie słońca ponownie trafiły w soczewki iluminatorów i przestrzeliły ekrany, znajdowałem się na wysokości nie przekraczającej dwunastu tysięcy metrów. Mniejszą brzoź oceanu poszedłem w dół, aby przemknąć nad czubami górskiego pasma uderzyć pionowym słupem w niebo. Bez błędnie.

Kwark” znieruchomiał, zawisł jak wyrzucona w powietrze wieża, ziejść ogniem otwartych dysz rufowych prosto w niewielką kotlinę, porożu której widniały wypiętrzenia smukłych zabudowań.

Schodziłem spokojnie, nie przyspieszając, jakbym dawał pokaz pilotażu. ciany kabiny jęczały, obudziło się w nich wibrujące granie, z wytłumieniem stanowczo nie było najlepiej, ale mimo to w pewnej chwili uderzyła mnie nagle niezwykła cisza. Chwilę wytrzymałem słuch, wreszcie zrozumiałem. Niepojęte dla ziemskich komputerów sygnały nadajników, jakimi posługiwali się mieszkańcy układu Alf, sygnały, do których przywykliśmy tak, że żaden z nas już ich w gruncie rzeczy nie słyszał, urwały się jak nożem uciśł. Wiedzą przemknęło mi przez myśl.

Tak jakbym potrzebował i tego jeszcze sprawdzianu. Ogłosili ciszę radiową. Do-kładnie tak samo postępujemy w naszych bazach planetarnych lub satelitarnych, kiedy grozi niebezpieczeństwo i kiedy cały eter czeka na jeden jedyny sygnał

alarmu lub komunikat odwołujący pogotowie.

Lśdowałem. W ekranach widziałem już wyrwanie czarne smugi, rozbiegaj

ce się z miejsca trafionego odrzutem. Jeszcze jedna, ostatnia korekta wprowadzona przez zespoły kierunkowe neuromatu, tak nieznaczna, że kto mniej obyty z lotami nie byłby w stanie niczego zauważyć i z hukiem plazmowego huraganu zmieszał się dźwięk, zawsze przyjazny: zgrzyt wypuszczanych z kadłuba kratownic z ogromnymi teleskopowymi amortyzatorami. Wszystkie ekrany zasnuły się w jednej chwili kłębamii ognia i dymu, grunt był tuż, niemal fizycznie czułem, jak

drży, darty strumieniem gazów, wreszcie nadszedł ten jeden cios, krótki, pewny, jak uderzenie ołowianej kuli padającej na piasek. Stałem.

*

Natychmiast, nie spuszczaając oka z okienek wskaników, z palcami lewej dłoni zawieszonymi nad kontaktami, wysłałem kod Snaggowi. Odbierze, jak dobrze pójdzie, za kilkanacie minut. Ale nie pozwoliłem mu potwierdzać odbioru. Nie chciałem am na sekundę tracić z pola widzenia tego, co działo się tutaj.

Na razie jednak nie działo się nic. Chmura wzniecona przez odrzut siadającej rakiety opadała szybciej, niż mogłem przypuszczać. Ekrany przecierały się z każ-

dś chwilš, błysnęł najpierw skrawek nieba, błękit, czysty, bez żadnych domieszek,

potem ukazały się chmury, wreszcie pod nimi zalniły promienie słoneczne, odbite od szczytów strzelistych, powleczonych jakby barwnym szklivem budowli.

Mogłem sobie postawić niezłš notę. Siadłem mniej więcej półtora kilometra od pierwszych konstrukcji miasta.

*

Znałem to miasto. Może nie to. Takie miasto.

Taka sama kwiecista łska. Bez ladu linii przesyłowych, torów i dróg. cielš-

ca się do stóp olbrzymich, odwróconych stożków lub owalnych, lecz niesłychanie wydłużonych wież, opasana niskimi górami, jakby zwiřzonymi promienicie z wierzchołkami napowietrznych konstrukcji. Po mistrzowsku wkomponowano to miasto w krajobraz. Łska, dokładnie tak jak na obrazie wywietlonym nam wówczas w podziemiach, przemykała pod nim, opływała punktowe podstawy budowli i biegała szerokim przewitem dalej, nie tracąc nic ze swojej soczystej bujności i wieżoci kolorów.

A jednak było to inne miasto. Film, jeli program wprowadzony w projektory pozostawione na drugim satelicie można nazwać filmem, zrobiono z tej samej mniej więcej perspektywy, z jakiej teraz patrzyły” kamery Kwarka”. Ale tamto miasto było większe, jego wieże i stożki wznosiły się wyżej, więcej łączyło ich dróg, przypominających fantazyjnie rozrzucone karnawałowe serpentyny.

Oczywiście nie liczyłem na to, że odnajdę oryginał obrazu wybranego przez mieszkańców planety, aby reprezentował ich cywilizację. Nie było mi to zresztą do niczego potrzebne.

Wydawało się oczywiste, że rozwinęli tylko dwa rodzaje komunikacji: powietrzną i podziemną. Jakie koleje grawitacyjne i tym podobne. Mniejsza z tym.

Obchodziło mnie tylko to, jaki użytek zrobisz ze swojej łączności. Byłoby z mojej strony szczytem naiwności szukać miejsca, gdzie trzymali Ustera. Nawet gdybym tam wreszcie jakim cudem trafił, musiałoby mi to zająć lata. Planeta jest mniej więcej rozmiarów Marsa.

Nie. Niech mi go przylś tutaj, gdzie wylądowałem. Z powietrznej komunikacji nie zechcś chyba skorzystać. Podczas obydwóch okrżeń globu ani razu nie dostrzegłem ładu maszyn latających. Przyczaili się. Proszę bardzo. Nie moja rzecz, jak to zrobisz.

Na szczęście miałem do czynienia ze społeczeństwem zintegrowanym. Nawet jeśli w swojej ekspansji kosmicznej nie przekroczyli dotychczas progu własnego systemu słonecznego, to choćby tylko ze sposobu zasiedlenia okolicznych planet przebijała prawda o ich dynamice społecznej. Zupełnie inaczej poczynalaby sobie rasa skłócona lub podzielona wewnętrznie. A skoro tak, to dla mieszkańców miasta, przed którym akurat stałem, porozumienie z orodkiem, gdzie przebywa Uster, będzie tylko kwestią czasu. Oczywiście, jeśli żyje. Gdyby miało być inaczej...

Wolałem o tym nie myśleć. Na razie.

Nie pieszć się, wstałem i przeszedłem do luzu. Przygotowałem wszystko jeszcze przed odejciem z orbity Dziewiśtej. Jeden podręczny generator laserowy i projektor holowizyjny z pełnym zestawem kontaktowym. Ważył chyba z dziesięć kilo, ale umieciłem go na stelażu butli tlenowych. Te przynajmniej nie były

tu potrzebne. W luzie nie odezwała się ani jedna sprężarka. Nad górną krawędziś włazu wiecił napis: "Ziemia". Oto, jak łatwo oszukać automaty. Trochę helu, trochę argonu, szczypta dwutlenku węgla, niemal połowa tlenu i zaraz Ziemia". Ale automat brał pod uwagę jedynie przydatność powietrznej mieszanki dla pęcherzyków płucnych człowieka. A atmosfera była tutaj, trzeba przyznać, bez porównania lepsza niż na naszej macierzystej staruszce.

*

Kłapa windy opadła z jęklwym zgrzytem. Nie chcś ani na chwilę tracić z pola widzenia miasta i poprzedzającej go równiny, ustawiłem się tyłem do uchwytów. Właz był tuż pod dziobem, a rakieta miała pięćdziesiąt szeć metrów wysokości. Licząc razem z podporami, którymi wparła się w grunt.

Platforma znieruchomiała. Przebrzmiało ciche sapnięcie pneumatycznych amortyzatorów. Nie odczułem wstrząsu. Stałem na powierzchni Trzeciej planety Alf. Jeszcze niezupełnie. Jeszcze czułem pod stopami stal konstrukcji ziemskiego statku. Małś, owalną płytę windy. Jakby mnie zaczarował ten skrawek metalu lub przyssał podeszwy moich butów polem magnetycznym. Nie

wkładałem próż-

niowego skafandra. Tu nie był potrzebny. Na wszelki wypadek wziłem tylko kask z całym oprzyrządowaniem.

Spojrzałem pod nogi. Wypalona na kość gleba białała centymetry przed czubkami moich butów. Mimo to, kiedy wreszcie zdecydowałem się opuścić platformę, uniosłem stopę wysoko, jakbym przekraczał wysoki próg.

Teraz szedłem już nie zatrzymując się, aż grunt zmienił barwę, z bieli przeszedł w jasny brąz, w który wmieszał się fiolet, aż wreszcie zacząłem deptać żół-

kle, ocalone dła rolin. Jeszcze parę kroków i wkroczyłem w wysoką trawę.

Krąg martwej ziemi, po krytej miałkim, białawym pyłem, wszystkim, co zostało z łski trafionej ogniem lśdziejcej rakiety, został poza mną.

Przeszedłem już więcej niż kilometr, kierując się stale w stronę podstawy najbliższej budowli i ani razu nie spoglądając za siebie. Powietrzne estakady, opasujące splątanymi limacznicami wieże miasta, dawno już rozrosły się do rozmiarów owej rynn, której trzymał się Phobos” w czeluciach satelitarnej bazy. Ruchome żuki, jak je nazwalimy, osiągnęły wielkość ziemskich żyrobusew. Wypukłe ciany pierwszych konstrukcji wznosiły się stromo, musiałem zadzierać głowę, chcąc dosięgnąć wzrokiem ich wierzchołków.

Wtedy stanąłem. Powoli zsunąłem z ramion stelaż i rozłożyłem na trawie stojak projektora aparatury holowizyjnej. Rozpiąłem jego półkoliste skrzydła i usztywniłem je magnetycznymi tamami. Sprawdziłem zasilanie. Następnie odszedłem kilka kroków, ciągnąc za sobą kabel projektora. Sam aparat postawiłem na trawie, w zasięgu ręki.

Wtedy w obrazie miasta zaszła zmiana. W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, o co chodzi. Nie czekałem jednak długo na wyjaśnienie.

Ażurowe tarasy, pozornie zawieszzone w powietrzu na nie istniejących sieciach, strome spirale i limacznice dróg, wszystko to nagle opustoszało. Jeszcze kilkanaście sekund, jeszcze u wylotu jednej i drugiej pobocznic, mignęła wydłu-

żona sylwetka zapórnionego żuczka” i żywy, tętniący ruchem organizm miejski przeistoczył się na moich oczach w powiększoną do absurdalnych rozmiarów martwą makietę, obrazującą wizję awangardowej grupy urbanistów.

Podczas całego lotu i później już, kiedy metr po metr zbliżałem się do podnóża kompleksu gmachów, nawet przez myśl mi nie przeszło, że kto wyjdzie mi na spotkanie. Nie spodziewałem się jednak, że tak przede mną zrejterujesz. Brakuje tylko, żeby całkiem opucili miasto, podobnie jak postąpili z drugim satelitą,

nawiedzonym przez istoty z Ziemi.

A może takie włanie wyjcie dyktuje im przyjeta i obowiszujšca obyczajo-woć, etyka ich rasy? Može ich społecznoć wykształciła i narzuciła sobie prawo, stanowišce swego rodzaju parodię staroindyjskiej zasady nieprzeciwstawiania się złu? Prawo tak konsekwentnie od wieków przestrzegane, że nie mieli im się w głowie, aby można było od niego odstšpić, nawet wtedy, kiedy zło, jak chyba przecieź sšdzili, spotyka całš ich cywilizację?

W takim wypadku doprawdy mógłbym im tylko współczuć. Ale ta ostatnia hipoteza, ba, nie hipoteza nawet, lecz jakie pseudo-filozoficzne domniemanie, nie ma nic wspólnego z rzeczywistošć. I to co najmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze rasa kierujšca się takimi zasadami nigdy nie osišgnęłaby wielkoci.

Po drugie... ludzie. To co z nich uczyniło kilkuletnie przebywanie w kręgu tej cywilizacji.

Jeszcze raz przebiegłem wzrokiem frontowe budowle miasta, ich strzeliste bryły o litych, połyskujšcych pastelowo cianach. Kompletny bezruch. Cisza. Nigdzie wjazdu, drzwi, jakiegokolwiek otworu, który kojarzyłby się z czym takim jak okno.

Stałem tak już dobre piętnacie minut. Doć. Nic, tylko ta martwa obojętnoć wspaniałych form, cišgle to samo wrażenie ostatecznego opuszczenia.

Spokojnie, jakbym powtarzał regulamin, przystšpiłem do dzieła. W gruncie rzeczy cały czas czułem, że jestem pod obserwacją. Može setek par oczu. Može milionów. Powiedzmy, za porednictwem telewizji.

Wzišłem w ręce miotacz laserowy i, unosząc jego wylot pionowo w górę, zwolniłem spust.

Ku mlecznym, pierzastym obłokom trysnęły janiejsze od słońca nitki. Pochyliłem się do przodu. Wišzka promieni przecięła powietrze centymetry nad płaskš kopułš najbliższej budowli. Trzymałem miotacz pewnie, oburšcz przyciskając uchwyt do piersi. Kierunek ognia korygowałem ruchami całego ciała. Nie mogłem się pomylić.

Trzy punktowe uderzenia. Trzy dłuższe. Pauza.

Ostrożnie, milimetr po milimetrze naprowadzałem promieništš prostš w prze-

wit między cianami konstrukcji. Teraz musieli pojšć, że nie chodzi o atak. Że sygnalizuję.

Jeden krótki błysk jak sekundowy refleks potężnej soczewki, następnie dwa, trzy i tak do dziesięciu. Przerwa. I od początku.

Nic. Od kiedy pierwszy raz dotknšłem spustu, minęło dziesięć minut. Długich jak lata. Osiem razy przejechałem nasz system dziesiętny. Byłem w połowie dziewišttej serii.

Skończyłem, chwilę stałem jeszcze nieruchomo, ciskając krótkš rękojeć miotacza, wreszcie wyprostowałem się powoli i opuściłem ręce. Rzuciłem aparat przed siebie, w trawę. Upadł miękko, bezgłonie, jakby trafił na kupę pierza.

Łska była gęsta i bujna. Roliny bardziej mięsiste i wyższe niż nasze. Poza tym niezwykle elastyczne, a równocześnie jakby obłożone gębczastą masą. Kiedy szedłem w stronę projektora, poddawały się podeszwom moich butów jak puszysty dywan. Początkowo niewyczuwalnie, potem sprężycie i bez najmniejszego szmeru. Kiedy unosiłem stopę, natychmiast wstawały, prostowały łodygi, podobne do wysmukłych, rozdwojonych na końcu palców, tak że po upływie kilku sekund nie potrafiłbym już wskazać miejsca, gdzie przed chwilą spoczywała moja stopa, unosząca cały ciężar ciała.

Zatrzymałem się przed aparaturą holowizyjną i sprawdziłem ekranizację łą-

czy. Nie było żadnych przebiegów ani wpływów. Zwróciłem się do projektora. I wtedy kątem oka dostrzegłem, że w mieście co zaczyna się dziać.

Nie. To nie działo się w mieście. Przemknęło mi przez myśl, że ulegam halucynacji. Zamknąłem oczy.

Obraz zniknął. Czyli, że istniał w rzeczywistości. Pomimo że nie przypominał

żadnej ze znanych projekcji. Nie potrafiłem umiejscowić go w jakiegokolwiek konkretnej płaszczyźnie. Jakby mimo wszystko rzecz rozgrywała się tylko w mojej wyobraźni.

Widok miasta zatarł się, budowle i spinające je napowietrzne szlaki osnuła delikatna mgła. Wysoko na niebie, sięgając łukiem powyżej linii horyzontu, zarysował się pierścień kolorowej tęczy. Pozostał tak nie dłużej, niż było trzeba, aby

jego kształt dotarł do mojej wiadomości. Łuk zaczął się zacieniać, wielobarwny pierścień zbliżał się malejście, wbrew wszelkim prawom optyki. Równocześnie pasma fioletu, różu, złota i purpury wyostrzyły się. Niby przezroczyste, zaczę-

ły jednak przesłaniać wszystko, co znajdowało się za nimi. Pierścień czy raczej już unoszący się pionowo krąg podpłynął ku mnie łagodnym, ale niezbyt wolnym lotem. Wszędzie, gdzie w danym momencie patrzyłem, widziałem równocześnie i tę zwiniętą tęczę, i wyrwanie rysującej się w perspektywie miasta.

Znowu przymknąłem oczy. I znowu wszystko znikło. Pomyślałem, że mając aparaturę, zdolną pobudzić umysł człowieka do plastycznych wyobrażeń rozmaitych form, barw, konstrukcji, może nawet pojęć, na przykład wzorów. Ale w takim razie obraz zachowałby tę samą wyrazistość bez względu na to, czy miałem powieki otwarte, czy zamknięte. Nie.

Przestrzenna projekcja. Bez porównania bardziej przestrzenna” niż program zademonstrowany nam w podziemiach satelity.

Tęczowy limak przestał się zbliżać. Odruchowo postąpiłem kilka kroków do przodu. Czułem pod stopami łagodną sprężystość łąski. Aparatura projektowa została za moimi plecami, zapomniałem o jej istnieniu.

Gdzie daleko, jakby w innej rzeczywistości, czekała moja rakietka z otwartym włazem i gotowa unieść mnie przy najbliższym dotknięciu platformy windy.

Piercień, nieruchomy teraz, jakby równoległy w czasie do całego wycinka obcego wiata, jaki miałem przed oczami ale tylko w czasie nie był martwy.

Przeciwnie. Jego barwy przemawiały tak, jak przemawia kolor oczu człowieka.

Pozornie niezmiennie te same, przecież wyrażały co, i czułem, że mogł wyrazić bardzo wiele.

Nagłym ruchem sięgnąłem do kryzy skafandra i odrzuciłem kask. Upadł kilka metrów dalej, równie bezgłonie jak przed chwilą ciężki generator miotacza. Poczułem wiatr. Właciwie powiew, dotykający tylko skóry na policzkach i koniuszkach włosów. Głęboko zaczerpnąłem powietrza. Było niezwykle lekkie i orze-

wiające. Wydawało mi się, że czuję jego smak na języku i podniebieniu. Ale to tylko zapach. Teraz dopiero odkryłem, że łska wydziela woń dorodnych, aroma-tycznych jabłek. Cierpką, a równocześnie jakby słoneczną.

Utkwiłem wzrok w trwających nieruchomo piercieniach tęczy. Raptem zauważyłem zbliżające się do jej zewnętrznego kręgu szpiczaste ostrze czarnego klina. Przez mgnienie krawęd łuku zachowała jeszcze niezmięcony profil. Nagle prysła, rozpękła się pod dotknięciem czarnej klingi, w ułamku sekundy fiolet ze-wnętrznego pasa zmętniał, zbladł, poszarzał jak szlachetna tkanina polana stężonym kwasem. A ostrze nieubłaganie szło dalej, przeniknęło pas fioletu i pogrążyło

się w sąsiadującej z nim słonecznej żółci. W jednej chwili spotkał już ten sam los,

co barwę skrajnego piercienia, nie było już granicy, tylko jedna zmętniała szarość, z której uciekło życie. Klin rozdzierał już tkanki purpury. Nie potrafiłbym

powiedzieć, skąd się wziął. Najwyraźniej rysowało się jego szpiczaste zakończenie, atakujące tęczę, dalej kontury nie były już tak mocne, wreszcie, niepostrze-

żenie, jednoczył się z tłem, jakie stanowiła spowijająca miasto mgiełka.

Po całym wielobarwnym kole pozostała szara, potargana, jajowata tarcza.

Nikt, kto nie był wiadkiem odegranej przed chwilą sceny, nie odgadłby, jak wyglądała jeszcze dwie minuty temu. I nie to było najgorsze, że unicestwiono piękno, wyrażone w przedziwnej trójce kolorów. Tamta tęcza żyła. Zademontrowano mi historię zagłady. I nie trzeba było wielkiego wysiłku umysłowego, aby pojąć, komu przypadła rola czarnego klina.

Porodku martwej tarczy co zaliło. Jakby mikroskopijna plamka fioletu.

Natychmiast otoczyła się grubiejszą w oczach skorupą czerni. Czerni tak soczystej i głębokiej, jakiej nie zdarzyło mi się jeszcze oglądać. Zaraz w następnej chwili poczęła pęcznić, rozrastać się zwartym, regularnym kręgiem. Zajaniała żółć, jakby otworzono okrągłe, słoneczne okno. Potem czerwień. Wewnątrz zabitego piercienia rozwijało się nowe życie. Tylko pas fioletu nie stanowił już granicy. Przed nim szła gęsta, pancerna obręcz czerni.

Klin, dokonawszy dzieła zniszczenia, znieruchomiał. Teraz zewnętrzny krąg odrodzonego koła tęczy dotknął już w swoim pochodzie jego ostrza. Klin opierał

się chwilę, ale wkrótce jego szpiczasty dziób uległ. Ostrze wywinęło się w przeciwną stronę, jak odwrócona rękawiczka, i naciskane od tyłu przez rozrastającą się skorupę czerni, poczęło pruć swój macierzysty korpus.

Proces przebiegał coraz szybciej. Klin dalej zachował pozorny bezruch. Tylko od strony nowego pierścienia barw stawał się coraz bardziej płaski. Własna broń, jakś dokonał przedtem dzieła zagłady, wnikała teraz coraz głębiej w jego ciało.

Krąg wypełnił się i rozwinął. Wrócił do pierwotnych rozmiarów. Barwy były znów żywe, znów wyrażały niezrozumiałe dla mnie treści. Zatriumfowała urzekająca, niemal muzyczna harmonia linii i gry pastelowych kół. Co się jednak zmieniło.

To już nie bezbronny fiolet biegł skrajnym pasmem okalającym pozostałe.

Dostępu do niego strzegła gruba warstwa czerni. Z boku, zepchnięty, stępiony i zniekształcony, podobny bardziej do nieforemnej kuli aniżeli do ostrego trójkąta,

majaczył wrak klinowatego intruza.

*

Czy chciano mi wyjanić genezę pamiętnych czarnych kul, piguł”, jak je nazywaliśmy? Mało prawdopodobne. A sam klin, rozdzierający żywe ciało barwnych pierścieni? Te ostatnie mogły oznaczać ich cywilizację. Lub najwyżej przez nich cenione wartości. Czym byłby więc ów intruz? Symbolem wszelkiej, naglej, brutalnej zmiany? Najciem obcej rasy? Czy mogło chodzić o Monitor”? Nale-

żało wstąpić. Wyglądało na to, że system obrony i owe psychologiczne” projekcje były przygotowane dużo wcześniej. Może więc miałem rację, przypisując to, co spotkało tutaj ludzi, wcześniejszym i niezbyt dobrze wspomnianym dowiadczynom mieszkańców planety wyniesionym z wizyty, jakś złożyli im kiedy przedstawiciele innych gwiazdnych kultur?

Bacznie patrzyłem, co będzie dalej, z nadzieją, że kolejne ruchy przestrzennego obrazu ułatwią mi sprecyzowanie hipotezy, w której sam od biedy byłbym w stanie uwierzyć. Ale nic się już nie działo. Tylko tęcza zgasła nagle jak zdmuchnięta, mgła spowijająca miasto rozproszyła się w mgnieniu oka i znowu miałem przed sobą jedynie jego strzeliste, pobłyskujące w słońcu konstrukcje.

Odczekałem dłuższą chwilę, potem jak kto zbudzony raptem z najgłębszego snu rozejrzałem się nieprzytomnie dokoła.

Parę kroków dalej leżał, zagłębiony do połowy w trawie, bo tak nazywałem w myślach roliny porastające kotlinę, białozielonkowy kask. Nieco na prawo rozchylone czubki łodyżek znaczyły podługowaty kształt miotacza.

Pachniało jabłkami. Ukląskłem i zdjąłem rękawice. Rozstawiłem palce i przejechałem nimi przez miękki, delikatny gęszcz. cisnąłem w garci pęczek rolin i próbowałem je wyrwać. Wyliznęły mi się, pozostawiając między palcami jedynie kilka płatków kwiatu o barwach, które próżno siliłbym się porównać do jakichkolwiek znanych z naszych łąk czy parków. Każda łodyżka wypuszczała dwa talerzowate skrzydła o konchach przypominających przekrojone na pół pomarańcze.

Wyprostowałem się, nie wstając z kolan. Moje palce pachniały teraz jabłkami.

Ale z bliska wyczuwało się jeszcze inną woń towarzyszącą, jakby morszczyń.

Powiedzmy, jabłka, wieże jabłka, zwalone na plaży, tam, gdzie dobiega fala oceanu.

*

Wstałem. I musiałem się umiechnąć. Od początku byłem zdecydowany, że przylecę tutaj sam. Ale nigdy dotychczas nie czułem tak mocno, że było to jedyne,

co mogłem zrobić.

Cokolwiek znaczył ów seans, na pół malarski, na pół symboliczny, wynikało z niego jedno.

Nie będę z nami rozmawiać. Gdziekolwiek się pojawię, pod każdym innym miastem, na którymkolwiek satelicie, pochowaj się, ucichnij i co najwyżej po-każ mi znowu co, z czego powinienem wywnioskować, jak bardzo jestem tutaj niepożądany.

Zgoda. Nie będziemy się narzucać. Zostawimy ich drzemących w niezmiśconym, harmonijnym łądziej, pozbawionym wszelkiego ryzyka i wszelkich nadziei.

Przynajmniej w ludzkim rozumieniu tych słów. Usiłowałem zdziwić się tą myślą.

Tym, że tak łatwo zdecydowałem się odejść. Ale nie potrafiłem. Ta myśl tkwi-

ła we mnie już od dawna. Przynajmniej od momentu, kiedy dotknąłem stopą ich planety. Jeli nie dopuszczałem jej do głosu, to oszukiwałem się tylko.

A więc dobrze. Niech oddadzą Ustera. Dla niego... nie, nie dodawajmy do starych nowych kłamstw. Zrobiłem to dla siebie. Ja. Facet z Korpusu.

Ale jeli się lepiej zastanowić, to czemu właściwie mam zawdzięczać fakt, że teraz oto stoję tutaj oko w oko z cywilizacją rozkwitłą w ekosferze obcego słoń-

ca? Akceleratorom antyprotonów, którymi mogę w ułamku sekundy przemienić kwitnący glob w krater czynnego wulkanu? Automatom?

Nie. Automaty zawiodły. Nawet nie. Po prostu zrobiły tyle, na ile je stać. To i tylko to, co zawierały ich programy. Opracowane przez ludzi na podstawie precyzyjnych, naukowych przewidywań. Ale co można przewidzieć, ruszając ku gwiazdom?

Bezużyteczna stała się tutaj nawet doskonała aparatura łączności, zapewniają-

ca mieszkańcom Ziemi społeczną mądrość działania. A nawet system synchronizujący łączność wewnątrz układu nerwowego jednego człowieka. W jednej chwili odebrano nam możliwość optymalnego korzystania z całego zasobu wiedzy, wzorców i schematów postępowania, zawartych w ośrodkach pamięciowych mózgu.

A jednak jestem tutaj. Wygrałem. Dzięki temu, co drzemało we mnie od lat, czy może od pokoleń, a z czego obecności nigdy nie zdałem sobie sprawy, bo nie było mi to do niczego potrzebne. Co więcej, nauczono mnie, przeznaczonego do działania bez ryzyka porażki, że tego czego nie ma i być nie powinno, bo gdyby istniało, podważałoby tylko skuteczność podejmowanych akcji.

Teraz dopiero ogarnąłem myśl cały fałsz, całą powierzchowność wniosków, jakie wysnuli mieszkańcy planety z obserwacji ludzi, poddanych działaniu stref zerowych. Żalosiłem niedoskonałość kryteriów, jakimi się posłużyli, odczytując i interpretując projekcję ich pól mózgowych.

Te istoty szanuję jak my piękno, ciszę, harmonię. Ich cywilizacja jest łagodna i doskonale zintegrowana. Ale mimo wszystko są nam obcy, jak obcy może być tylko pozaziemski wiat. Nie znam ich i nie rozumiem. Nigdy nie zrozumieją. Pozostaniemy im nieznani, nawet jeśli sami, ze swojej strony, ich cywilizację i rzadziej niż prawa zgłębimy do końca.

Bo nam powiodłoby się to ponad wszelką wątpliwość. Dlatego, że jesteśmy bardziej skomplikowani. Że nosimy w sobie spadek pokoleń, których dzieje były pasmem okrutnych, tragicznych pomyłek i nieustannej szarpaniny o każdy mały krok naprzód. Że nie wypieramy się tego spadku. Człowiek nigdy nie wypierał się tkwiącego w nim zła. Ale nigdy się z nim nie godził. I przecież wyszliśmy zwycięsko z kryzysu cywilizacyjnego. A jeśli nawet część tego wiata, który pokazali

nam w podziemiach, tkwi jeszcze w naszej podświadomości, to tym lepiej. My nie będziemy otaczać tęczy kół naszej współczesnej cywilizacji pancerną skorupą czerni. My poradzilibyśmy sobie inaczej z przybyszami z gwiazd, skoro radzilibyśmy sobie z czym bez porównania trudniejszym: z sobą.

Jestemy bardziej skomplikowani. A więc bardziej uniwersalni. I dlatego oni będą trwać teraz w bezruchu łagodnej harmonii, zasklepieni w błogostanie teraźniejszości, aż wszystkie inne rasy pozostawią ich daleko za sobą. Przebytuje w pokoju setki, może tysiące lat, odcięci od własnych, niechby nawet bolesnych, tradycji i od własnej przyszłości. Nic ich już nie czeka. Ich miasto, zawieszony nad pachnącymi jabłkami połonin, jest miastem miłości. Jak cały ten urzekający piękny glob.

Nie będziemy im się narzucać. Odejdziemy. Niech tylko ułatwi to, co zostało jeszcze do ułatwienia.

O zestawie kontaktowym, jaki przyniosłem w zasobniku projektora, już nawet nie myślałem. Co muszę jednak zrobić. Dać im jako do zrozumienia, na co czekam. Żeby wiedzieli, że bez niego nie odejdę.

Gdybym miał fotografię Ustera... ba, gdyby.

Zaraz. Mam przecież... ależ tak. W zestawie kontaktowym są plansze przedstawiające budowę człowieka. Mężczyzny.

Przerzuciłem popiesznie komory zasobnika. Jest. Mężczyzna, kobieta, dziecko. Anatomia, układ nerwowy, krwionośny, kości, mięśnie. Pełna prezentacja gatunku, który przybył z przestrzeni galaktycznej i teraz oto ceremonialnie przedstawia się gospodarzom. miać mi się chciało.

Założyłem serię plansz. Połączyłem obwody. Przed miastem, wysoka na jakie pięćdziesiąt metrów, zarysowała się w powietrzu sylwetka mężczyzny. Wyostrzyłem obraz.

Była to chyba trzecia czy czwarta z pierwszego szeregu plansz, demonstrujących rasę zamieszkującą Ziemię. Ogólna budowa, ale już w powierzchniowym schemacie anatomicznym. Ostre rysy twarzy, koci policzkowe, ciśnięty podbródek. Nos i oczy w zewnętrznym kształcie. Ale pod sklepieniem czaszki widniały zwoje mózgowie.

Model przedstawiał wysokiego, silnie umiowanego faceta, takiego jak Uster.

I nawet w rysach twarzy, zwłaszcza dolnej jej części, z ustami i twardo zarysowanym podbródkiem, dostrzegłem pewne podobieństwo.

Odruchowo zmieniłem planszę na następną, odwróciłem się twarzą do miasta, przeszedłem kilka kroków i usiadłem na trawie. Miałem wrażenie, że pogrą-

żam się w pianowym czólnie jakiej wyrafinowanej modelowanej leżanki. Wiatr zburzył mi włosy, łączył intensywny zapach roślin z orzeźwiającym ruchem powietrza, wokół panowała cisza, talerzowate kwiaty, rude i błękitne, sięgały mi do

piersi. Jeli są kwiaty przemknęło mi przez myśl powinny być także owa-dy. Ale nie było w powietrzu brzęczenia, jakie zawsze unosi się nad ziemskimi łąkami. Nie dostrzegłem ladu żywych stworzeń.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo tak siedziałem. Ogarnął mnie niezwykle spokojny, przenikający wszystkie najdrobniejsze włókna nerwowe. Krótko mówiąc, było mi dobrze.

Cichy, łagodny wiat. Można w nim żyć bez problemów i kłopotów. Można by. Tylko nie ma w nim ludzi.

Pojłem, jak mocno człowiek jest związany z własnym gatunkiem. Nie dlatego, że łączy go z nim wspólna wiadomość, narodziła i ugruntowana w historii tysięcy pokoleń. Chociaż dlatego także. Najważniejsze jest jednak to, co chciało-by się jeszcze zrobić, wspólnie z tym swoim gatunkiem. Wspólnie i dla niego. Bo inaczej nie miałoby sensu wszystko, co robi się dla siebie.

mieszne. Bo i o cóż ostatecznie chodzi, jeli nie o uczucie.

Co tak osobistego, jak tylko być może. Czy robiłem co myślę tylko i wy-

łącznie o sobie? A czy robiłem co innego?

Kiedy zmieniłem program zainstalowany w mojej osobistej aparaturze stymulującej. Żeby zapamiętać miłość. No i mam ją w sobie. Czy mi to przeszkodzi-

ło? Nie mógłbym powiedzieć, że tylko dzięki niej przebrnąłem zwycięsko przez strefy zerowe, kiedy zerwały się wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne obwody informacyjne, jakie, jak sądziłem, warunkują powodzenie każdego przedsięwzięcia.

Nie mógłbym tak powiedzieć, bo być może, poradziłbym sobie jako i bez tego.

Ale dlaczego przeciwstawiłem się wtedy surowym przepisom centrali, zmieniając program osobistej aparatury? Chwilowa słabość? Przecież zrobiłem to pozostając cały czas w kręgu psychotronu. Jak więc mogłem to zrobić, jeśli naprawdę tego nie potrzebowałem? Włanie aby działać skuteczniej i bardziej niezawodnie?

Nie da się ukryć, myślałem tylko o sobie. I robiłem wszystko dla siebie. Nie dla Itii. Mniejsza o Itię. Zdałem sobie sprawę, że naprawdę nie chodzi o Itię.

Zresztą może wiedziałem o tym już od dawna?

Teraz też jestem tu dla siebie. Dlatego przyleciałem sam. Nie miałem prawa mieszać w to innych. Muszę mieć Ustera. Muszę go mieć na Ziemi. Oddać go Itii.

Bo nie zapomniałem. Reszta to tylko prosta konsekwencja.

*

Kiedy go ujrzałem, znajdował się już nie dalej niż o dwieście metrów. I teraz byłbym go jeszcze nie zauważył, zatopiony w rozmyślaniach, gdyby nie to, że podniósł ramię i co do mnie krzyknął.

Wstałem. Odwróciłem się i powoli poszedłem w stronę projektora. Nie był już potrzebny. Z ręką na wyłączniku, spojrzałem jeszcze w stronę nadchodzącego.

Szedł mocnym, równym krokiem, nie spiesząc się specjalnie. Był bez kasku, w lekkim, treningowym kombinezonie. Idąc kołysał się nieznacznie w biodrach, jak stary żeglarz. Zawsze tak chodził. Wielkie, mocne chłoptisko. Facet z inforpolu. Przyjaciół.

Był już blisko. Znowu uniósł ramię i odrobinę przyspieszył. Teraz dopiero spostrzegłem, że cały czas się umiecha.

*

Przeniósłem wzrok na ciśnie jeszcze przesłaniający miasto, zawisły w powietrzu obraz anatomii człowieka. Nie wiem, skąd przyszedł mi nagle na myśl posąg zwycięskiego wodza starożytności.

A więc zrobiłem to. Pomimo wszystko. Mogę wrócić. Do tego, co zostawi-

łem dla siebie. Wrócić do Liny. Zapewne miesiące minęły już od chwili, kiedy zrozumiałem, że ją kocham. Teraz mogłem to sobie powiedzieć.

Przekręciłem kontakt. Ułamek sekundy trwał jeszcze w powietrzu precyzyjny rysunek postaci człowieka. Nadnaturalnie wielki, z dokładnie zaznaczonymi centrami i węzłami nerwowymi, zwojami mózgu, czerwonymi szlakami żył, zbiegającymi się w okolicy serca. Pomyślałem, że nie potrafiłbym powiedzieć, czy przywiozłem ten obraz tutaj, w strefę obcego słońca, aby pokazać go innej, galaktycznej rasie, czy też tylko po to, aby przyjrzeć mu się samemu. Pomyślałem również, że to jedno z tych pytań, które mogł pozostać bez odpowiedzi.